

**LUCY GORDON**

# ***Czarownica***

*Tłumaczył Paweł Piasecki*

## **PROLOG**

Tłumek odzianych na czarno żałobników skupił się wokół otwartego grobu. Do zmarzniętej ziemi wkładano trumnę, w której leżał młody mężczyzna. Mosiężna tabliczka podawała jedynie suche fakty: nazywał się Peter Mullery, w chwili śmierci miał osiemnaście lat. Tylko szlochająca matka i zeszywniałe twarze braci przypominały o tym, że był ukochanym, przystojnym, pełnym życia chłopakiem. I że zmarł za sprawą kobiety pozbawionej serca. Ksiądz intonował właśnie ostatnie śpiewy, gdy uświadomił sobie, że wokół nastąpiła jakaś zmiana. Podniósł oczy na żałobników i spostrzegł, że nie zwracają na niego uwagi. Ich spojrzenia przyciągała młoda kobieta, która pojawiła się niespodziewanie u wejścia na cmentarz. Od ponurych, białych wrzosowisk wiał zimny wiatr, podnosząc jej długie, czarne włosy. Stała

nieruchomo, wpatrując się w grupę ludzi, którzy z kolei nie odrywali wzroku od niej. Mięśnie jej twarzy były napięte, co świadczyć mogło o tym, że boi się, a mimo to próbuje być odważna.

W końcu zaczęła zbliżać się do grobu. Głowę trzymała wysoko, a jej twarz, choć naznaczona cierpieniem i strachem, była uderzająco piękna. Milczenie żałobników miało w sobie coś niepokojąco groźnego, ale ona szła pewnie naprzód. Może tylko uniesiona nieco wyżej broda wskazywała, ile wysiłku kosztuje składanie hołdu zmarłemu w atmosferze otaczającej ją nienawiści. Wokół dał się słyszeć cichy, gniewny pomruk. Kto by pomyślał, że Kirsty Trennon odważy się tu pokazać? Po chwili zamarł nawet i ten dźwięk. Ksiądz i żałobnicy stali jak sparaliżowani w kompletnej ciszy, zupełnie jakby poraził ich jakiś straszny sen.

Zatrzymała się przy otwartym grobie i skierowała na trumnę czarne, błyszczące oczy. Jej usta poruszały się bezgłośnie, wymawiając słowo „przepraszam”.

Powoli rozwarła ramiona i obsypała trumnę liśćmi.

To rozwiało urok, który paraliżował dotąd ruchy żałobników. Podniosła się wrzawa. Matka zmarłego chłopca krzyknęła w jej stronę:

- Morderczyni! Wiedźma! Czarownica!

Jeden z braci chwycił bryłkę ziemi i cisnął nią w kobietę.

- Za późno na przepraszanie - krzyknął. - Nie dostaniesz tak tanio przebaczenia - ani teraz, ani kiedykolwiek. Wynoś się i niech cię więcej nie widzą przyzwoici ludzie.

Zachowywali się jak zwierzęta, gotowe rozszarpać swą ofiarę. Uciekała na oślep, zalewając się łzami. Gdy biegła, rzucano za nią kamieniami, a krzyki „Morderczyni, wiedźma, czarownica!” niosły się z cmentarza daleko na wrzosowiska.

Gdy Kirsty dotarła do domu na farmie, podnosił się wiatr. Odwróciła się w drzwiach, by po raz ostatni spojrzeć na wrzosowisko, przykryte już pierwszym śniegiem. Stojący przy niej wielki, kudłaty pies zadygotał i wśliznął się do wewnątrz. W kuchni było rozkosznie ciepło, ale w domu panowała nieprzyjemna cisza.

Ta cisza towarzyszyła jej dokładnie od roku. Myśli Kirsty podążyły utartym szlakiem: dokładnie rok temu jej mąż został aresztowany w sprawie morderstwa Petera Mullery'ego. Rok minął od czasu, gdy została wyrzucona z pogrzebu Petera przez wrogą jej rodzinę. Jedenaście miesięcy temu jej mąż zmarł w więzieniu, bezskutecznie próbując przekonać świat o swej niewinności. Tarn - takie imię nosił pies - zmiotł kolację i wyciągnął się na postrzępionym dywaniku przed piecem. Kirsty podgrzała puszkę fasolki i zjadła ją z chlebem. Żywiła się ostatnio wyłącznie gotowym jedzeniem, ponieważ spadł na nią ciężar wykonywania wszystkich prac na farmie Everdene i nie było czasu na kulinarne popisy.

Była to mała farma, ale i tak zbyt duża jak na jedną osobę. Za czasów jej dzieciństwa przy stole zasiadały cztery osoby: jej gruba, pogodna babka, suchy, czerstwy dziadek, ich syn Will i ona, mała Kirsty, jego córka. Will był wdowcem, ale przystojnym mężczyzną. Mógł sobie wziąć za drugą żonę niemal każdą kobietę z Dartmoor. On jednak bez reszty oddał serce swej pierwszej poślubionej i potem był w stanie kochać jedynie córeczkę, którą mu pozostawiła.

Kirsty towarzyszyła swemu tacie od chwili, gdy skończyła trzy lata. Pewnego ranka wyskoczyła za nim z domu, wrzeszcząc: „Ja też idę, ja też, ja też.” Ojciec roześmiał się, wziął ją na barana i od tej pory zawsze chodziła razem z nim. Przy jego boku poznawała świat i surowe piękno Dartmoor. Z początku myślała, że cały świat jest tak wspaniale dziki jak te wrzosowiska, lasy i bagna, jak niedostępne skaliste pagórki, usiane tajemniczymi,

prehistorycznymi głazami. Will jednak powiedział jej, że tylko Dartmoor jest wyjątkowe i że tylko tu jest tak pięknie; że jest to prawdziwy skarb południa Anglii i że mieszkanie tu jest niezwykłym przywilejem.

Kirsty знаła okolicę jak własną kieszeń. Nie obchodziła jej jedynie ta część wrzosowisk, gdzie we wsi Princetown mieściło się więzienie. Wystarczyło jej raz zobaczyć, by pozostawiło niezatarty ślad w pamięci. Olbrzymi, szary budynek z pięcioma rzędami małych okienek nasuwał smutne myśli o losie ludzi zamkniętych za granitowymi murami, odciętych od piękna natury, z którą ona obcowała na co dzień.

Gdy miała czternaście lat, zmarli dziadkowie. Od tej pory ona i jej ojciec mieli te same prawa na farmie. Tak jak Will mogła prowadzić traktor albo pomagać przy narodzinach cielaka. Will twierdził, że jest urodzoną farmerką, może tylko jej ciekawość świata, niecierpliwość i skłonność do pośpiechu wyróżniały ją spośród innych mieszkańców wsi.

- Jesteś w gorącej wodzie kapana - powiedział jej raz - zupełnie jak twoja mama. Też miała gorący temperament. Zapalała się, mówiła, co myśli, a dopiero potem się reflektowała - śmiał się - całkiem tak jak ty.

W tym, co mówił, nawet jeśli krytykował Kirsty, była wielka miłość i uwielbienie dla córki. Uwielbiali zresztą się nawzajem i przez następnych parę lat nic nie mąciło ich szczęścia.

A potem Will zginął nagle w wypadku i Kirsty w wieku osiemnastu lat została sama na tym świecie. Zdarzyło się to akurat na tydzień przed żniwami i Kirsty oprócz rozpaczony spowodowanej śmiercią ojca musiała martwić się także o to, jak ratować plony. Całe szczęście wtedy właśnie pojawili się Jack i Caleb Trennonowie, dwaj Cyganie, którzy szukali pracy.

Przez większą część roku Jack i Caleb wędrowali z taborem, przemierzając cały kraj wzdłuż i wszerz. Uważali wciąż jednak Dartmoor za swój dom i latem zawsze wracali na żniwa. Kirsty zatrudniła ich z radością. Caleb, młodszy i wyższy od Jacka, był czarującym, skorym do śmiechu

chłopakiem. Jack zaś - małomównym, silnym i barczystym mężczyzną. Pracował za dwóch, godzinami nie zdradzał zmęczenia i nie odzywał się więcej niż dwoma słowami.

Tamtego roku mieli rekordowe żniwa. Cała trójka od świtu do zmierzchu zbierała plony, wyjątkowo szczerze ofiarowywane przez farmę Everdene. Kirsty kochała swój dom jak nigdy przedtem, a jej myśli często biegły do Willa. Obiecywała mu, że nie zmarnuje cennego daru, który jej zostawił.

Później, pod koniec lata, zdarzył jej się nieszczęśliwy upadek i złamała nogę w kostce. Kiedy Jack niósł ją do domu w swych mocarnych ramionach, Kirsty myślała z niepokojem, jak też sobie poradzi, gdy jesienią odejdzie od niej ta para niezmordowanych rąk. Ostatecznie Caleb odszedł, a Jack pozostał, obiecując doczekać chwili, gdy Kirsty odzyska sprawność. Parę dni potem, wróciwszy z Ollershaw, sąsiedniej wioski, powiedział z wymuszoną niedbałością:

- Ludzie zaczynają gadać, Kirsty. Wiesz co... że niby ty i ja tutaj, tylko we dwoje... Coś chyba trzeba z tym zrobić.

- A co można zrobić?

- Albo sobie pójdę, albo się pobierzemy - powiedział, wzruszając ramionami.

Podjęła błyskawiczną decyzję. Potem nieraz wyrzucała sobie okrutne wyrachowanie, ale w jej postanowieniu było przecież ślepe pragnienie bezpieczeństwa i to, być może, ją usprawiedliwiało.

- Nie chcę, byś odchodził, Jack - odparła. - Ale czy możemy... czy myślisz, że nam się uda?

- A dlaczego by nie? - Znów wzruszył ramionami. - To taka miła farma. Potrzebuje mnie, a ja jej. Już nie będę się nigdzie włóczył.

Była to najdłuższa wypowiedź, jaką kiedykolwiek usłyszała z jego ust. Wtedy jednak napełniła ją ulgą. Żeni się ze mną, bo szuka bezpieczeństwa, myślała. To

więc, że go nie kocham, nie ma większego znaczenia. Oto uczciwy układ, który w takiej sytuacji zawiera wiele kobiet.

- A więc postanowione - powiedziała, a on kiwnął głową na znak zgody. Nie martwiło ją wtedy, że skazuje się na małżeństwo bez miłości. Do tej pory bowiem nic nie wiedziała o miłości. Przywykła do zalotników z okolicy, którzy próbowali szczęścia, zwabieni jej długimi, czarnymi włosami, ciemnymi oczami i ponętymi ustami. Odpychała ich z niewzruszonym sercem i szła dalej swoją drogą. Pocałunki Jacka były niewprawne, ale nawet przyjemne, a jej wdzięczność tak wielka, że w sumie mogła wyglądać nawet i na miłość. Pobrali się więc szybko i już miesiąc później byli małżeństwem.

Gdyby miała skłonność do marzeń, mogłaby wyobrazić sobie, że gdzieś tam Will potrząsa głową i mruczy: „Za szybko”. Kirsty jednak nie umiała marzyć, toteż nie usłyszała ostrzeżenia.

W miarę upływu lat miała jednak coraz więcej powodów, by tego żałować. Pożycie z Jackiem było niby zadowolające, ale z czasem jego spokój przerodził się w ponurą gburowatość i kiedy się odzywał, to tylko po to, by ją łąać. Kirsty uświadomiła sobie, że wbrew zapewnieniom domagał się od niej nie tylko poczucia bezpieczeństwa i dachu nad głową. Był o nią zazdrosny, choć właściwie nie miał do zazdrości powodów. Czuł coś, czego nie rozumiała, sama nigdy tego nie zaznawszy. Chciał czegoś, czego dać mu nie mogła. Wiedziała jednak, że aby go zadowolić, nie wystarczy jedynie jej oddanie i przywiązanie. Powoli wyrastał między nimi mur.

Kirsty obiecywała sobie, że wynagrodzi mu wszystko potomstwem, ale upłynęło pięć lat i nadal nie mieli dziecka. Ku jej przerażeniu, Everdene przestało też przynosić dochody. Jack chciał mieć coś do powiedzenia w zarządzaniu farmą, cóż jednak z tego, skoro natura dała mu siłę, nie zaś umiejętność podejmowania decyzji. Zawierał niefortunne kontrakty, odrzucał prośby żony i kupował nędzne zwierzęta, które wkrótce zdychały. Kirsty sprzeciwiała się ostro, a to prowadziło do coraz częstszych kłótni.

Wtedy właśnie Peter Mullery przyjechał z uniwersytetu na Święta Bożego Narodzenia. Miał osiemnaście lat, był przystojny, szczupły, bystry. W Everdene spodziewał się znaleźć pracę. Normalnie o tej porze roku nie było nic do roboty, ale Jack właśnie wydał ich ostatnie grosze na świnie, które miały być dostarczone w następnym tygodniu. Nadawał się dla nich jedynie stary chlewik, ale i ten wymagał naprawy. Kirsty chętnie więc przyjęła Petera do pracy.

- Wkrótce pojawi się Caleb. Nie potrzebujemy nikogo więcej - burknął Jack, wyraźnie niezadowolony z jej decyzji.

- Pojawi się, albo i nie. Wiesz, jaki bywa nieodpowiedzialny. A w przyszłym tygodniu przywożą nam świnie.

- Dobrze, ja się tym zajmę - krzyknął Jack. - To dobre świnie, zobaczysz.

- Pewnie tak, ale przecież gdzieś trzeba je upchnąć. Sam mówiłeś, że potrzebujemy pomocy.

- Miałem na myśli kogoś nawykłego do ciężkiej pracy, a nie chłopca marnującego życie na książki.

- A co jest złego w książkach? Czasami żałuję, że nie mam więcej czasu na czytanie.

Rzucił jej gniewne spojrzenie i wybiegł z pokoju, jak zawsze wtedy, gdy nie wiedział, co odpowiedzieć.

Caleb rzeczywiście wkrótce się pojawił, ale dopiero po tygodniu, gdy Peter zdążył się już wprowadzić. Dużo pracował, nawet przychodził prosić Kirsty o dodatkowe zajęcia, mimo to zawsze udawało mu się znaleźć sporo wolnego czasu. Przychodził wtedy do niej, by pogawędzić. Lubiła to. Peter był poetą, a ją zawsze pociągały nieznane światy. Pewnego dnia powiedział jej, że jest piękna. Zaśmiała się lekceważąco.

- Ja? Skądże znowu! Jestem wysoka, chuda i mam kościstą twarz.

- Jesteś smukła jak wierzba i masz twarz Madonny z obrazu El Greca - powiedział po prostu.

Musiał zauważyć jej zakłopotanie, bo następnego dnia przyniósł album z

reprodukcjami El Greca. Patrząc na Hiszpanki o głęboko osadzonych oczach z długimi rzęsami, uświadomiła sobie, że rzeczywiście wygląda podobnie.

Przeoczyła jednak istotniejsze podobieństwo, które kryło się w kontraście między ascetycznymi twarzami kobiet, a ich zmysłowymi ustami.

- Czy wy dwoje nie macie nic innego do roboty? - zgromił ich wtedy groźny głos Jacka.

Unieśli głowy i spotkali jego złowrogie spojrzenie.

- Jest pora lunchu - łagodziła sytuację Kirsty - Peter pokazuje mi książkę.

- Jest już po lunchu, a my nie mamy czasu na bzdurne książki.

Rozzłoszczonej Kirsty nie przyszło do głowy, że Jack, który nie mógł się pochwalić właściwie żadnym wykształceniem, poczuł się zapewne odrzucony i zagrożony. Wieczorem wytknęła mu złe zachowanie i doszło do kłótni.

- Nie pozwolę, by się do ciebie umizgiwał! - krzyczał Jack.

- On tego nie robi - powiedziała z oburzeniem.

- Robi - włączył się Caleb. - Widziałem, jak przyglądał się tobie, gdy patrzyłaś w inną stronę. Wiem, o czym myśli... - Słowa zamarły mu na ustach, gdy Jack odwrócił się ku niemu z dziką wściekłością w oczach.

- Zamknij swą śmierdzącą gębę, albo sam to zrobię! Nazajutrz Peter w ogóle nie przyszedł. Jack wyjaśnił:

- Wyrzuciłem go i powiedziałem, co zrobię, jeśli będzie się kręcił koło spódnicy mojej żony.

- Peter nic dla mnie nie znaczy - odparła twardo Kirsty. - Dobrze o tym wiesz.

- Czyżby? W twojej głowie jest takie miejsce, do którego ja nie mam dostępu. Skąd mam wiedzieć, co się tam dzieje?

Przez trzy dni Peter nie postawił u nich nogi. Wreszcie pewnego popołudnia pojawił się w chlewie.

- Czekałem na wiadomość od ciebie - powiedział z wyrzutem.

Ta wymówka za bardzo przypominała jej Jacka. Czy zawsze będą prześladować



mnie mężczyźni, którzy chcą ode mnie czegoś, czego nie mogę im dać? - pomyślała z żalem.

- Powinam była odesłać ci książkę. Przepraszam - celowo udawała, że nie rozumie, o co chodzi Peterowi.

- Do licha z książką! Ja pragnę ciebie, Kirsty, nie widzisz tego? Kocham cię. Powiedz, że też mnie kochasz. Muszę to od ciebie usłyszeć.

- Peter, proszę cię, odejdz. Nie kocham cię. Nie potrafię. - Nagle ogarnęła ją rozpacz. - Ja chyba nikogo nie potrafię kochać.

- Nie wierzę. Jesteś stworzona do miłości. Myśli o tobie nie dają mi spać. Kirsty... Kirsty, kochanie....

Z trudem wycisnął pocałunek na jej niechętnych ustach. Objął ją, lecz ciało Kirsty było zimne i nieustępliwe. Przycisnął mocniej do siebie, a wtedy ona zaczęła wyrywać mu się ze złością, protestując głośno. Nagle poczuła, że została oswobodzona.

Oparła się o ścianę i zobaczyła, jak Jack, z twarzą poszarzałą z wściekłości, wywleka Petera z chlewu i rzuca go na ziemię.

- Nie przychodź tu nigdy więcej, gnojku! - krzyczał. - Jeśli jeszcze raz zobaczę cię obok mej żony, zabiję cię. Słyszysz? Za-bi-ję...

Caleb chwycił Jacka, jakby chciał go powstrzymać, aby ten nie zrealizował już teraz swojej groźby. Jack natomiast potrząsnął ostatni raz Peterem, po czym nienawistnym spojrzeniem zmierzył Kirsty.

Tak, to właśnie w tym miejscu próbowała zawsze zatrzymać falę wspomnień i nie pamiętać, co było dalej. Myśli jednak powracały natrętnie, zmuszając ją, by na nowo przeżywała te straszne chwile. Widziała siebie, jak siedzi sama tego wieczora i czeka na powrót Jacka z pubu. Jak tymczasem wraca Caleb i zaniepokojony pyta o niego. Jak mówi:

- Miałem nadzieję, że już jest w domu... był tam Peter... zaczęła się bójka. Peter wyszedł, ale Jack nie odstępował go na krok. Próbowałem iść za nimi, tylko że trochę za dużo wypilem i zgubiłem ich...

Jack nie wrócił na noc, a nad ranem znaleziono ciało Petera. Leżał w strumieniu, w małym jarze, twarzą do dołu.

O morderstwo oskarżono Jacka. Zawzięcie dowodził swej niewinności, twierdząc, że szedł za Peterem tylko kawałek, a potem zboczył na wrzosowiska, po których włóczył się całą noc. Oprócz Kirsty i Caleba nikt mu jednak nie wierzył, Jack nie zyskał tu sobie szacunku i sympatii. Poza tym w pubie było tamtego wieczora wielu mieszkańców wioski, którzy słyszeli gwałtowne oskarżenia, jakie rzucał w stronę chłopca. Widzieli jego wściekłą nienawiść. Peter był natomiast ulubieńcem wszystkich. Sąsiedzi potępili człowieka, którego uznali za jego mordercę, i obrócili gniew na kobietę, której tajemnicze piękno spowodowało tragedię. Nazwali ją czarownicą, która doprowadziła do zguby niewinnego młodzieńca. Nagle Kirsty utraciła wszystkich przyjaciół. Otuchy dodawała jej nadzieja, że w sądzie dowiedziona zostanie niewinność Jacka. Do procesu jednak nigdy nie doszło. Po trzech miesiącach spędzonych w więzieniu Jack zmarł na zawał serca. W ostatnich chwilach przed śmiercią trzymał Kirsty za rękę i mówił zduszonym głosem:

- Nie zrobiłem tego... jestem nie... niewinny... Powiedz, że mi... że wierzysz...

- Tak, wierzę ci - szepnęła żarliwie. Przepełniona litością dla umierającego, dorzuciła jeszcze nawet: - Wierzę ci, kochanie.

Na pogrzebie stał przy niej tylko Caleb. Pozostał z nią jeszcze do wiosny, ale potem odszedł i Kirsty została z całą farmą na swojej głowie. Latem zaś w ogóle się nie pojawił i Kirsty musiała od tej pory wynajmować przygodnych robotników - z reguły ludzi, których inni nie chcieli zatrudnić. Z taką pomocą ledwo sobie radziła ze słabymi plonami.

Bała się wybrać do Ollershaw. Sąsiadki naprawdę traktowały ją jak czarownicę i na jej widok pośpiesznie odwracały oczy. Zła sława Kirsty przyciągała za to mężczyzn. Niektórzy z nich rozbierali ją wzrokiem i szukali tylko pretekstu, by porozmawiać z nią na osobności. Nienawidziła tych spojrzeń. Czaiły się w nich

sugestie, że kobieta taka jak ona, niezamężna i od dłuższego czasu samotna, musi teraz do bólu pragnąć mężczyzny. Paru z nich nie omieszkało zresztą wybrać się do Everdene po zmroku. Odstraszały ich dopiero wystrzały z dubeltówki.

Kirsty zastanawiała się z goryczą, dlaczego tak łatwo przychodziło im myśleć o niej same najgorsze rzeczy. Nie umiała spojrzeć na siebie ich oczyma. Obca jej była ta aura zmysłowego magnetyzmu, która przylgnęła do niej jak duszny zapach perfum. Gdy patrzyła na siebie w lustrze, wcale nie myślała, jak oni, że jej ciało jest niczym wygasły wulkan, który w każdej chwili może ponownie wybuchnąć. Nie miała też pojęcia o tym, że każdy mężczyzna, który ją zobaczył, czuł, że gotów byłby zabić, byle tylko ją osiąść, ani o tym, że kobiety wy czytywały te myśli z oczu swych mężów i bały się. O siebie i o nich.

Czuła się coraz bardziej odrzucona i wyobcowana. Zaczęła kupować rzeczy w wielkich ilościach, tak by nie musieć zbyt często robić zakupów w miasteczku. Czasami przez cały miesiąc nie otwierała do nikogo ust i nawet jej to teraz odpowiadało. Jeżeli rzeczywiście spoczywała na niej jakaś klątwa, przez którą straciło życie dwóch pragnących jej mężczyzn, to mogła przynajmniej ukryć ją z dala od świata i nie wyrządzać już nikomu krzywdy. Była samotna, lecz pogodzona z losem.

W miarę jak topniały jej fundusze, ociągała się z płaceniem rachunków za telefon, aż wreszcie linia została odcięta. Wprawdzie po jakimś czasie Kirsty zapłaciła, ale połączenia nigdy nie przywrócono. Mówiła sobie, że nie stać byłoby ją na opłatę za ponowne podłączenie, ale tak naprawdę po prostu nie zależało jej na tym. Krok po kroku wycofywała się w głąb siebie.

Za dnia pracowała w polu, ubrana w workowate męskie stroje, obuta w gumki, z włosami zaczesanymi do tyłu pod starym wełnianym kapeluszem, tak jakby przez ukrywanie swej kobiecości mogła zaprzeczyć jej powabowi i sile. W nocy nie spała, dręczona wyrzutami sumienia. Nie zdradziła nigdy męża, ale poślubiła go bez miłości i doprowadziła do jego zguby.

Nadal trzymała wszystkie rzeczy Jacka. Jego ubrania, wyprane i odprasowane, wisały w szafie w pokoju jej dziadków. Wyrzucając je, czułaby się tak, jakby wyrzucała z domu Jacka, a na to nie pozwalało jej poczucie winy.

Otrząsnęła się z zadumy, uświadamiając sobie, że cały wieczór zszedł jej na rozpamiętywaniu przeszłości. Czas na odpoczynek, pomyślała i przez okno sypialni ostatni raz spojrzała na śnieg. Wiedziała, że od więzienia Princetown dzieli ją piętnaście mil i że choćby chciała, nie byłaby

w stanie go dojrzeć, a jednak oczy miała utkwione w tamtym kierunku.

Zadrżała na myśl o ohydnych ścianach z granitu. Parę dni temu zbiegł jeden z więźniów i pojawiła się u niej policja. Wypytywali, czy nie widziała nikogo obcego. Na pewno już go złapali albo sam się poddał, nie mogąc znaleźć schronienia przed zimnem. Choć może wędruje jeszcze mimo braku sił. A może położył się gdzieś, śnieg przykrył go śmiertelną powłoką i ciało zostanie odnalezione dopiero wtedy, gdy wszystko odtaje... Wzdrygnęła się i zasunęła zasłony.

Zbudziło ją warczenie psa. Przez chwilę leżała bez ruchu, nasłuchując uważnie, ale niczego podejrzanego nie usłyszała. Nagle Tam wyskoczył z łóżka i wybiegł z pokoju. Kirsty narzuciła szlafrok i zbiegła na dół, gdzie pies już skrobał do frontowych drzwi. Zdjęła z wieszaka przy drzwiach dubeltówkę, sięgnęła po latarkę i wyszła na dwór.

Padało przez całą noc i teraz w ciemności widziała tylko przykrywającą wszystko grubą warstwę śniegu. Nocna cisza wydawała się niezmacona, a jednak Tam skierował się podejrzenie szybko wprost do chlewu. Kirsty poszła za nim. Otworzyła drzwi i cicho wsunęła się do wewnątrz. Powoli omiotła chlewik światłem latarki.

Nagle tuż obok usłyszała czyjś chrapliwy oddech. Był w nim dziwny ton, ale nie miała czasu tego analizować.

- Wychodź, tylko powoli! - zawołała. - Mam broń.

Słoma zaszeleściła cicho i po chwili z ciemności wynurzyła się męska postać.

Był bardzo wysoki, miał ostre rysy i krótko przycięte włosy. Latarka oświetlała go od dołu,

tworząc niesamowite cienie, które nadawały jego twarzy diaboliczny wygląd.

Nawet w tym słabym świetle Kirsty dostrzegła więzienny uniform. Nie bała się jednak. Czuła raczej złość, że ktoś zakłócił jej samotność. Mężczyzna zrobił ruch w jej stronę.

- Na miejsce! - twardo nakazała, podnosząc strzelbę. Ale on jakby jej nie widział. Zachwiał się raz jeszcze,

wyciągnął rękę, po czym runął na ziemię u jej stóp.

Kirsty przyklękła i przewróciła go na plecy. Ubranie miał przemoczone i zimne, ale jego skóra wprost parzyła jej palce. Oczy mężczyzny były nadal otwarte, lecz nie reagowały na jej widok. Jego wzrok przenosił się z miejsca na miejsce, jakby czegoś na próżno szukał.

Na wyjaśnienia przyjdzie jeszcze czas, pomyślała. Teraz trzeba zaprowadzić go do domu.

- Spróbuj usiąść - powiedziała, biorąc go pod pachy. Był bezwładny i ciężki. - No, obejmij mnie ramionami za szyję - sapnęła, z trudem łapiąc oddech - tak bym mogła cię podnieść.

- Po co? - zapytał, zdoławszy na chwilę uwolnić się od gorączkowych majaczeń.

- Muszę zaprowadzić cię do domu.

- Nie... nie mów... nikomu. Proszę... - wystękał, na próżno usiłując jej się wyrwać.

- Nikogo tu nie ma oprócz mnie - powiedziała. - No, dalej, łap mnie za szyję.

Stanowczy ton Kirsty wywarł na nim wrażenie i posłuchał. Był wielkim i ciężkim mężczyzną, ale i jej nie brakowało siły. Zdołała postawić go na nogi i przewlec jakoś z chlewu do mieszkania.

W kuchni posadziła go na krześle, rozpałiła w piecu, po czym pobiegła na górę

po koce i gruby szlafrok, który kiedyś należał do Jacka. Rozebrawszy nieznajomego do naga, spostrzegła, że więzienny uniform wisiał na nim tak, jakby w więzieniu znacznie schudł. Nie patrzyła na niego jak na mężczyznę. Był problemem do rozwiązania, chorą istotą, którą trzeba podtrzymać przy życiu, zanim podejmie się dalsze decyzje.

Ubrała go w szlafrok, po czym przeciągnęła z sąsiedniego pokoju do kuchni, na wielką sofę. Posłuży mu za łóżko, a kuchnia jest najcieplejszym pomieszczeniem w domu. Rozłożyła koce i postawiła na piecu garnek z mlekiem. Gdy już się zagrzało, dołała doń porządną porcję whisky, posłodziła i przytknęła napój do jego warg.

- Wypij to - powiedziała zdecydowanie.

Podporządkował się poleceniu. Kiedy skończył pić, głowa zwisała mu bezwładnie na jej ramieniu. Zdołała dociągnąć go do sofy i otulić kocami. Poczula, że gwałtownie zadygotał, choć skórę miał nadal suchą i gorącą. Zaczynała się niepokoić. Gdyby działał telefon, mogłaby wezwać pogotowie, a tak dopiero rano będzie mogła liczyć na jakąś pomoc. Dołożyła do ognia grubych pniaków, doprowadzając temperaturę do poziomu, przy którym mogła włączyć prościutki, domowy system centralnego ogrzewania. Przez następne parę godzin czuwała przy nim, co jakiś czas podsycając płomień. Patrząc na zbiega, starała się sobie przypomnieć, co o nim mówiono w radiu. Jedyne, co przychodziło jej do głowy, to zapamiętany fakt, że gwałtownie bronił się przed aresztowaniem. Barczyste plecy i wielkie, potężne dłonie budziły respekt nawet teraz, gdy tak bardzo wychudł. Miał trzydniowy zarost, ale łatwo przyszło jej odgadnąć, że dobiega czterdziestki, ma pociągłą twarz, wystające kości policzkowe i mocną szczękę. Niebieskawo czarny zarost na tle bladej skóry wyglądał jak siniaki, a brwi tworzyły nad oczami wyraźną, niemal prostą linię. Kirsty zaskoczyły jego usta. Były pełne i szerokie, co tworzyło dziwny kontrast z ogólnym mizernym wyglądem. Usta te cały czas poruszały się, mamrocząc w gorączce słowa, których nie

rozumiała. Co jakiś czas na chwilę otwierał oczy i patrzył na Kirsty niewidzącym spojrzeniem, po czym znów je na długo zamykał.

Był w piekle. Przebywał tam od trzech miesięcy i zauważył, że piekło ma wiele postaci: zdrada, urażona duma, wściekłość i rozpacz. Zdecydowanie najgorsza była zdrada. Kręcił się na karuzeli niewiary, oszałamiającego powodzenia, nadziei, niespełnienia i lęku.

Teraz piekło przybrało kolejną postać, bardziej przypominającą dziecięce wyobrażenia. Oto wpada do paleniska. Ktoś podsyca płomień i wlewa mu do gardła ognistą ciecz, aż ciepło przeszywa go na wylot. Zamiast bólu czuje pragnienie, by poddać się tej sile, która ma nad nim władzę. Było mu tak strasznie zimno i tak się bał. Teraz jest już ciepło i bezpiecznie.

Uchylając powieki, dostrzega anioła-kobietę. Ma ona piękną, zagadkową twarz, jaką mężczyźni widują jedynie w snach, i dotyka go lekko, jak podmuch wiatru. Ale najbardziej uderza go to, że w jej oczach palą się straszne płomienie, tak jakby również ona była w piekle, miejscu wygnania upadłych aniołów. Kto to jest? Anioł, diabeł, księżniczka czy czarownica?

Kirsty wymknęła się do małej szopy, gdzie trzymała zapas opału, i powróciła z naręczem drewna. Potrzeba było jeszcze trzech wypraw do szopy, by napełnić piec i zostawić trochę polan na później. Mężczyzna znów zrobił się niespokojny. Usiadła na skraju sofy i delikatnie dotknęła jego twarzy, by przynieść mu ulgę. Natychmiast odwrócił głowę, tak że jego usta otarły się o jej dłoń .

Z przerażeniem cofnęła **rękę**. **Dłoń** paliła ją w miejscu, gdzie jej dotknął, a każdy nerw drżał, jakby porażony prądem. Co najdziwniejsze, zdawało się jej, że słyszała wypowiedziane szeptem słowa „upadły anioł”.

Miesza mi się w głowie, pomyślała. Od tak dawna jestem sama, że mam przywidzenia.

Uważnie przyjrzała się śpiącemu mężczyźnie. Był zupełnie nieruchomy, nie wyglądało na to, żeby mógł coś przed chwilą mówić czy poruszać się.

Ale nagle krzyknął.

- Nie! - usłyszała i po chwili gwałtownie usiadł, a jego ciało naprężyło się i zeszywniało. Przytrzymała go, by nie zrzucił z siebie okrycia. - Nie! - Opierał się z całych sił. - Nie, do licha, nie!

Wstąpiła w niego gorączkowa energia. Miał dzikie, błędne spojrzenie, które mówiło Kirsty, że nie widzi teraz jej, tylko kogoś innego, kto budzi w nim nienawiść i grozę. Z najwyższym wysiłkiem utrzymała go na miejscu.

- Zostaw mnie! - krzyczał. - Nie dotykaj mnie... Kirsty za późno zwróciła uwagę na jego drugą, wolną rękę i potężny cios w szczękę powalił ją na podłogę. Atak furii przeminął jednak równie niespodziewanie, jak się zaczął. Gdy tylko stanęła na nogi, mężczyzna leżał już nieruchomo na sofie, gapiąc się bezmyślnie w przestrzeń nad sobą. Pośpiesznie okryła go kocami, a on posłusznie poddał się jej zabiegom.

Teraz zaczęła poważnie się bać. Jeśli wkrótce nie sprowadzi pomocy, on może umrzeć tu, w jej kuchni. Na myśl o tym Kirsty zaczęła modlić się w duchu. Nie, nigdy więcej śmierci! Boże, proszę, nigdy więcej...

- Musisz przeżyć - mamrotała, ledwo rozumiejąc, że mówi to na głos - po prostu musisz.

Po raz pierwszy spojrzał na nią przytomnie.

- Po co? - zapytał chrapliwym szeptem. - Żebyś mnie tam odesłała?

- Zrozum - odparła stanowczo - ja nie mogę ci pomóc. Trzeba posłać po lekarza, inaczej umrzesz.

Chwyciły go gwałtowne dreszcze. Przyłgął do Kirsty, palce kurczowo wczepił w jej ramiona. Gdy atak przeminął, był wyczerpany, ale spojrzenie miał wciąż utkwione w jej oczach.

- Daj mi więc umrzeć... - dyszał - wolę umrzeć niż... znów dać się zamknąć. Ty tego... nie zrozumiesz....

Pomyślała o sercu Jacka, które nie wytrzymało zamknięcia za kratami, i nagle poczuła, że ma ściśnięte gardło.



- Rozumiem - skinęła głową - nawet nie wiesz, jak dobrze.

- Więc nie mów... nikomu. Daj mi szansę. Jeśli zdołam się wydostać - oddychał teraz z większym wysiłkiem -

udowodnię... co naprawdę... Niewinny... udowodnię.... niewinny...

Wpatrywała się w niego, czując, jak włosy jeżą się na jej głowie.

- Mówisz... że jesteś nie winny? Uśmiechnął się ironicznie.

- O tak, wiem... To właśnie.... wszyscy tak mówią, prawda? - Jego uśmiech zgasł. Powtórzył z wielkim naciskiem: - Ale ja naprawdę tego nie zrobiłem. Przysięgam. Pomóż mi.

Oczy mu się zaszklily. Kirsty zrozumiała, że znów popada w śpiączkę. Za każdym razem, gdy jak w modlitewnym transie powtarzał słowo „niewinny”, rosła jej udręka. Jeśli jest choć cień szansy, że mówi prawdę, jak może go tam odesłać?

W końcu uspokoił się i zapadł w sen. Usiadła przy piecu, gdyż nagle zaczęła się cała trząść. Po chwili zrozumiała, że ciepło jej teraz nic nie pomoże. Przez rok głużyła w sobie wszelkie wspomnienia, a teraz nieoczekiwane pojawienie się tego zbiega obudziło je na nowo. Przez chwilę zapalała nienawiścią do niego. Gdyby choć działał telefon, wezwałaby kogoś i zabrano by intruza, a ona znów wróciłaby do swego bezpiecznego odrętwienia. Potem uświadomiła sobie, że na to jest już za późno. On jest tutaj i trzeba doprowadzić sprawę do końca - bo inaczej nigdy nie odzyska spokoju.

- Dobra - mruknęła, podnosząc się z miejsca. - Jeśli trzeba to zrobić, zabierzmy się porządnie do dzieła.

Miała jeszcze masę whisky. Jack kupił butelkę tuż przed aresztowaniem, a ona nie wypila nawet kropelki. Podgrzała porcję mleka, wsypała dużo cukru, nie żałowała też trunku. Trzeba było wytrwałości i sprytu, by obudzić go i wlać mu płyn do gardła, ale w końcu się udało. Zapadł ponownie w niespokojny sen, a Kirsty odczekała godzinę, zanim powtórzyła cały zabieg. Był równie chory, co wygłodzony i musiała jakoś pobudzić w nim energię, by zdołał zjeść normalny

posiłek.

Noc ciągnęła się w nieskończoność. Czuwała przy nim, pojąc go, jak tylko często mogła. Czasami leżał spokojnie, to znów powracały majaki i wtedy miotał się strasznie, próbując zrzucić okrycie i wykrzykując, że jest niewinny.

- Cicho - Kirsty reagowała od razu na dźwięk owego słowa. - Nie mów tego.

Znów otworzył oczy, ale Kirsty nie wiedziała, czy ją widzi.

- Muszę to mówić... nie rozumiesz? Ktoś musi mi uwierzyć. Ja tego nie zrobiłem. Powiedz ty, powiedz, że wierzysz...

Nagle poczuła się tak, jakby znów była w więziennym szpitalu. Wiedziała już z doświadczenia, jak przynieść ulgę udręczonemu człowiekowi. Powoli wzięła jego dłoń między swoje dłonie i powiedziała:

- Tak, wierzę ci. Wierzę ci, kochanie...

## 2

Obudził się w nieznanym pokoju, niemal całkiem pogrążonym w ciemności. Światło dawała tylko mała lampka na stoliku. Wygasł już ogień, który go trawił, i teraz miał w głowie uczucie lekkości. Czuł się tak, jak gdyby swobodnie unosił się w przestworzach, rozumiejąc wszystko. Wiedział na przykład, że kobieta siedząca przy nim na podłodze, jest zagubiona w swym wewnętrznym świecie i że to jest nieprzyjazny, samotny świat, gdzie w ciszy i cierpieniu rozmyśla się nad jakąś straszną tajemnicą. Nagle poznał ją.

- Upadły anioł... - szepnął.

Gwałtownie uniosła głowę i zobaczył błyskawicę gniewu w najcudowniejszych oczach, jakie dane mu było widzieć.

- Jakim prawem zakłóca pan mój spokój? - zapytała szorstko.

- Chciałem tylko na parę godzin ukryć się w chlewie. - Jego spojrzenie spoczęło na telefonie i jęknął rozpaczliwie. - Jak sądzę, już pani po nich zadzwoniła i zaraz tu będą.

- Telefon nie działa. Nikt nie przyjdzie. - Podniosła się

z kolan i przyjrzała mu się z napięciem. - Gorączka na szczęście opadła. - Dotknęła jego twarzy, potem szlafroka i aż krzyknęła z wrażenia. - Jest pan cały mokry! Przyniosę suche rzeczy.

Zniknęła, a on wreszcie odrzucił na bok koce. Nie odrywał wzroku od telefonu. Mogła przecież kłamać. Postawił nogi na podłodze i usiłował powstać, czuł się jednak tak, jakby jakiś niewidzialny ciężar ciągnął go w tył. Gdy udało mu się wreszcie stanąć, przez chwilę zmagał się z zawrotami głowy, a potem krok po kroku, czepiając się mebli, zaczął stapać w kierunku telefonu.

- Co pan, u licha, robi!

Obrócił się i zobaczył, że kobieta rzuca na bok ubranie i szybko zmierza w jego stronę. Zatrzymał ją ruchem ręki.

- Niech pani się nie zbliża - wykrztusił z siebie. - Chcę tylko wiedzieć, czy pani nie kłamie.

Pot wystąpił mu na czoło. Telefon zdawał się być oddalony o tysiące kilometrów. Ubiegając jego zamiary, kobieta podniosła słuchawkę i wyciągnęła ją ku niemu, by usłyszał, że telefon milczy. Poczul taką ulgę, że aż zachwiał się i znów musiała go podeprzeć, a następnie zaprowadzić do sofy.

- Jest pan tu od pięciu godzin. Gdybym zadzwoniła, już by tu byli.

- Od pięciu godzin? - Czuł się, jakby upłynęło zaledwie parę minut.

- Niech pan wyskakuje z tego szlafroka, bo inaczej zapalenie płuc gotowe. Rozebrała go sprawnymi ruchami i zaczęła wycierać do sucha. Po raz pierwszy zorientował się, że nie ma na sobie ubrania. Krępowало go, że obca osoba widzi jego nagość, ale ta stanowcza, młoda kobieta nie zwracała najwyraźniej na to uwagi. Pomogła mu założyć suchą, flanelową piżamę i usadziła go na krześle, rozkładając w tym czasie świeże koce na sofie. Skończywszy, nakazała, żeby się położył, a on, który przysięgał, że gdy tylko wydostanie się z więzienia, już nigdy nikomu nie zaufa i nikogo nie posłucha, posłusznie wykonał jej polecenie.

Gdy jednak przestało mu się kręcić w głowie, powróciły podejrzenia.

- Wprawdzie nie mogła pani nigdzie zadzwonić, ale teraz jest już dzień i...

- Tak. Mogłabym pana zamknąć i biec po pomoc -przyznała mu rację. - I co? Myśli pan, że to zrobię?

Na próżno próbował wyczytać coś z jej twarzy.

- Nie wiem - powiedział wreszcie z rezygnacją.

- Ja też nie wiem.

Zaskoczyła go oschłość i zwięzłość jej wypowiedzi. Mówiła jak ktoś, kto z trudem znajduje właściwe słowa, kto musi na nowo nauczyć się mówić. W tym momencie przypomniał sobie pewien szczegół.

- Powiedziała pani, że wierzy w mą niewinność.

- Czyżby? - zapytała sucho.

- Musi pani to pamiętać. - Oczy rozszerzyły mu się ze zdziwienia, gdy w pamięci pojawił się kolejny szczegół. -I powiedziała pani do mnie... tak, powiedziała pani „kochanie”.

- Zgoda, być może powiedziałam - rzuciła. - Dobrze nie pamiętam.

- Myślę, że pamięta pani, tylko teraz pani tego żałuje.

Nie jest tak? - Im bardziej ją naciskał, tym bardziej wycofywała się w głąb siebie. - Powiedziała to pani tylko po to, by mnie uciszyć, prawda? - podniósł głos.

- Nie, ja... - od razu urwała, jakby niebezpieczne było każde słowo.

- Więc mówiła pani szczerze?

- Nie wiem. - Był to głos kobiety znajdującej się u kresu wytrzymałości. -

Nie wiem, w co wierzyć. I nie wiem, co zrobię. Ma pan rację, nie ufając mi.

- Od roku nikomu nie ufam - oznajmił butnie.

- Ja też nie - rzuciła po chwili milczenia i odwróciła od niego spojrzenie.

Domyślił się, że dotknął jakiejś bolesnej struny, i zrobiło mu się przykro.

- Gdzie jestem? - zapytał, by przerwać ciszę.

- Wciąż w Dartmoor. Farma Everdene, niecałe trzydzieści kilometrów na południe od Princetown. Mam na imię Kirsty. Tak może pan do mnie mówić.

- Ja nazywam się Mike, Mike Stallard. Czy coś ci to mówi?

- Tak. To ty uciekłeś z więzienia przed trzema dniami. Wiem o tym od chwili, gdy cię ujrzałam.

- I nie obawiasz się niczego?

- Nie boję się ciebie, jeśli o to chodzi.

- Trudno się dziwić, gdy weźmie się pod uwagę, że masz strzelbę, a ja jestem zupełnie bezbronny - zauważył cierpko.

Spojrzała na niego bez słowa. Jej cudownie piękne oczy były trochę nieobecne, tak jakby żyła częściowo w innym świecie, gdzie nie ma dostępu lęku, ale też i inne, pozytywne uczucia. Podgrzała zupę i przyniosła mu talerz.

- To cię wzmocni - powiedziała - a najlepiej będzie jeszcze się przespać.

- Jak mogę spać, jeśli nie wiem, co mnie czeka?

- Nie wydam cię... przynajmniej na razie. Najpierw porozmawiamy.

Obiecuję.

Posłuchał jej i niemal natychmiast zapadł w sen. Gdy obudził się, było jasno. Na odgłos kroków dochodzących z sąsiedniego pokoju zeszytniał ze strachu, ale to była tylko ona. Nie spostrzegła, że się obudził, więc przyglądał się jej przez chwilę spod przymkniętych powiek. Była jego jedyną szansą i powinien to wykorzystać, z niepokojem zauważył jednak, że zamiast myśleć praktycznie, skupia się na uroku jej wysmukłej figury, maskowanej szerokim krojem starych dżinsów. Pomyślał o kobietach, które wydają majątek na stroje, a nie mają nawet ułamka jej instynktownej elegancji. Ale inne kobiety to była zupełnie inna historia.

Gdy odwróciła głowę, po raz pierwszy zobaczył jej twarz w pełnym świetle.

Dostrzegł siniak przy ustach i wciągnął powietrze z głośnym sykiem, jakby to nie jej, a jego twarz była okaleczona i obolała.

- Co tam? - zapytała Kirsty.

- Podejdz, proszę. - Gdy podeszła, przyjrzał się z bliska stłuczeniu.

- Kto to zrobił?

- Co zrobił?

Delikatnie dotknął zasinionego miejsca, starając się jej nie urazić. Mimo to cofnęła się gwałtownie.

- To - powiedział. - Tylko mi nie mów, że to drzwi. Ktoś uderzył cię w twarz i to mocno.

- Prawdę mówiąc, ty to zrobiłeś. - Była lekko rozbawiona.

- Co takiego?

- W gorączce cały czas wymachiwałeś rękoma. Próbowалаm przytrzymać cię na sofie, ale tak mnie zdzieliłeś, że wylądowałam na podłodze.

- Coś mi się śniło, a może miałem halucynacje... Na przykład, że przyszli mnie zaaresztować, a ja się broniłem. To możliwe. Wtedy musiałem cię uderzyć. Przepraszam.

- Nie szkodzi. - Wzruszyła ramionami. - Nie byłeś świadom tego, co robisz.

- To się zdarzyło naprawdę. Biłem się z nimi z całych sił. Musiałem się bić, bo byłem niewinny. Musiałem odzyskać wolność, by to udowodnić. Ale nikt mnie nie słuchał i to było najgorsze - dodał ponurym tonem. - Nikt nie chciał mnie słuchać.

- Wiem - powiedziała cicho.

- Skąd możesz wiedzieć? - Spojrzał na Kirsty. Zapomniała się na chwilę, ale teraz znów miała się na baczności.

- Nieważne. Powiedz, co tobie się przytrafiło.

- Z mojej firmy zniknęła pokaźna suma pieniędzy - zaczął Mike. - Gdy zauważyłem stratę, przedstawiłem sprawę memu młodszemu partnerowi, Hughowi Severhamowi. Próbował zamydlić mi oczy tym swoim komputerowym żargonem. Mówił coś o szyfrach, dostęпах do kont i innych rzeczach. Dowcip polega na tym, że w firmie zatrudniłem go właśnie ze względu na jego talent do komputerów. Wiem tyle, że nacisnął parę klawiszy, w

wyniku czego wszystkie dowody zaczęły świadczyć przeciw mnie. - Zrobił przerwę, jakby opowiadanie dalszego ciągu wymagało nabrania sił. - Późno zdałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa, bo byłem zaprzętnięty przygotowaniami do ślubu. - Zaśmiał się szyderczo. - Pamiętam, jak mówiłem Lois, że będziemy musieli odłożyć miodowy miesiąc do czasu, aż wszystko się wyjaśni. Nigdy nie myślałem, że... No ale po kolei, to było tak: czekałem na nią w kościele. Zagrała muzyka... Ona idzie do ołtarza... najpiękniejsza kobieta na świecie. Byłem taki dumny, gdy stała u mego boku... - Pot wystąpił na czoło Mike'a. Kirsty widziała, ile wysiłku i cierpienia kosztuje go odtwarzanie wspomnień, ale nie śmiała mu przerywać. - Ksiądz mówił: „Jeśli ktoś spośród tu obecnych zna jakiegokolwiek powody, które uniemożliwiają zawarcie tego związku małżeńskiego, niech je ujawni.” A chwilę potem ktoś z głębi kościoła zawołał: „Przerwać ceremonię. Pan młody jest aresztowany.”

- O Boże - westchnęła Kirsty.

- Zaaresztowali mnie w kościele wypełnionym ludźmi. Był tam też Hugh, śmiał się, jakby wygrał w totolotka. Biłem się, bo chciałem udowodnić swą niewinność, ale nie miałem szans... Tyłu ich było... Zyskałem tylko opinię człowieka niepoczytalnego i niebezpiecznego, co sprawiło, że policja nie zgodziła się wypuścić mnie za kaucją. Podobno mógłbym zastraszyć świadków.

- Myślałam, że wyjścia za kaucją odmawia się tylko oskarżonym o morderstwo - powiedziała cicho Kirsty.

- Racja, właściwie nie odmówiono mi - stwierdził gorzko. - Tylko że wyznaczono sumę, której nie byłem w stanie zebrać. Rzekomi przyjaciele gdzieś zniknęli, nie wiem, może dotarł do nich Hugh. Lois nie szczędziła wysiłków, by zdobyć pieniądze, ale nie miała żadnego majątku prócz biżuterii, którą jej podarowałem. To było za mało. Ostatecznie osądzono mnie i skazano na dziesięć lat. Sędzia nie ukrywał, że tak wysoki wyrok dano mi dlatego, że „odmówiłem współpracy z wymiarem sprawiedliwości i policją”. Innymi słowy, że nie powiedziałem, jak można odzyskać te pieniądze. A ja ich nie mam! Oni

jednak w to nie wierzą i uważają, że złamię się, chcąc uzyskać warunkowe zwolnienie. Nie złamię się, bo nic nie wiem. Dziesięć lat -jęknął. - Musiałem uciec... Nie rozumiesz tego... kraty, skoble... trzask metalowych drzwi...

- Tak - szepnęła. Przeszył ją dreszcz.

- Klaustrofobia, brak prywatności... Rozpacz na myśl o latach, które masz przed sobą... Beznadzieja...

- Dosyć! - krzyknęła, zrywając się z miejsca. Dostrzegła zaskoczenie w jego oczach i opanowała się szybko. - Wystarczy tych opowieści. Widzę, że ucieczka była jedynym wyjściem, ale co dalej?

- Moją ostatnią deską ratunku jest niejaki Con Dawlish. To maniak komputerów, ma talent do wkradania się w cudze systemy. Gdyby dostał się do głównej sieci w mojej firmie, mógłby prześledzić wszystkie transakcje i pokazać, co i jak zrobił Hugh.

- A skąd wiesz, że to nie on pomógł cię zrobić?

- Con jest najniewinniejszym człowiekiem pod słońcem. Nigdy niczego nie kradnie ani nie psuje, gdy wdrze się do sieci. Jest nieco zuchwały, po włamaniu do sieci zostawia na przykład informację, że trzeba usprawnić system zabezpieczeń. Interesuje go jedynie samo wyzwanie.

- W takim razie dlaczego nie pomógł ci we właściwym czasie?

- Mój prawnik próbował skontaktować się z nim, ale Con był wtedy poważnie chory. Niedawno dowiedziałem się, że znów jest na chodzie. Jego nazwisko jest szeroko znane w więzieniu. Wielu ze skazanych dostało się tam, bo naśladowało jego metody, nie dzielając zarazem jego zasad. Gdybym go teraz odnalazł, na pewno by mi pomógł. Ale czas ucieka. Con ma już swoje lata. Pomóż mi, Kirsty. Nie odsyłaj mnie tam. Pomóż mi się stąd wydostać.

W nagłym podnieceniu schwytał ją mocno za ręce i przygwoździł wzrokiem. Jej serce zabiło szybciej, a w gardle poczuła suchość. Przez chwilę miała chęć oświadczyć temu mężczyźnie, że bez pytania robi dla niego wszystko, o cokolwiek poprosi, ale przecież to byłoby czyste szaleństwo.



Nieoczekiwanie rozluźnił uścisk i spojrzał na jej lewą dłoń, na której nadal tkwiła ślubna obrączka, podarowana jej przed laty przez Jacka. Przez skórę czuła, jak opuszcza go nadzieja, ustępując miejsca poczuciu porażki i rezygnacji. Doznanie to sprawiło jej dotkliwy ból.

- Powinienem wpaść na to wcześniej - powiedział głucho Mike. - Kiedy on wróci?

- Mój mąż nie żyje. Nie ma tu nikogo prócz mnie.

- Więc możesz mi pomóc, prawda?

- Mogę. Ale i tak ci się nie uda.

- Dlaczego? Dlaczego tak sądzisz? Bo jesteś porządną, uczciwą obywatelką, która uważa, że nie skazuje się bez powodu niewinnych ludzi? Nie ma dymu bez ognia, czy o to chodzi?

Drgnęła, słysząc znienawidzone powiedzenie, po czym wybuchła ostrym śmiechem.

- Nie - odparła zjadliwie - nie jestem porządną, uczciwą obywatelką. Jestem wiedźmą, czarownicą, upadłą kobietą, niewiele lepszą od morderczyni. Zapytaj ludzi z okolicy, każdy ci to powie. Wiem, jak często mylą się ci porządni, uczciwi obywatele. I dlatego mówię, że ci się nie uda, jeśli przed nimi zechcesz dochodzić swych praw.

- Jest więc coś, co nas łączy - powiedział powoli, uważnie wpatrując się w jej bladą twarz. - Zawód, rozpacz, poczucie przegranej...

- Tak, to nas łączy.

- A jednak proszę - pomóż mi, Kirsty. Ja się nie poddam, a potem pomogę tobie. Ale teraz ty musisz mi pomóc.

W jego ciemnych oczach dojrzała odblask piekła, przez jakie sama przeszła. To, co ma nadejść, jest i tak nieuniknione, pomyślała, ale może przynajmniej na jakiś czas uda się odsunąć wyrok losu.

- Dobrze - odparła powoli - pomogę ci.

Kirsty wymknęła się z domu, by zabrać broń z chlewika, i od razu spostrzegła

niebezpieczeństwo. Na szczęście największe opady śniegu nastąpiły po przybyciu Mike'a i jego ślady na wrzosowiskach zostały przykryte. Natomiast na podwórku jak na dłoni było widać ślady, które zostawili, gdy ciągnęła go do domu. Na zewnątrz, poza obejściem, śnieg był za to świeży i nietknięty, co dowodziło, że nie zawitał tu żaden przypadkowy przechodzień. Prawdopodobnie i tak minie wiele dni, zanim ujrzą ludzką duszę, Kirsty wołała jednak nie ryzykować. Chwyciła za łopatę i zaczęła gorączkowo uprzątać śnieg, aż wszystkie ślady znikły pod ścieżką wytyczoną przez podwórko.

Wiedziała, że pomaganie zbiegłemu skazańcowi jest przestępstwem, ale nie do końca sobie to uświadamiała. Bardziej docierał do niej fakt, że tak jak ona, Mike jest wyrzutkiem. Świat niesprawiedliwie obwinił i osądził ich dwoje, każąc im walczyć o przetrwanie. Zapewne dlatego, pomyślała, tak dobrze go rozumie i czuje z nim jakąś wspólnotę.

Sytuacja tak naprawdę była całkiem bezpieczna. Śnieg i swoisty ostracyzm, jakiemu poddawana była przez mieszkańców okolicy, stanowiły gwarancję, że nie zjawią się tu niepożądani goście i nie wytropią Mike'a. Poza tym miała spore zapasy żywności, mogła więc szybko podreperować jego kondycję. Kiedy ustaną opady, a on będzie gotów do drogi, przeprowadzi go przez wrzosowiska pod osłoną ciemności.

Skończywszy uprzątnięcie śniegu, wzięła broń z chlewu i wróciła do domu. Mike siedział na brzegu sofy, bacznie przyglądając się Tamowi, który na przemian warczał i obwąchiwał go przyjaźnie.

- Myli go ubranie Jacka - wyjaśniła Kirsty.

- Czy Jack to imię twego męża?

- Tak.

- Jesteś młoda jak na wdowę. Co się z nim stało?

- Nie możesz zostać tu na dole, to zbyt niebezpieczne. Przygotuję ci posłanie na górze - zmieniła temat Kirsty i znikła, zanim zdążył coś powiedzieć.

Posłała wielkie, mosiężne łóżko, w którym sypiali jej dziadkowie, i zeszła po Mike'a. Zastała go w połowie

schodów, mocno zdyszanego. Pomogła mu przebyć resztę drogi.

- Mówisz, że nikt tu nie przychodzi, ale musisz przecież mieć jakichś pracowników - zauważył, z ulgą układając się w łóżku.

- Nie, nie mam nikogo - odparła krótko.

- A więc sama pracujesz na farmie?

- Sama.

- I jak sobie radzisz?

- Radzę sobie, bo muszę. Mogłabym zapytać, jak uciekłeś z więzienia Princetown. Stamtąd nie ma przecież ucieczki.

Ich oczy spotkały się. Skinął głową.

- Musiałem. Więc uciekłem.

- I ja muszę. Pomogę ci Mike, ale pod jednym warunkiem: żadnych pytań.

Nieznacznym uśmiechem wykrzywił mu usta.

- Czy ty także przed czymś uciekasz, Kirsty?

- Być może. Na swój sposób. Ale o nic nie pytaj. Nigdy.

- W porządku, zrozumiałem.

Kirsty opuściła pokój i zeszła na dół, by przygotować śniadanie. Z kurnika przyniosła pięć wielkich, brązowych jaj, z których zrobiła jajecznicę. Zniosła jego porcję na górę i patrzyła, jak pochłania jedzenie.

- Czas do pracy - powiedziała. - Zamknę drzwi na klucz. Jeśli usłyszysz, że ktoś jest na zewnątrz, nie ruszaj się stąd. Nikt sam nie wejdzie. I nie waz się zapalać światła.

Przed wyjściem z domu ściągnęła z sofy koce i wepchnęła je do pokoju od podwórza. Potem wrzuciła więzienny uniform Mike'a do starego dębowego kufra. Teraz, gdyby ktoś zaglądał przez okna do środka, nie było nic, co mogłoby wzbudzić jakiegokolwiek podejrzenia. Dorzuciła jeszcze polan do ognia i poszła zająć się zwierzętami.

Najpierw nakarmiła świnię, nie zatrzymała się jednak na dłużej, by je czule podrapać, jak to miała w zwyczaju. Następnie przyszła kolej na małe stadko owiec, które miały swoją komórkę na pagórku za domem. Załadowała dla nich furę paszy i przyczepiła ją do traktora. Gdy dotarła na pastwisko, padał już gęsty śnieg, osiadając na ich grubej wełnie. Niegdyś były dumą i radością Willa, a dobra wełna pozwalała farmie wyjść na swoje. Kirsty napełniła paszą olbrzymie koryto, stojące pośrodku pola. Gdyby nie mogła się nimi w najbliższym czasie zająć, jedzenia wystarczy im na parę dni. Są jednak jeszcze inne stworzenia, których los w zimie zależy od Kirsty. Na przykład małe, silne kucyki, czekające na innym pastwisku, w miejscu, gdzie zawsze zrzucała im siano. Były krępe i miały krótkie nogi. Kirsty trudno było się oprzeć, by nie pogłaskać ich po szorstkiej sierści, bądź nie dotknąć ciepłych nozdrzy. Od czasu gdy jako dziecko jeździła na kucyku, uwielbiała je i zawsze szukała ich towarzystwa w chwilach najbardziej dotkliwego opuszczenia.

Gdy po kilku godzinach wróciła do domu, było jej zimno i mokro, czuła ogarniające ją znużenie. Choć było dopiero wczesne popołudnie, robiło się już szaro. Odetchnęła z ulgą, widząc, że w domu nie pali się światło. Szybko wbiegła po schodach i znalazła Mike'a pogrążonego we śnie. Odpoczywał, wracał do sił. Odkopał się nawet spod kocy, ale Kirsty ponownie mocno go owinęła. Schodząc na dół, miała poczucie triumfu. Pierwszą rundę wygrali. Ile kolejnych jeszcze ich czeka? I jak się zakończy cały mecz? Za wcześnie było, by już teraz o tym myśleć. W kuchni wydobyła więzienny uniform Mike'a i pocięła nogawki na drobne kawałki, wrzucając je po kolei do pieca. Cieszyła się, że materiał zdążył wyschnąć. Sięgnęła ręką do kieszeni, by dokonać rutynowego przeszukania. Nie spodziewała się niczego znaleźć, a jednak jej palce natrafiły na kawałki cienkiego kartonu. Wydobyła je na zewnątrz i zobaczyła, że układają się w fotografię kobiety.

Była piękna, miała idealnie regularne rysy, bujne, lśniące blond włosy i świetnie dobrany makijaż. Jej oczy śmiały się do aparatu, a wargi rozchyłały

provokacyjnie.

Kirsty wpatrywała się w nią, wiedząc, że to cudo jest z pewnością narzeczoną Mike'a, niedoszłą żoną o imieniu Lois. Wyglądała trochę nierzeczywiście, jak kobieta reklamująca w telewizji szampon do włosów, a jednak Mike ją znał, kochał i chciał się z nią ożenić. Dla niego była kimś bliskim i normalnym. Być może w udreće starał się uciec od wspomnień, ale nie potrafił i dlatego zachował podarte kawałki zdjęcia. Lois nadal mieszkała w jego sercu. Kirsty po raz pierwszy pomyślała o nim nie jak o ściganym skazańcu, który majaczył w jej objęciach, lecz jak o mężczyźnie, który kocha. I który może być kochany... Skończywszy niszczenie ubrania, udała się ze zdjęciem na górę. Gdy tylko weszła na podest, usłyszała hałas dobiegający z pokoju Mike'a. Z przestraszeniem zajrzała do środka i zobaczyła, że znów rzuca się na łóżku. Wróciła gorączka - miał zamknięte oczy i mamrotał niezrozumiałe słowa.

Kirsty uspokoiła go i po raz kolejny zawinęła w koce, ale gdy wróciła po dziesięciu minutach i tak znalazła je wszystkie na podłodze.

- Mike - potrząsnęła nim, chcąc wyrwać go ze snu - nie wolno ci tego robić.

- Przepraszam - szepnął. - Głupiec ze mnie... Poczułem się lepiej... do łazienki... chciałem się umyć...

- Czy ty masz rozum? - powiedziała zirytowana. - Znów się przeziębiłeś.

- Przepraszam - wyszeptał tylko i zapadł w sen.

Następnych parę godzin było dla niej istnym koszmarem. Mike musiał być pod stałym nadzorem, bo przy każdej okazji zrzucał z siebie pościel. Kirsty wpadła tylko na chwilę do kuchni, by przygotować sobie jakąś przekąskę i przelykała ją pośpiesznie w chwilach wolnych od zmagania ze złożoną chorobą mężczyzną. Wraz z zapadnięciem nocy jego gorączka wzrosła i Kirsty znów zaczęła się bać.

- Mike, proszę cię - powtarzała, usiłując przebić się do jego świadomości. Patrzył na nią spod na wpół przymkniętych powiek i nie wiedziała, czy jest czegokolwiek świadom. Chcąc za wszelką cenę dotrzeć do niego, wpadła w ton

żartobliwej połajanki, choć jej nastrój był zgoła odmienny. - Nie możesz mi teraz umrzeć. Przecież coś sobie postanowiliśmy, prawda? Nie możesz i nie umrzesz. Następny trup w moim życiu? Jak bym to wytłumaczyła? Pomyślałeś o tym? Oczywiście, wcale nie pomyślałeś...

- To proste - szepnął, a ona zdumiała się. Czyżby jednak ją słyszał i rozumiał? - Z powrotem... do chlewu. Powiesz... znalazłaś mnie tam.

- W piżamie mego męża? - zapytała zgryźliwie.

- Uniform... zmienić...

- Zniszczyłam już ten uniform. Jeśli teraz umrzesz, naprawdę będę w opałach.

Po długim milczeniu wymruczał niewyraźnie:

- Wpsządku... aniołku...

Perswazja chyba podziałała, bo uspokoił się i leżał bez ruchu, choć oddychał z wysiłkiem. Kirsty wymknęła się do swego pokoju, narzuciła tylko piżamę i szlafrok i już była z powrotem. Usiadła na krześle przy łóżku z zamiarem czuwania przez całą noc. Zmęczenie było jednak silniejsze. Zasnęła.

Obudziła się po jakimś czasie i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że zmorzył ją sen na niewygodnym krześle. Zmieniła pozycję, ale twarde drewno wrzynało się w ciało. Puste miejsce u boku Mike'a wyglądało kusząco, a ponieważ nadal robił wrażenie uspokojonego, wdrapała się na łóżko i położyła obok niego.

Od razu wyczuła jego drżenie. Nachyliła się i dotknęła go delikatnie.

- Mike?

Trząśł się z zimna, miał nieprzytomne spojrzenie.

- Zimno - mamrotał - zimno...

Skórę miał gorącą, ale chyba nie czuł tego. Przedtem próbował zrzucić z siebie pościel, natomiast teraz szczelnie się nią okrywał, szczękając zębami.

Kirsty okryła go dodatkowymi kocami i wsunęła się do środka, by móc go objąć. Instynkt kazał jej nie zdejmować szlafroka, ale po kilku chwilach pod kołdrą było tak ciepło, że zmuszona była się rozebrać. Początkowa nieśmiałość

szybko zniknęła, gdy dotarło do niej, że Mike nie jest niczego świadom. Leżała więc nieruchomo, wpatrując się w ciemność i rozmyślając, co ma robić. Rozum ostrzegał ją, by szukać pomocy, zanim będzie za późno, ale serce rozumiało udrekę, która sprawiła, że wolał śmierć od więzienia. Po jakimś czasie zmógł ją sen.

Nawet jednak we śnie nie znalazła wytchnienia. Miała jeden z tych dziwnych snów, podczas których człowiek wie, że śni. Cztery kawałki zdjęcia składały się w całość i zjawiała się Lois, której chłodne piękno uderzało wyrefinowaniem w zestawieniu z kobietą z farmy. Dłonie Lois były gładkie, drobne i wytworne, podczas gdy jej ręce, stwardniałe od pracy, urastały do monstualnych rozmiarów. Słyszała, że Mike woła Lois; radość bijąca z jego głosu sprawiła, że zebrała wszystkie siły, by się przebudzić i już go nie słyszeć. W końcu udało się i zobaczyła, że wspiera głowę na jej ramieniu, mruczając coś głosem pełnym tęsknoty.

- Mike - odezwała się niecierpliwie i potrząsnęła nim.

- Lois.... - szepnął. W jego głosie był ton, który przeszywał ją na wylot. Nigdy nie słyszała, by mężczyzna wymawiał imię kobiety w taki sposób. Znów zaczęła go tarmosić, ale przestała, gdy wyczuła, że jego ciało jest już chłodne. Najgorsze miał za sobą. Teraz nade wszystko potrzebny był mu sen. Zaczęła powoli wycofywać się z łóżka, ale Mike przytrzymał ją.

- Nie odchodź - wyszeptał. - Zostań ze mną. Pragnę cię.

Pragniesz Lois, pomyślała, odchodzę więc. Raz jeszcze usiłowała się poruszyć, jednak tym razem ramię Mike'a zacisnęło się wokół niej z zadziwiającą jak na przebyłą chorobę siłą. Chciała go odepchnąć, gdy nagle poczuła, że jego dłoń dotyka jej nagiego ciała, wprowadzając je w dziwne drżenie. Ośłupiała z wrażenia.

Tymczasem dłoń Mike'a, która spoczywała na jej talii, powędrowała po chwili w górę, ku odsłoniętym piersiom. Wstrząsnął nią dreszcz niespodziewanej rozkoszy, z trudem złapała oddech. Te doznania były dla niej tak nowe, tak

gwałtowne i wszechogarniające, że poczuła się naraz jakby inną osobą. W dotyku ręki Mike'a była siła, a jednocześnie słodczy, obietnica nieustannej radości i zaproszenie do jakiegoś nie znanego jej dotąd świata.

Te pieszczoty nie są przeznaczone dla mnie, przypomniała sobie z rozdrażnieniem. Ukradła je Lois i teraz musi zwrócić cudzą własność.

Próbowała walczyć, ale już po chwili miała nad sobą twarz Mike'a, już czuła jego usta na swoich, już pograżała się, rozpływała w rozkoszy. Serce waliło jej z całych sił. W zaskakujący sposób po raz pierwszy w życiu doświadczyła prawdziwej namiętności i wszystko, co przed chwilą miało zasadnicze znaczenie, teraz zdawało się jedynie błahostką.

Sama nie wiedząc, co robi, zaczęła odwzajemniać jego pospieszne pocałunki. Jej wargi były miękkie i niecierpliwe. Całowała go lubieżnie, tak jak kobieta, która chce sprowokować swego partnera. Kirsty, w której żaden mężczyzna nie wzbudził dotąd pożądania, instynktownie wyczuła właściwy moment, by rozchylić usta i poddać się naporowi języka Mike'a. Kolejne dreszcze rozkoszy przebiegły po jej ciele i wzbudziły jakieś tęskne oczekiwanie. Przywarła do niego z całych sił.

Zaraz jednak było po wszystkim. Koniec był równie nagły, jak początek. Ręce Mike'a opadły w jednej chwili i przetoczył się na bok. Ani razu nie otworzył oczu.

Dopiero po pięciu minutach zupełnego obezwładnienia Kirsty odzyskała panowanie nad swym ciałem. Muszę wydostać się z tego pokoju, zanim Mike obudzi się, zobaczy i być może uświadomi sobie, co zaszło, pomyślała ze wstydem. Odrzuciła kołdrę, zerwała się na nogi i nie zatrzymała się, dopóki nie znalazła się w swoim pokoju.

Tam opadła na łóżko, oszołomiona i rozdarta między dwoma przeciwstawnymi uczuciami. Jej ciało wciąż pamiętało dotyk jego ust, rąk i jego ciała. Płoneła obcymi jej doznaniem. Było to tak, jakby drzwi uchyliły się i przez szparę dojrzała po raz pierwszy błysk piękna, do którego nigdy nie miała dostępu.



Wyciągnęła rękę, by otworzyć drzwi na oścież, a wtedy one ponownie się zatrzasnęły.

Z drugiej jednak strony Mike nie należał do niej. Oszukiwała siebie i jego. W pewnej chwili uwolnił się z gorączkowych majaków, dostrzegł, że go zwodzi, i z odrazą odwrócił się od niej. Była złodziejką, oszustką, rozpustnicą. Sąsiedzi dobrze o tym wiedzieli, odkryli w niej skazy, na które ona sama była ślepa.

Teraz jednak oczy jej się otworzyły i wstrząsnęła nią własna szpetota. Mówili - czarownica. Mieli rację.

Po dłuższym czasie wstała i zaczęła wkładać robocze ubranie. Poruszała się powoli, jak otepiała. Wreszcie zawiązała włosy w węzeł i mocno nacisnęła na głowę wełniany kapelusz, tak by nie wydostawał się spod niego nawet jeden kosmyk. Następnie nakazała sobie zejść na dół i rozpocząć kolejny dzień pracy.

### 3

Mosiężne pręty łóżka były pierwszą rzeczą, na którą padł wzrok Mike'a. Przez chwilę sądził nawet, że jest w domu. Dziwne, że nadal myślał o domu swych rodziców jak o swoim domu, choć nie było go w nim już od ponad dziesięciu lat. Nie uważał go też za dom wtedy, gdy w nim mieszkał. Był obcym, czarną owcą w przytulnym gniazdku, gdzie wszystko toczyło się niezmiennym trybem i nikt nie zadawał zbędnych pytań.

On jednak zadawał je. Złamał wszystkie możliwe tabu, co zaszokowało rodziców. Miał teraz przed oczyma ojca, który patrząc na syna śniącego sny o potędze, bezradnie kręcił głową.

- Źle skończysz synu, jeśli będziesz myślał tylko o pieniądzach. Pieniądze nie są najważniejszą rzeczą na świecie.

- Są, jeśli się ich nie ma - słyszał swą zjadliwą ripostę.

Miał ostry język i bystry umysł, toteż w kłótniach z rodzicami ciągle mówił rzeczy, które ich niepotrzebnie dotykały. Nienawidził ich urażonych spojrzeń,

nienawidził siebie za to, że do tego doprowadzał, i jeszcze bardziej za to, że nie wiedział, jak powiedzieć „przepraszam”. Ze nie był synem, jakiego pragnęli, i znowu ich za to, że byli tym

rozczarowani. Zaciskał jednak zęby, warczał na rodziców i skrywał przed nimi swe sprzeczne uczucia, bo to mu podpowiadała młodzieńcza ambicja.

Teraz oczami wyobraźni widział matkę, która spokojnie tłumaczyła:

- Nie wiń ojca. Zawsze robił wszystko dla ciebie.

- Nie winię go, mamó. Tylko że po prostu nie cierpię tego miejsca i wszystkiego, co się z nim wiąże.

- Ale przecież dobrze nam się powodzi - mówiła zaskoczona.

Dobrze się powodzi, myślał wtedy ze złością. Ojciec pracował w kopalni, bo w Valeby, małym miasteczku na północy, nie było nic innego do roboty. Rąbał węgiel w czasach, gdy płacono za to grosze, i przyjmował wszystko bez słowa sprzeciwu. Praca zniszczyła mu zdrowie, a dorobił się jedynie lichej emerytury i małego, wynajmowanego domu. Nie ma co, piękne życie!

Jedyne dziecko przyszło im na świat, gdy oboje mieli już czterdziestkę na karku i wyrobione poglądy na życie. Nie umieli poradzić sobie z młodzieńczym buntem Mike'a, a jego do szału doprowadzało to, że rodzice pogodnie przyjmują swą nędzę i są zupełnie uzależnieni od decyzji innych ludzi.

Był bystry i inteligentny, ale w szkole nie błyszczał, ponieważ nudziła go wiedza książkowa; znakomicie operował jedynie cyframi. Rzucił szkołę przy pierwszej sposobności i podjął pracę na budowie. Wysoki i silny jak na swój wiek, szybko dochodził do perfekcji w każdym fachu. Był rozchwytywanym pracownikiem, dobrze zarabiał.

Gdy miał dziewiętnaście lat, zakochał się w miejscowej piękności i bez trudu zdystansował wszelkich konkurentów. Będąc nadal w jakimś sensie dzieckiem z porządnego domu, pomyślał, że romans musi skończyć się małżeństwem. Kupił nawet jeden z domków, przy budowie których pracował. Piękność wzgardziła jednak urokami życia rodzinnego i pomknęła w

siłą dał mercedesem należącym do jakiegoś bogatego gogusia.

Szef Mike'a zaproponował mu, że odkupi dom po cenie zakupu.

- To dobra oferta, chłopcze - powiedział - bo te domy kiepsko idą.

Oczywiście kłamał. Kraj był w takiej sytuacji, że ceny domów podwajały się i potrajały z dnia na dzień. Mike nie był jasnowidzem, ale czuł nosem, żeby nie pozbywać się tego, co ma. Nos okazał się cennym sprzymierzeńcem wtedy i w następnych latach. Wyczuł, kiedy należy dom sprzedać i jak zainwestować trzystuprocentowy zysk w kolejne nieruchomości. Nabral wprawdy w robieniu dochodowych interesów.

Gdy miał już dużo gotówki, poszedł do banku i wystarał się o kredyt budowlany. Po pięciu latach był milionerem, w ciągu następnych trzech potroił majątek i zaczął poważnie inwestować: założył New World Properties, kupował historyczne budynki i przerabiał je na luksusowe hotele. Od czasu do czasu krzyk podnosili obrońcy zabytków i przyrody, ale znajdował sposoby, by przemówić do wyobraźni właściwym urzędnikom.

Rodzice Mike'a z niepokojem przypatrywali się jego karierze. Zdumiewało go, że zamiast cieszyć się z sukcesów syna, nieomal wstydzą się ich.

- To są domy, synku - powiedziała raz matka Mike'a - domy dla ludzi. A ty widzisz w nich tylko lokale mieszkalne, nieruchomości, narzędzia do pomnażania pieniędzy...

Zdumiewały i irytowały go obiekcje matki, która jakby nie rozumiała, do czego doszedł. Stopniowo przestał bywać w domu.

Teraz miał lśniący samochód, wyposażony w telefon, i przenośny komputer.

Mając matematyczny umysł, był za pan brat z komputerami, ale brakowało mu błyskotliwości prawdziwego eksperta. Nieważne. Nauczył się, że za pieniądze wszystko można dostać, więc kupił sobie Hugh'a Severhama. Tak przynajmniej wtedy sądził.

Nauczył się też, że ten, kto ma pieniądze, nie musi poślubiać kobiety, której pragnie. Tak jest zresztą prościej. A jednak z Lois było inaczej: nie

spotkał dotąd tak pięknej, wyrafinowanej i inteligentnej kobiety. Ubiegało się o nią wielu konkurentów, ale tak jak poprzednio, Mike pokonał wszystkich.

Lois pochodziła z zamożnej rodziny, wychowała się pośród ludzi o gładkich dłoniach i gładkich manierach. Mike nazywał ich w myślach stadem maminsynków. Wiedział, że dla nich jest z kolei nieoszlifowanym diamentem, mężczyzną, którego jedwabne koszule nie skrywają pewnego nieokrzesania.

Mike nie usiłował go jednak maskować. Szczerłość i bezpośredniość niejednokrotnie pozwalała zaoszczędzić wiele czasu i wysiłku.

Lois ofiarował największy diament, jaki kiedykolwiek widziała w swoim niedługim życiu, i zapytał: „Tak czy nie?”. Od razu powiedziała „tak”. Upojony powodzeniem, wybaczył rodzicom to, że go zawiedli, i złożył triumfalną wizytę w domu, by przedstawić narzeczoną.

Wizyta wypadła źle. Rodzice zachowywali się grzecznie, ale widać było, że Lois nie przypadła im do gustu. Napięcie między nimi było tak wyraźne, że wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy spotkanie dobiegło wreszcie końca.

Mike z głuchą wściekłością wyjeżdżał z Valeby, obiecując sobie, że nigdy tu nie wróci. Przewycięzając opory rodziców, zaprosił ich na ślub, uparł się, by wysłać samochód i zarezerwował dla nich najlepszy hotel w Londynie. I tak oto uczynił ich świadkami swojego upokorzenia.

Po raz ostatni widział ich na procesie - zapłakana matka, znieruchomiła twarz ojca. Z ich spojrzeń odczytywał, co wtedy myśleli: od początku było wiadomo, że ich Mike źle skończy. Świadomość tego była tak bolesna, że tylko utwardzając serce na kamień, mógł ją znieść. Zabronił rodzicom odwiedzania go w więzieniu. Wytłumaczył sobie, że Dartmoor jest dla nich za daleko. Ale tak naprawdę nie mogliby znieść ich spojrzeń.

Lois przyszła do niego kilka razy, lecz potem powiedział jej, by dała sobie spokój. Pomimo jej uroczych zapewnień wiedział, że uważa go za winnego. W parę miesięcy później jeden ze strażników pokazał mu gazetę z informacją o ślubie Lois z Hughem Severhamem. Przeklął ją, ale potem pomyślał z goryczą:

„a czego innego mogłem się po niej spodziewać?”.

W przeszłości pogardzał sentymentami tych, którzy nie chcieli, by na miejsce zieleni - drzew i trawników - wprowadzał cegły i beton. W więzieniu, przytłoczony żelaznymi kratami i granitem, zaczął marzyć o wolnej przestrzeni. Starzy wyjadacze powiedzieli mu, że z Princetown nie ma ucieczki. Jeśli nie dopadną cię klawisze ani psy, to wykończą wrzosowiska - tłumaczyli. Nie uwierzył im. Musiał spróbować.

Myślał o wrzosowiskach jak o swym sprzymierzeńcu, kryjącym go przed pościgiem. Okazały się jednak bezlitosnym wrogiem, złaknionym jego życia i prawie zwycięskim.

Dopiero ona go ocaliła. Początkowo nie miała imienia, była po prostu kobietą, dawczynią życia. Gdy Mike nieco oprzytomniał, nabrała cech rzeczywistej osoby, noszącej imię Kirsty.

Przypomniały mu się wydarzenia zeszłej nocy. Pielęgnowała go w gorączce, nawet spała przy nim, by czuł się bezpieczny. Było mu nieswojo na myśl o tym, jak śnił o niej, jak we śnie dotykał dłońmi jej nagiego ciała. Na szczęście ona nigdy się o tym nie dowie, chyba że...

Chyba że to wcale nie był sen, pomyślał nagle i zaraz ogarnęło go zażenowanie. Czyżby nadużył opiekuńczości Kirsty, wymuszając na niej pieszczoty? Pewnie poddała się im z litości, wyłącznie ze względu na jego żaloszny stan.

Niebawem tu przyjdzie i wtedy wyczyta prawdę z jej twarzy, pomyślał i w chwilę potem usłyszał za drzwiami jej kroki.

Widok Kirsty potwierdził jego najgorsze obawy. Wyglądała, jakby przeszła przez piekielne męki, które wyssały z niej wszystkie siły. Jej wspaniałe, długie, czarne włosy skrywał wełniany kapelusz, i to tak szczelnie, że nie widać było nawet kosmyka. Pomyślał, że to wyraźne ostrzeżenie dla niego, tym bardziej że dostrzegł jakby cień oskarżenia

w jej oczach. Chciał zapaść się pod ziemię, ale mógł jedynie leżeć i patrzeć, jak jego dobrodziejka, blada i nieprzystępna, stoi w bezpiecznej odległości od łóżka.

Błagałby ją o przebaczenie, ale wiedział, że lepiej tak jak ona udawać, że nic między nimi nie zaszło.

- Przykro mi, że tak się wygłupiłem i znowu złapałem katar. Nie mam prawa przysparzać ci tylu kłopotów. - Wyciągnął do niej rękę. - Kirsty, „dziękuję” to stanowczo za mało, by wyrazić...

- No to daj sobie spokój z dziękowaniem - przerwała mu. Opuścił rękę, czując się, jakby został spoliczkowany. - Zniszczyłam twój uniform - ciągnęła. - To znalazłam w kieszeni. - Podała mu kawałki zdjęcia. - Domyślam się, że to Lois?

- Tak, ale...

- W takim razie widzę wyraźnie, co powinnam zrobić. Daj mi jej numer, to pójdę do wsi i zadzwonię do niej. To Lois powinna ci teraz pomagać, nie ja. Wyraźnie spieszo jej, by się mnie pozbyć, pomyślał.

- Obawiam się, że to nic nie da - odparł. - Jestem ostania osobą, z którą chciałaby się skontaktować. Jest teraz panią Severham.

Twarz Kirsty przybrała inny wyraz, choć dla niego wciąż pozostał on nieczytelny. Zauważył też, że nerwowo zacisnęła dłonie na poręczy łóżka.

- Severham? - powtórzyła. - To znaczy, że poślubiła twego partnera-oszusta?

- Właśnie tak.

- I dlatego podarłeś zdjęcie? Nienawidzisz jej? Nagle zrozumiał, czego obawia się Kirsty. Myśli, że jeśli zwrócił się przeciw Lois, to tym bardziej ochoczo będzie zalecać się do niej.

- Tak mi się najpierw zdawało - pośpieszył z wyjaśnieniem - ale potem uświadomiłem sobie, że trudno mi ją winić. Dziesięć lat to bardzo długo.

Kirsty uśmiechnęła się lekko. - Więc nadal ją...

- Myślę o Lois jako o uroczej kobiecie i nie żywię do niej nienawiści.

- Zostawiam ci to zdjęcie. Zajmę się śniadaniem. Wyszła, a on odetchnął z ulgą. Zrobił wszystko, by ją uspokoić.

Przez następne trzy dni Mike jedynie spał i jadł. Kirsty przychodziła do pokoju tylko wtedy, gdy było to naprawdę konieczne, za każdym razem unikając zbliżania się do łóżka. Nie znosił takiej beczynności, ale podporządkował się jej poleceniom, myśląc, że tyle przynajmniej może dla niej zrobić.

Rankiem czwartego dnia poczuł się znacznie różnie. Poszedł do łazienki i zmoczył twarz wodą. Marzył o kąpieli w wannie, ale dotąd nie odważył się na to. Obawiał się, że w razie nawrotu choroby, musiałby czekać na jej pomoc.

Teraz, nadal nie zapalając światła ze względów bezpieczeństwa, otworzył kurek, napuścił ciepłej wody i z rozkoszą zanurzył się w niej.

Gdy wrócił do pokoju, zastał tam Kirsty.

- Wziąłem kąpiel - wyjaśnił. - Postanowiłem, że dziś już wstanę. Czy mógłbym założyć coś innego?

- W szafie znajdziesz ubrania męża - odpowiedziała i wyszła z pokoju. Znalazł parę tanich garniturów, z których jeden wyglądał na odświętny, i kilka par spodni, lichych, ale świeżo upranych. To samo było z koszulami. Ubrał się i zszedł na dół w parę minut później. Miał na sobie nieokreślonej barwy sweter i sztruksowe spodnie.

- Powstrzymałem się od golenia - powiedział, czując, że ma już tygodniowy zarost.

- To dobrze. Oby tylko włosy szybko urosły. Trudniej będzie cię poznać - odrzekła, nie spuszczać oczu z paleniska.

- Mam nadzieję, że widok tego ubrania nie sprawia ci bólu - powiedział Mike. - Twój mąż zmarł chyba niedawno.

- Rok temu.

Zatkało go. Minął rok, a ona nadal trzyma jego ubrania i drobiazgi. Jakim musiał być mężczyzną, że tak bardzo przywiązał do siebie żonę?

- Jestem już na chodzie, więc zanim odejdę, chciałbym pomóc ci w pracach domowych - zaproponował, gdy Kirsty podawała mu jajka.

- Na razie nie możesz odejść. Jest za zimno, poza tym mogliby cię

zobaczyć.

- No to będę gotować. Albo sprzątać. Mama nauczyła mnie wszystkiego na wypadek, gdybym nie znalazł takiej naiwnej, która wyjdzie za mnie za męża.

- Zgoda. Jeśli zajmiesz się domem, ja poświęcę więcej czasu pracy na farmie.

- Czy twój mąż zajmował się domem? - zaryzykował pytanie.

- Był schludny. Wychował się w taborze.

- W taborze?

- Był Cyganem.

- A więc to nie jego farma?

- Nie. Należy do mnie, jeśli ma to dla ciebie jakieś znaczenie.

Udzielala skąpych odpowiedzi, ale Mike nie zniechęcał się.

- Nie jestem ciekawski - usprawiedliwił się - chcę tylko zaprzyjaźnić się z tobą, poznać cię lepiej.

- Nie musisz - odparła spokojnie. - Uprzedzałam cię: żadnych pytań.

- Powiedz tylko, czy masz dużo pracy o tej porze roku?

- Muszę doglądać owce. No i karmić kucyki.

- Po co, skoro to dzikie zwierzęta? Czy nie szkoda dla nich paszy?

- Tylko robią wrażenie dzikich. Na wiosnę farmerzy wybierają najlepsze i sprzedają. Są małe i potulne, więc idealnie nadają się dla dzieci. Znajdują nabywców.

Mike zmarszczył brwi.

- Czy to naprawdę jest opłacalne?

- No, nie za bardzo - uśmiechnęła się kącikiem ust. Po chwili dodała uszczypliwie: - Równie nieopłacalne, co karmienie zbłąkanych stworzeń, które znajduję w chlewie.

- Celna uwaga. Nie wściekaj się na mnie. Martwiłem się jedynie o twe interesy.

- Jesteś z miasta - powiedziała Kirsty takim tonem, jakby chodziło o istotę



z innej planety.

- To znaczy, że nie rozumiem życia na wsi?

- Nie rozumiesz życia w Dartmoor, - Założyła płaszcz. - Wrócę na lunch.

Zajmij się fasolką.

Mike przyglądał się przez okno, jak Kirsty ładuje widłami siano na przyczepę. Lekko i wdzięcznie radziła sobie z ciężarem; nadziewała i rzucała, nadziewała i rzucała, a on z fascynacją śledził miarowe ruchy jej szczupłej postaci.

Wykonywała tę przyziemną czynność bez śladu niezręczności.

Obróciła się i dostrzegła, że ją obserwuje. W jej spojrzeniu było tak surowe oskarżenie, że cofnął się gwałtownie, tak jakby został przyłapany na podglądaniu jej nagości.

W chwilę potem wyjechała z podwórka i zniknęła pośród bieli wrzosowisk.

Mike wzdrygnął się z obrzydzeniem, przypominając sobie dni spędzone na mroźnej pustyni. Wydało mu się w tej chwili nieprawdopodobne, że w ogóle stamtąd można wrócić.

Kirsty jednak wróciła. Co więcej, przyjechała na lunch w dobrym humorze.

Wkrótce to, co niewiarygodne, stało się codziennością. Mike odpłacał swej gospodyni tak, jak mógł, i z różnym powodzeniem starał się ułatwiać jej życie.

Nie był wprawdzie kucharzem, o jakim marzyła, ale jego potrawy - o ile trzymał się prostych przepisów - dawały się zjeść. Kryzys nastąpił natomiast wtedy, gdy zaczął eksperymentować. Jego wersja gulaszu nadawała się jedynie dla Tarna.

Pies rzucił się na nią z radością i potem każdego wieczoru domagał się kolejnych porcji. Najwyraźniej wolał nieudane eksperymenty Mike'a od starannie odmierzonych i zdrowych dań Kirsty. i Gdy Kirsty nie było w domu, Mike walczył z nudą,

robiąc generalne porządki. Po kilku dniach zaczęła narzekać, że niczego nie może znaleźć, bo on ciągle coś przestawia. Musiała jednak przyznać, że dom lśnił czystością jak nigdy dotąd.

Rozochocony Mike przystąpił nawet do wielkiego wiosennego sprzątnia.

Nigdy nie robił niczego połowicznie, więc oddawał się pracy bez reszty i kończył ją dopiero wtedy, gdy słyszał za drzwiami kroki Kirsty.

Raz otworzył szufladę i przesunął na bok jej zawartość, by zrobić miejsce dla paru drobiazgów. Odsłonił w ten sposób dwie kartki spoczywające na dnie. Jedną z nich było świadectwo ślubu pomiędzy Jackiem Trennonem a Kirsty Wade.

Kirsty nigdy nie powiedziała mu, jakie nosi nazwisko. Teraz wydało mu się skądś znane, choć pamięć nie podpowiadała mu niczego konkretnego. Drugim papierem było świadectwo śmierci Jacka Trennona. Mike zerknął na nie pobieżnie, ale jego wzrok przykuły słowa: „więzienie Princetown”. Zaskoczony, przeczytał resztę. Dowiedział się, że Jack Trennon zmarł na zawał serca w więzieniu Princetown niemal dokładnie rok temu. Nagle Mike przypomniał sobie, że słyszał o więźniu, który zamordował kochankę żony i zmarł tuż przed jego przybyciem do Princetown. Powiadano, że bezwstydną żoną oddawała się z ochotą każdemu, kto jej pożałował. Jeden z więźniów pochodził z okolicy i widział Kirsty. Określił ją dosadnie: „ładna sztuka i do tego chętna”. Wszyscy zgadzali się co do tego, że wprawdzie mąż zabił człowieka, ale właściwie winę ponosi kobieta, która go do tego doprowadziła. Co niektórzy twierdzili nawet, że rzuciła na niego jakąś klątwę i dlatego w wiosce wołają na nią „czarownica”. Teraz Mike z jękiem rozpaczony przypomniał sobie, że zabójca nazywał się Jack Trennon.

Odkrycie, że jego zbawczyni była tą samą kobietą, której cudzołóstwo spowodowało nieszczęście na dwóch mężczyzn, poraziło go. Wpatrywał się tępo w kartkę papieru, nie wiedząc, że od jakiegoś czasu tak samo tępo i bezradnie wpatruje się w niego Kirsty, kobieta, która nie ulękła się ryzyka i udzieliła pomocy zbiegowi. Pomyślał o jej samotnym życiu, o tym, jak owej nocy przyszła do chlewu ze strzelbą, jedynym środkiem bezpieczeństwa. Nie pasowała do poprzedniego obrazu, coś tu się nie zgadzało.

- Jak śmiesz! - Wściekły głos Kirsty wytrącił go z zadumy. Wyrwała mu

kartkę z dłoni i stanęła przed nim z płonącymi oczami. Nie były już bezradne, lecz zimne i gniewne. - Jak śmiesz grzebać w moich rzeczach? - wybuchła.

- Natknąłem się na to przypadkowo.

- Przeczytałeś.

- Tylko dlatego, że rozpoznałem nazwę więzienia.

- Wiesz teraz o mnie więcej niż masz prawo.

- No i cóż z tego? - wymigiwał się. - Fakt, że był skazańcem, nie ma dla mnie takiego znaczenia...

- Nie był skazańcem - obruszyła się. - Nigdy nie postawiono mu żadnych zarzutów. Nie był w ogóle sądzony. Proces dowiódłby jego niewinności.

- Przykro mi. W tym, co słyszałem, było wiele niejasności i - jak sądzę - głównie nieprawda. Najlepiej zapomnijmy o tym.

Ona chwyciła go jednak za przegub ręki i ścisnęła ją aż do bólu.

- W tym, co słyszałem... - powtórzyła złowrogo. - Co takiego słyszałeś?

- Nic, nie pamiętam. To było dawno temu.

- Co słyszałeś? - powtórzyła przez zaciśnięte zęby.

- Na pewno w większości mylili się - powiedział z rozpaczą, świadom, że każdym słowem pogarsza swą sytuację. - Więźniowie z nudów plotkują i wyolbrzymiają drobnostki.

- A ze mnie zrobili tanią dziwkę, prawda? - naciskała go. - Kobieta, która spała ze wszystkimi i sprowokowała męża do zabójstwa. Tak o mnie mówili, czyż nie?

W milczeniu skinął głową. Chciał, by rozstąpiła się pod nim ziemia. Kirsty patrzyła na niego tak, jakby ją uderzył. Widząc słabe ślady ciosu, jaki wymierzył jej pierwszej nocy, pomyślał, że teraz zrobił coś tysiącokrotnie gorszego.

Kirsty również czuła się fatalnie. Ten mężczyzna był zdany na jej łaskę. Nie powinna przejmować się jego sądami. A jednak przejmowała się. Nie mogła znieść myśli, że nasłuchiwał się o niej wszelkich możliwych świństw. Drżącymi rękami odebrała mu świadectwo śmierci Jacka.

- Jeśli masz dość sił, by grzebać w moich papierach, to masz też dość sił, by stąd się wynieść - powiedziała grobowym głosem. - Chcę, byś to zrobił natychmiast.

- Teraz? W biały dzień?

- Nie chcę cię więcej widzieć. - Otworzyła szufladę, wyciągnęła jakieś pieniądze i rzuciła mu. Cofnął się gwałtownie do tyłu.

- Chyba nie sądzisz, że to wezmę?

- Musisz. Jeśli złapią cię w okolicy w ubraniu mego męża, będę miała kłopoty. Weź pieniądze, kup bilet i jedź jak najdalej. Wyświadczy mi tę przysługę.

Wziął pieniądze, biały jak kreda. Oboje wiedzieli, że nie ma wyjścia. Patrząc na jego twarz, Kirsty poczuła gorzką satysfakcję. Niech wie, co to wstyd. Wtedy zrozumie, co jej zrobił.

- Na górze wisi ciepły płaszcz. Weź go - powiedziała. Twarz mu się ściągnęła, ale odwrócił się bez słowa.

Kirsty poczuła ukłucie w sercu, miniony rok był jednak dla niej tak twardą szkołą charakteru, że umiała wytrwać w swych postanowieniach. Nawet tych najtrudniejszych.

Podeszła do drzwi i skamieniała z przerażenia. Dwóch policjantów zbliżało się do furtki. Tymczasem Mike w każdej chwili mógł zejść na dół.

Nie było czasu na wahanie. Chwyciła strzelbę i biegiem wypadła na podwórko, wydzierając się z całych sił:

- Wynosić się stąd! Już! - Policjanci struchleli, a Kirsty zatrzymała się gwałtownie, opuściła broń i powiedziała: - Ach, to wy. Przepraszam. Myślałam, że ktoś znowu dobiera mi się do kurnika. Ile ja miałam utrapienia...

Młodszy z policjantów wyglądał na surowego służbistę. Starszego, dużo życzliwszego, Kirsty widziała już wcześniej. Nazywał się Barker. Przywitał ją grzecznie i przedstawił swego kolegę jako posterunkowego Stourbridge'a.

- Nie mamy szczęścia z tym zbiegiem, przysłano nam więc posiłki -

wyjaśnił. Kirsty odniosła wrażenie, że nie jest tym uszczęśliwiony.

- Co was tu przyniosło? - zaczęła wojowniczo. - Chyba jasne, co mogło się stać z tym facetem, no nie?

- Jak mam rozumieć pani uwagę? - zapytał chłodno Stourbridge. Jego miejski akcent od razu wzbudził niechęć Kirsty. Wiedziała, że patrzy na nią jak na głupią gąskę, więc postanowiła podtrzymać go w tym wrażeniu.

- Wykitował, co nie? - wyjaśniła, podkreślając prowincjonalny akcent. - Już tydzień jak go nie ma. Znajdziecie trupka na wiosnę, jak stopnieje śnieg. Ja tam się martwię o moje kury. Już dwie mi zginęły.

- Czy ma pani pozwolenie na broń? - wtrącił się Stourbridge.

- No jasne. Miał je już mój ojciec. A przed nim dziadek. A przed nim...

- Rodzina Kirsty siedzi na tej farmie od lat - pośpiesznie tłumaczył Barker. - Pozwolenia na broń zawsze były w porządku.

- Mimo to chciałbym zobaczyć...

- No a co będzie z moimi kurami? - wydarła się Kirsty. Na swoje nieszczęście posterunkowy Stourbridge dał się sprowokować.

- Na pewno porwał je lis. To nie ma nic wspólnego z...

- Taak? A skąd pan wie, że to lis, a nie złodziej?

- Czy słyszała pani jakieś podejrzone hałasy?

- No pewnie. Cztery noce temu. Straszne było kwakanie. Ale jak zaszłam do kurnika, nic nie widziałam. Tylko trochę piór naokoło.

- To mógł być poszukiwany - dumął Stourbridge. - Cztery noce temu...

- A co on by miał do moich kur? - odparła Kirsty. - Przecież ani ich nie ugotuje, ani nie wymaca, no nie?

- Były jakieś ślady na śniegu? - dopytywał się Stourbridge.

- Skądby ? ślady? Rozjeździłam tylko śnieg traktorem, bo wiozłam karmę dla zwierząt.

- A więc nie ma pani pojęcia, którędy mógł uciekać skazany?

- Skazanego nie widziałam. Tylko dziurę pod kurnikiem i powiadam wam...

- Wystarczy - uciał Stourbridge. - Trzeba to było zgłosić we właściwym czasie.

- Co? Że kury mi zginęły? - Kirsty dopytywała się głupkowato. - Gdybym za każdym razem...

- Właśnie - wtrącił pośpiesznie Barker, wyraźnie przerażony wizją niepotrzebnej pisaniny. - Gdyby to był Mike Stallard, to z pewnością jest już daleko, ale moim zdaniem to były lisy. - Zaczął popychać nadgorliwego Stourbridge'a w stronę samochodu.

- Zaczekajcie! - krzyknęła za nimi Kirsty.

- Tak? - natychmiast zareagował Stourbridge.

- Jak zobaczycie jakieś kury...

Baker niemal siłą wepchnął kolegę do wozu i szybko odjechał. Upewniwszy się, że policjanci są już daleko, Kirsty zanosła się - po raz pierwszy od bardzo dawna - histerycznym śmiechem. W chwilę później obok niej zjawiał się Mike.

- Wszystko w porządku? - zapytał niespokojnie, nachylając się nad nią. Wyprostowała się, wciąż dusząc się ze śmiechu.

- Jego twarz... widziałeś jego twarz?

- Nie, ale wszystko słyszałem. Byłaś wspaniała. Myślałem, że już po nas.

- Ja też, ale jak tylko zaczęłam z tymi kurami... - znów zanosła się śmiechem.

- Wejźmy lepiej do środka. - Wprowadził ją do domu i starannie zamknął drzwi. - Mało która kobieta poradziłaby sobie w tak trudnej sytuacji. Choć musiało to być również zabawne. - Czując, że niebezpieczeństwo minęło, pozwolił sobie na uśmiech.

- Tak się bałam, że zejdziesz na dół - wykrztusiła. - Jedyne, co mi wpadło do głowy, to wybiec na podwórze i krzyknąć, żeby się wynosili. Liczyłam, że zrozumiesz to ostrzeżenie.

- Zrozumiałem. Znakomicie się z nimi uporałaś.

- Myślę, że jestem szalona albo głupia, albo jedno i drugie. - Te słowa znów wywołały u Kirsty paroksyzmy śmiechu. Mike spojrział na nią z troską.

- Spróbuj się teraz uspokoić - powiedział, słysząc histeryczny ton w jej głosie. Chciał pogłaskać ją po głowie, więc zdjął jej kapelusz, uwalniając falę jedwabistych włosów. Dotyk palców Mike'a podziałał chyba na Kirsty, bo podniosła oczy na jego twarz. Wciąż nie panowała nad drżeniem ciała, śmiała się nerwowo i płakała jednocześnie. - Już dobrze - mówił miękko Mike, biorąc jej twarz w dłonie. - Już po wszystkim. Byłaś wspaniała, szybko podjęłaś decyzję i zachowałaś zimną krew. Znów mnie uratowałaś.

- Tak - szepnęła - uratowałam... Uratowałam...

Nie mógł znieść widoku jej udręczonych oczu. Nie mając nic innego na myśli, jak tylko ukojenie Kirsty, pochylił głowę i złożył na jej ustach delikatny pocałunek.

Histeria minęła i na twarzy dziewczyny widać było teraz, ile nerwów kosztowała ją rozmowa z policjantami. Wyczuwał, jak wciąż drży jej ciało, i nagle zapomniał o swych postanowieniach. Pożądanie wkradło się na miejsce wstydu.

- Kirsty - mruknął, a jego głos zrobił się gruby i zmysłowy. - Kirsty...

Zdawało mu się, że szepnęła „tak”, ale nie był pewien, gdyż spijał już łyżę z jej warg. Namiętność mieszała się w nim z czułością, z nagłym pragnieniem zaopiekowania się nią. Tyle dla niego wycierpiała, a on mógł się odwdzięczyć jedynie ciepłym uściskiem i pieszczotą warg.

Kirsty nie bardzo wiedziała, co się z nią dzieje. Chciała już tylko, by Mike otoczył ją ramionami, chciała czuć ciepło jego ciała i wiedzieć, że wciąż jest bezpieczny. Że i ona jest bezpieczna. Że są bezpieczni razem.

- Mike - szepnęła - obiecaj, że jeszcze nie odejdziesz. Nie chcę, by stało ci się coś złego.

- Powiniennem iść. Jestem dla ciebie zagrożeniem. Zamiast odpowiadać

przywarła ustami do jego warg.

Miał rację. Był dla niej zagrożeniem, ale w zupełnie innym sensie.

Niebezpieczeństwo polegało na tym, że wzbudził w niej pożądanie. Obawiała się tego uczucia, bo jak dotąd prowadziła mężczyzn do zguby. Wiedziała, że powinna odepchnąć Mike'a, ale pragnienie, by tulić się do niego, tłumilo wszystkie inne instynkty. Jak dobrze było oddawać się pieśczości pocałunków, czuć na wargach jego język i upajać się cudownymi doznaniem.

Przypomniała jej się noc, gdy Mike dotykał jej nagiej, i zapragnęła, by teraz zrobił to samo. On jednak miał chyba całkiem inne zamiary, poczuła bowiem, że ją delikatnie, ale stanowczo odpycha. Dyszał ciężko i kurczowo chwycił się jej ramion, ale nie pozwalał jej zbliżyć się do siebie.

- Boże, co ja robię? - usłyszała jego cierpki głos. -Przepraszam, Kirsty. Moje zachowanie jest niewybaczalne, ale przysięgam, że nigdy nie chciałem cię obrazić.

- Obrazić...?

- No wiesz, te wszystkie historie o tobie. Powiedziałem, że nie wierzę w nie, a teraz postępuję tak, jakby to była prawda, jakbyś rzeczywiście oddawała się na zawołanie każdemu, a ja... - Wyrwał się z jej uścisku. - Naprawdę wstydzę się za siebie. Po wszystkim, co dla mnie zrobiłaś, powinienem okazać więcej przyzwoitości...

- Przyzwoitości? - szepnęła zdumiona. Układna przyzwoitość była ostatnią rzeczą, której od niego oczekiwała.

Chciała teraz, by ją rozbierał do naga, zanosił do łóżka i brał raz po razie, nie napotykając na żaden opór z jej strony. Wzbudził w niej namiętność, a teraz, zamiast pokazać, jak się nią rozkoszować, ostudził jej gorące uczucia, mówiąc o przyzwoitości.

- Mike... proszę... - zaczęła, ale przerwał jej.

- Nie musisz nic mówić. Już raz niechcący cię dzisiaj obraziłem i nie zrobię tego ponownie. Chcę, żebyśmy zapomnieli, że cokolwiek się wydarzyło.



Kirsty, czy mogę cię prosić, byś spróbowała o tym zapomnieć?

Z trudem pohamowała się, by nie wyznać mu wszystkiego, co czuje. Co by to dało, skoro prawdziwą przyczyną jego zachowania była nie troska o przyzwoitość, ale pamięć o Lois, a może nawet nadzieja na to, że jeszcze kiedyś do siebie powrócą. Cofnęła się o krok i spojrzała na Mike'a z podniesionym czołem.

- Jasne - powiedziała lodowatym tonem - już zapomniałam. Masz rację. Tak będzie lepiej.

#### 4

Topniał śnieg i szybkim krokiem zbliżał się dzień odejścia Mike'a. Upłynęły już dwa tygodnie, od kiedy się pojawił, i nadal dopisywało im szczęście. Nie interesowała się nimi policja ani nikt inny. Mike wyhodował już porządny zarost, który nawet pasował do jego kruczoczarnych włosów i uwydatniał błękit oczu. Gdy siedzieli razem wieczorami, Kirsty walczyła z sobą, by nie gapić się wciąż na niego, ale gdy tylko myślała, że on tego nie widzi, jej oczy same biegły w stronę Mike'a. Kontemplowanie jego zmysłowych ust, kształtnych dłoni, szczupłego ciała, które wzmacniało się z każdym dniem, dawało jej satysfakcję. Była to jednak gorzka satysfakcja.

Za jego sprawą odkryła namiętność, a teraz poznawała smak niespełnienia. Mike bowiem nigdy nie zachwiał się w swym postanowieniu, by traktować ją z szacunkiem, i nie dotykał jej, jeśli dało się tego uniknąć. Nie mógł jednak sprawić, by jego głos nie przyprawiał jej o dreszcze, by ciało Kirsty nie usychało z tęsknoty za nim.

Zastanawiała się, czy to, co czuje, to właśnie miłość. Zdawało jej się, że brakuje w tym uczuciu czegoś istotne-

go. Miłość związana była przecież z czułością. To właśnie ta czułość sprawiała, że głos Willa miękł, ilekroć mówił o zmarłej matce.

Czy ona i Mike byli wobec siebie czuli? Od początku czuła się z nim w szczególny sposób związana, to prawda. Nie była to wszakże wspólnota uczuć, a wspólnota cierpienia - oboje byli przecież wyrzutkami, ludźmi potępionymi przez społeczeństwo. Nie, zapewniała się, nie jestem w nim zakochana. To tylko ciało dało się w niezrozumiały sposób opętać. Gdy Mike wyjedzie, odzyskam utracony spokój. Im szybciej to się stanie, tym lepiej.

A jednak gdy tylko Mike zwracał się do niej po imieniu, choćby w najbliższej sprawie, serce Kirsty zaczynało tłuc się w piersiach. Czy kiedykolwiek zdoła wyleczyć się z tego obłądu?

- Jadę do Ollershaw - oświadczyła mu pewnego ranka. - Dziś wychodzi miejscowa gazeta. Dowiemy się, co piszą o tobie. Uważam też, że powinienes wyruszyć dziś wieczorem. W każdej chwili mogą znów zacząć się opady śniegu. Ollershaw było malutką osadą, mającą nie więcej niż pięćdziesiąt gospodarstw. Był tam jeden kościół, jeden pub i jeden sklep, własność Fowlerów, sprzedający mydło i powidło i służący jednocześnie jako poczta. Do tego właśnie sklepu udała się Kirsty.

Z przykrością stwierdziła, że za ladą stoi Terry Fowler, krostowaty młodzieniec o obwisłych wargach, który zawsze próbował zająć Kirsty rozmową i jednocześnie wpatrywał się w nią lubieżnym wzrokiem.

- Zabiorę pocztę. - Kirsty wskazała palcem swoją przegródkę, gdzie dostrzegła jeden list. - Poproszę też o miejscową gazetę.

- Jeszcze nie ma - odparł.

- Jest czwartek. Powinna już przyjść.

- A tak. Przyszła. Ale jeszcześmy jej nie rozpakowali. Zrobimy to po południu.

- Nie będę specjalnie drugi raz przyjeżdżać - zaprotestowała Kirsty.

- Nie trzeba. Sam przywiozę ją pani do domu. Kirsty skurczyła się pod

jego śliskim wzrokiem.

- Szkoda fatygi - rzuciła.

- Żadna fatyga. Musi czuć się tam pani samotna. - Wykrzywił usta w niby-uśmiechu. - Żadnego towarzystwa...

Kirsty przywykła już do tego typu aluzji, ale tym razem poczuła wyjątkowy niesmak. Sytuację rozładowało pojawienie się pani Fowler.

- Coś nie w porządku? - zapytała z lodowatą uprzejmością.

- Owszem, Terry mówił mi właśnie, że miejscowa gazeta nie jest jeszcze rozpakowana - wyjaśniła Kirsty. - Zaofiarował się, że przywiezie mi ją do domu.

Na rezultat nie trzeba było długo czekać.

- Przynieś ją w tej chwili! - warknęła na syna pani Fowler i stanęła między nimi.

W innych okolicznościach gorliwość matki broniącej czci zupełnie niepociągającego syna wydałaby się może zabawna, ale dziś jedynym marzeniem Kirsty był jak najszybszy powrót do domu. Zaczęła otwierać list, by czymś się zająć i nie podejmować rozmowy. Rozpoznała pieczęć firmową na kopercie i wiedziała już, co znajdzie w środku.

- Kiepską mamy ostatnio pogodę - zauważyła Fowlerowa.

- Okropną - przytaknęła Kirsty.

- Musi być pani ciężko samej.

- Dziękuję, jakoś sobie radzę.

- Jak długo jeszcze będzie się pani męczyć? Mój brat zaproponowałby rozsądną cenę.

- Już odrzuciłam jego ofertę.

- Ludzie zaczynają być ciekawi, jak długo można wytrzymać, mając wszystkich przeciw sobie. W końcu i tak sprzeda pani komuś tę farmę.

- Zapewne tak, pani Fowler - odparła Kirsty z błyskiem w oku - ale nie będzie to nikt z miejscowych, którzy mnie prześladowali. Mam ciekawsze

propozycje. - Machnęła jej przed nosem kopertą.

- Colley i Syn? - przeczytała Fowlerowa. - A któż to taki?

- Inwestorzy budowlani. Chcą kupić Everdene i postawić tu hotel. Będzie wielka budowa. Niezły pomysł, co? - dodała Kirsty, widząc, jak jej rozmówczyni robi wielkie oczy.

- Nie zrobi nam pani tego. Przecież tu się pani urodziła i wychowała.

- Nie zrobię? A czemu? Ze względu na was? A czy ktoś kiedykolwiek zatroszczył się o mnie? Może pani powtórzyć wszystkim, że jeśli spotkają mnie jeszcze jakieś przykrości, następnego dnia sprzedam ziemię Colleyowi i będziecie sami układać się z nowym właścicielem. A ten nie ma dla Dartmoor sentymentów.

Kirsty rzecz jasna blefowała. Nie miała najmniejszego zamiaru sprzedawać Everdene. Ten blef mógł jednak kupić jej trochę spokoju.

- A jeśli pani syn jeszcze raz będzie robił z siebie Casanovę - ciągnęła - to proszę mu powiedzieć, że... - w tym momencie urwała, gdyż jej wzrok padł na wydrukowane dużymi literami nazwisko w gazecie krajowej. Wzięła ją ze stojaka i zaczęła czytać, pełna złych przeczuc.

- Proszę, to dla pani. - Terry wrócił z miejscową gazetą. Kirsty szybko wzięła ją od niego, zapłaciła za obie i pędem wypadła ze sklepu, wprawiając w zdumienie matkę i syna. Dobięła do traktora, włączyła silnik i natychmiast popędziła do domu.

- Co się stało? - zapytał Mike, gdy tylko ją ujrzał.

- Jak się nazywał ten ekspert komputerowy, na którego pomoc liczyłeś?

- Con Dawlish. A o co chodzi?

- Czy to on?

Kirsty pokazała mu gazetę ze zdjęciem mężczyzny o łagodnej twarzy otoczonej gęstwą białych włosów. Siedział na wózku, który popychała kobieta w stroju pielęgniarki. Artykuł donosił: „Con Dawlish, geniusz komputerowy, którego szelmowskie postęпки zachwycały opinię publiczną, a wprawiały w

zakłopotanie stróżów prawa i porządku, przejdzie w Stanach Zjednoczonych poważną operację serca. Pogłoski mówią, że jej koszty pokrywa międzynarodowy finansista, wdzięczny Dawlishowi za wykrycie braków w systemie komputerowym."

- Nie! - krzyknął Mike, ciskając gazetę. - Tylko nie to!

- Mike, wiem, że to wygląda niedobrze, ale proszę...

- Niedobrze? Con był dla mnie ostania deską ratunku.

- Mike usiadł na sofie i zacisnął pięści w bezsilnej wściekłości. Wyglądał, jakby zupełnie opuściły go siły.

- Wróci, gdy mu się polepszy - przekonywała Kirsty.

- To tylko kwestia czasu.

- A ile czasu mi pozostało? - jęknął Mike. - Mogą upłynąć miesiące, zanim Con wyzdrowieje. A jeśli nie...

- Ukrył twarz w dłoniach.

Kirsty uklękła przy nim i objęła go ramionami. Nie wiedziała, co powiedzieć. Pogrążony był w rozpacz, której głębi nie mogła osiągnąć, choć z całego serca pragnęła mu pomóc. Teraz zrozumiała, że kochać kogoś, to odczuwać jego ból jako swój własny. To wiedzieć, że na świecie nie liczy się nic oprócz szczęścia tej drugiej osoby. Nie mogła wyznać mu własnych uczuć, więc szeptem powtarzała tylko jego imię i muskała policzkiem zmierzwiłone, czarne włosy Mike'a.

- Jestem skończony - powiedział. - Nie ma żadnej nadziei.

- Nieprawda - zaprzeczyła pośpiesznie. - Masz mnie, Mike. A dopóki masz mnie, masz i nadzieję.

- Nie mogę narażać cię na kolejne niebezpieczeństwa. Muszę odejść.

- Nie! - teraz ona krzyknęła. - To byłoby poddanie się, kapitulacja. Nie dopuszczę do tego. Znajdziemy jakiś sposób, nawet gdybyś miał tu się ukrywać całe miesiące. Nie dostaną cię, obiecuję.

Mike patrzył na nią jak na objawienie.

- Skąd ty bierzesz tyle odwagi, Kirsty? Myślałem, że nie brakuje mi jej, ale ty mnie zawstydzasz.

- Tu nie potrzeba odwagi, tylko zdrowego rozsądku

- powiedziała drwiąco. - Masz znakomitą kryjówkę, a im ostrzejsza zima, tym jesteś bezpieczniejszy. Zapewne spisali cię już na straty. Nie rozumiesz? Mamy same atuty po swojej stronie.

- Same atuty - uśmiechnął się słabo. - Tylko ty mogłaś powiedzieć coś takiego w obliczu klęski.

- Nie mów tak. Klęska - to od tej pory słowo zakazane. Klęska, porażka, przegrana, jestem skończony i tak dalej... Tego nie wolno nam mówić - postanowiła.

- Kirsty, mnie łatwo jest ryzykować. Nie mam nic do stracenia, ale ty...

- Ja też nie mam nic do stracenia - powiedziała zwyczajnie.

- To nieprawda i oboje o tym wiemy.

Gdyby tylko mogła mu powiedzieć, jak szczerą była to prawda. Klęcząc przy nim i próbując wziąć na swe barki jego kłopoty, współodczuwając jego strach, ból, cierpienie, Kirsty odkryła wreszcie to, czego zawsze jej brakowało - zawsze, odkąd straciła Willa - miłość. Całkowite utożsamienie się z drugim człowiekiem, przekonanie, że jeśli jemu się uda, nic złego nie może się już przydarzyć - oto jest miłość. A także odkrycie, że dla niego zniosłaby każde cierpienie.

- Masz wiele do stracenia - ciągnął Mike - włącznie z utratą wolności, gdyby cię przyłapano na ukrywaniu zbiega. A jeśli pójdziesz do więzienia, stracisz także Everdene. Pomyśl, na co się decydujesz.

Jej wolność, jej ukochana farma - to było ważne kiedyś. Teraz liczył się tylko on.

- Pomyślałam o tym - powiedziała. - Nie mam już odwrotu.

- W takim razie mogę tylko powiedzieć „dziękuję”.

Delikatnie ujął w dłoń jej twarz. Serce Kirsty załomotało w piersiach.

Miała nadzieję, że dostrzeże miłość w jej błyszczących oczach, które mówią więcej niż wypowiedzieć mogą słowa. Radość narastała w niej, gdy pochylił się i dotknął ustami jej ust.

- Kirsty - powiedział miękko - chcę, żebyś wiedziała o czymś bardzo istotnym. Jeśli mamy mieszkać pod jednym dachem, nie może być między nami żadnych tajemnic czy niedomówień.

Bez słowa skinęła głową. Rozpierało ją szczęście, była nim odurzona. Już za chwilę będzie w jego ramionach, oddając się namiętności, odkrywając prawdziwą potęgę miłości.

- Chodzi o... - zaczął niepewnie. - Chcę, żebyś wiedziała, że nigdy nie nadużyję twojej gościnności. Pocałowałem cię przed chwilą, bo nie widziałem innego sposobu, by wyrazić moją wdzięczność i podziw. Ale obiecuję, że to był ostatni raz. Będziemy bratem i siostrą, przysięgam, że więcej nie tknę cię palcem.

To było jak pchnięcie nożem. Brat i siostra. Takie było jego życzenie, które przenosił na nią. W oczach Mike'a było ciepło i dobroć, ale ani śladu uczuć, które przepelniały serce Kirsty.

- Chyba ufasz, że stać mnie na to? - zapytał trwożliwie. - Powiedz, że tak, bo inaczej nie zostanę.

- Tak, Mike, ufam ci. Brat i siostra, tak będzie najlepiej. - Powstała z miejsca, poruszając się jak automat. Jej miłość ledwo się narodziła i już została odrzucona...

Pośpiesznie wyszła z pokoju. Potrzebowała samotności.

Nazajutrz Mike zaskoczył Kirsty, wstając wcześniej od niej.

- Herbata - powiedział, podsuwając jej kubek. Przyjęła go chętnie, ale zdziwiła się.

- O tej porze i już na nogach? Dopiero szósta.

- Jeśli ty możesz wstawać o tej nieludzkiej godzinie, to i ja mogę. Jeśli mam zostać, muszę ci się na coś przydać.

- Ależ przydajesz mi się!

- Mam na myśli coś więcej niż sprzątanie i gotowanie. Chodzi mi o... -

Mike zawstydził się swojej niewiedzy o pracy na farmie - chodzi o świnię... i o kury... No wiesz... - urwał w połowie zdania, bo Kirsty zachichotała nad kubkiem z herbatą. - Dobrze, śmieję się, ale trzymasz sporo zwierząt w pobliżu domu. Mógłbym je karmić.

- I sprzątać po nich? - zapytała niewinnie.

- Co tylko trzeba - stwierdził stanowczo. - Na górze znalazłem kurtkę z kapturem. Jeśli założę ją i będę trzymał się terenu podwórka, nie widzę w tym nic groźnego.

- No dobrze - zgodziła się z wahaniem. - Ale to będzie cięższe niż myślisz.

- Nie boję się pracy fizycznej.

- Myślałam, że jesteś biznesmenem.

- Od niedawna. Popatrz - pokazał jej dłonie - to są ręce murarza. Tak zaczynałem. Po prostu daj mi robotę i o nic się nie martw.

- Zgoda. Zaczekaj, przebiorę się. - Po chwili zaprowadziła Mike'a do pomieszczenia gospodarskiego. - Widzisz? Takie są obyczaje w Dartmoor: ludzie i zwierzęta pod jednym dachem, przedzieleni tylko ścianą. Ja jednak już nie trzymam tu zwierząt, tylko paszę dla nich. Kiedyś wychodziły stąd drzwi na resztę domu, ale mój dziadek zamurował je i teraz trzeba chodzić naokoło. Mike pomógł jej załadować porcję paszy na taczki i zaprowadził je pod chlew. Nie mógł powstrzymać się od pociągnięcia nosem, gdy weszli do środka, na co Kirsty natychmiast zareagowała.

- Wyzbądź się uprzedzeń na temat świń. Tak naprawdę to bardzo czyste zwierzęta. W lecie kąpią się w błocie jedynie z powodu upału. Ty przecież też bierzesz prysznic.

- Skoro tak mówisz... Kirsty zaśmiała się.

- To jest Etta, to Cora, a to Hanna.



- Nadajesz im imiona?

- A ty nie masz imienia?

- No, ja to co innego.

- Wcale nie. One różnią się między sobą tak samo jak ludzie. Hanna jest łąkoma, Cora - opiekuńcza, jej młode są dwa razy większe od pozostałych, zaś Etta jest strasznym pieszczochem. Prawda, skarbie? - Jak na zawołanie jedna ze świń podbiegła i podetknęła łeb do pogłaskania. -Uwielbia to. Ale nie martw się - zapewniła go - nie musisz tego robić. Po prostu dawaj jej jeść.

Kirsty głaskała potężne zwierzę jak małego pieska. Robiła to zupełnie odruchowo, ze szczerym oddaniem. Uświadomił sobie, że odkrył właśnie inną twarz Kirsty. Ma ich chyba z tuzin, pomyślał.

- Jeśli tak czule je traktujesz, jak możesz jeść ich mięso, albo sprzedawać je?

- Nie robię tego. Sprzedaję jedynie warchlaki, dwa razy do roku.

- W takim razie dlaczego nie zapewnisz im lepszego pomieszczenia? -

Mike zlustrował chlew okiem budowniczego.

- To zbudowano w pośpiechu. Nigdy nie zostało ukończone.

- To dzieło twego męża?

- Nie, to robota... - urwała gwałtownie. - Tak, masz rację. Trzeba przebudować chlew, zanim wezwę właściciela reproduktora.

- Poznaję zupełnie nowy język - westchnął Mike. - Tak naprawdę rozumiem tylko słowo „budować”. No dobra, zaczynam od dzisiaj.

- Co zaczynasz? - Spojrzała na niego z niepokojem.

- Jestem przecież budowniczym. Chyba zdołam sklecić chlew.

Wkrótce potem Mike wykreślił kilka szkiców. Widząc ich poważny, fachowy wygląd, Kirsty uśmiechnęła się z rezerwą.

- O co chodzi? Gdy budowałem domy, zawsze zaczynałem od porządnego planu - tłumaczył Mike. - Czy Etta, Cora i Hanna nie zasługują na to samo?

- Jasne, że zasługują - zgodziła się od razu.

Mike z zapalem zabrał się do roboty i niebawem świnie miały wyśmienite warunki mieszkaniowe. Praca fizyczna dostarczyła mu wiele zadowolenia, tym bardziej że robił coś dla Kirsty.

Zastanawiał się nad słowami, które wymknęły jej się z ust. Miał nadzieję, że kiedyś odsłoni się jeszcze przed nim i da się lepiej poznać. Jej magiczna zmysłowość, piękno, stanowczo skrywane przed męskim wzrokiem, i opór, jaki stawiała nieprzyjaznemu otoczeniu - wszystkie te cechy czyniły z Kirsty intrygującą kobietę. Mimo demonstrowanej siły i samodzielności budziła w nim silne uczucia opiekuńcze. Bał się, że odprawi go z kwitkiem, więc nie zdradzał się z nimi, tylko bez słowa wykonywał wszystko, o co go poprosiła. Wkrótce w całym gospodarstwie nie było ściany, która wymagałaby naprawy, nie domykającej się bramy czy okna. Kirsty trzymała jednak język na wodzy i Mike stracił nadzieję, że kiedykolwiek zyska dostęp do jej prywatności.

Minęło lato i zaczęła się jesień. Pogoda znów się pogorszyła. Kirsty wciąż bez znużenia pracowała na dworze, a on psioczył, że nie może jej ulżyć w najcięższych zajęciach. Powoli nadchodziło Boże Narodzenie. Dni były teraz tak krótkie, że ściemniało się już o czwartej. Mike przysłonił dolne okna kocami i pracował przy świetle lampki. W ten sposób mógł podać Kirsty gorącą kolację natychmiast po jej powrocie.

W Wigilię uprzedziła go, że wróci później niż zwykle.

- Muszę coś zanieść konikom, a po drodze wstąpię jeszcze do kościoła.

- Nie idź - powiedział z troską. - Złość bierze mnie na myśl, że sąsiedzi mogą ci znów dokuczyć.

- Nie martw się - odparła z uśmiechem. - To święto ludzi dobrej woli.

Gdy tylko wyszła, przystąpił do pracy nad niespodzianką, którą planował od kilku dni. Wieczorem niecierpliwie wyczekiwał, aż usłyszy terkotanie traktora.

Gdy wreszcie stanęła w progu, powitał ją słowami:

- Wszystko w porządku?

- Tak. Nikt mnie nie zaczepiał - odparła pogodnie, a on od razu

zorientował się, że siedziała sama w ławce, ignorowana przez sąsiadów. Budziło to w nim wściekłość, ale Kirsty wyglądała na spokojną i pogodzoną ze światem, więc nie wygłosił żadnego komentarza.

- Wejź do środka - zaprosił ją do ciepłej izby. Weszła do kuchni i zamarła z wrażenia. Po dłuższej chwili milczenia, Mike zaczął się niepokoić.

- Podoba ci się? Znalazłem dekoracje na dnie szafy. Nigdy o nich nie wspominałaś, więc nie byłem pewien...

- Nie były używane od śmierci mego ojca - odparła, patrząc z podziwem na papierowe łańcuchy zwieszające się z sufitu. - Ten zrobiłam, gdy byłam małą dziewczynką. Myślałam, że całkiem się rozleciał.

- Tak, ale posklejałem go. - Patrzył z czułością na Kirsty, która chodziła po kuchni i delikatnie dotykała ozdób. W jej twarzy było tyle dziecięcego zachwyty, że aż poczuł ukłucie w sercu.

- To świecidełko zrobił mój dziadek - pokazała palcem na sufit. - Miałam wtedy pięć lat i myślałam, że to jakieś czary. Podniósł mnie do góry, bym mogła mu się przyjrzeć. Wspaniałe mieliśmy wówczas święta... - głos uwiązł jej w gardle.

- Musisz się ogrzać - powiedział, rozcierając jej ręce.

Kirsty pozwoliła sobie usługiwać, rozbrojona jego troskliwością i atmosferą, jaką stworzył. Jakże inne jest to Boże Narodzenie od poprzedniego, pierwszego, które spędziła samotna i odrzucona. Przemknęło jej przez myśl, że dobrze byłoby, gdyby Mike musiał ukrywać się u niej już zawsze, ale natychmiast zganiła się za swój egoizm.

Gdy siedzieli przy piecu, z Tarnem zwiniętym w kłębek u stóp Kirsty, Mike zapytał od niechcenia:

- Czy nigdy nie rozwieszałaś świątecznych dekoracji za życia męża?

- On uważał to za stratę czasu - odparła Kirsty. - Święta to było dla niego przede wszystkim spotkanie z kumplami w pubie. Kiedyś, gdy byliśmy już

małżeństwem od czterech lat, przypomniałam mu, że Boże Narodzenie to święto rodzinne. „Dobrze, gdzie wobec tego jest nasza rodzina?” - odparł. Chciał mieć dzieci i mnie obarczał winą za brak potomstwa. Może miał rację.

- A kto powiedział, że to ty byłaś bezpłodna? - zapytał z oburzeniem.

- Bezpłodność to nie tylko kwestia fizjologii, Mike. Dla niego nie było miejsca w moim sercu i on wiedział o tym. - Powiedziała więcej niż zamierzała. Ciepło bijące z pieca i radość z tego, że ktoś się nią opiekuje, osłabiły jej czujność i samokontrolę. Jak we śnie mówiła dalej: - Staralam się być dobrą żoną, ale nie wychodziło mi to. Nigdy nie wiedziałam, czego ode mnie oczekuje, więc jak miałam mu to dać?

Patrząc na jej łagodnie oświetloną postać, na miękkie, delikatnie zarysowane usta, na twarz pogrążoną w zadumie, Mike domyślał się, czego mógł oczekiwać Jack. Sam tego teraz chciał. Gra toczyła się o wzbudzenie namiętności w tej kobiecie, a pragnienie zwycięstwa prowadziło do obłędu. Czy Jack Trennon popadł w obłęd? Czy był w stanie zabić kogoś dla niej?

- A co się stało wtedy, Kirsty? Skąd ta tragedia? - zapytał łagodnie, a ona zwróciła ku niemu swe wilgotne oczy.

- Czy to takie ważne? Więc dobrze, powiem ci. Trafił tu do nas kiedyś Peter Mullery. Student, poeta. Jego też nie rozumiałam. Plótł jakieś liryczne bzdury, ale myślałam, że robi sobie żarty. Nie przypuszczałam, że... - przerwała, wpatrując się w ogień.

- A potem? - Mike wstrzymał oddech.

- Jack wszystko zrozumiał opacznie. Powiedziałałam mu, że nic się nie stało, że Peter nic mnie nie obchodzi, ale on mi nie wierzył. W pubie doszło do bójki i Jack poszedł w ślad za nim na wrzosowiska. Nie wrócił do domu na noc, a nazajutrz znaleziono Petera martwego. Jack przysięgał, że tego nie zrobił, ale nikt mu nie wierzył. Nikt prócz mnie i Caleba.

- Kto to taki?

- Kuzyn Jacka. Był dla mnie jak brat, nie wiem, jak poradziłabym sobie

bez niego.

- Więc gdzie się podziewał przez cały ten czas?

- Prowadzi wędrowny tryb życia. Jack też taki był, ale kiedyś postanowił się usatkwować. Caleb nigdzie nie zagrzeje miejsca. Rozumiałam powody, dla których odszedł, ale co z tego, skoro później nie miałam się do kogo odezwać. Doszłam wreszcie do wniosku, że w jakimś sensie sama jestem winna. Nie, nie jestem żadną czarownicą, ale gdyby nie ja, nie doszłoby do bójki Jacka z Peterem...

- Przecież uważasz, że Jack go nie zabił...

- Tak uważam, a przynajmniej... - urwała w pół zdania. - Wtedy tak nie myślałam - wydusiła z siebie straszną myśl. - Ktoś jednak musiał to zrobić, a Jack miał gwałtowne usposobienie. Nie wierzę w to, by zaplanował zabójstwo Petera, ale jeśli się bili, mógł to zrobić niechący... Boże, skąd mam mieć pewność? - Ukryła twarz w dłoniach. - Gdyby tylko mi ufał - wyszeptała po chwili. - Nigdy nie spjrzałam na innego mężczyznę i Jack o tym wiedział. Powinien był mi ufać.

- Bywają ludzie z natury nieufni - Mike westchnął ciężko - podejrzliwi wobec wszystkiego.

- A może to ja jestem zbyt ufna - zauważyła z melancholijnym uśmiechem. - Zaufałam ci w sytuacji, w której rozsądna kobieta by tego nie zrobiła.

- Na moje szczęście nie jesteś rozsądną kobietą.

- Nie jestem. I może dlatego zdarzyło mi się to wszystko. - Pokręciła głową. - Widzisz, tu nie chodzi tylko o Jacka. Także o sąsiadów, ludzi, których miałam za przyjaciół. Wszyscy zwrócili się przeciw mnie. Dlaczego?

Ostatnie słowa wymówiła tonem porzuconego dziecka i Mike poczuł, jak kroi mu się serce. Nie mógł powiedzieć tej nieszczęśliwej kobiecie, że ma ona w sobie coś takiego, co wzbudza lęk i nieufność w jednych, a pożądanie i namiętność w innych. Nie był to temat, który powinno się poruszyć tego wieczora;

nie teraz, gdy Kirsty otworzyła przed nim swe serce.

Gdy rozmyślał nad tym, dobiegło go błogie westchnięcie. Spojrzał prędko na Kirsty i uśmiechnął się, widząc, że rozwiązała wszystkie problemy, swoje i jego, po prostu zasypiając.

Postawił ją na nogi, objął ramieniem i zaprowadził w półśnie na górę. Przed drzwiami do jej pokoju pocałował Kirsty w policzek i powiedział „dobranoc”.

Popchnął ją lekko do środka, a sam poszedł do siebie.

Nie zaciągnął na noc zasłon i obudziło go światło księżyca padające na twarz.

Wyrzwał przez okno i zadrżał na widok mroźnej pustyni, w której mógł zostać na zawsze. Gdyby nie ona...

Sięgnął do szafy i wyjął prezent, który zrobił dla niej poprzedniego dnia.

Było to pudełko na przybory do szycia wykonane z drewnianych odpadków, wyheblowanych i pięknie wygładzonych. Powstało w tajemnicy przed Kirsty, w czasie gdy była na farmie.

Wyszedł z pokoju, po cichu przemknął się korytarzem i przystanął przed jej drzwiami, nasłuchując w skupieniu. Chciał tylko zostawić prezent i odejść, ze środka dobiegły go jednak urywane, stłumione krzyki, zawahał się więc i zaniepokoił. Jeśli męczy ją zły sen, powinien uszanować jej prywatność i odejść, ale wiedział też, że nie może zostawiać jej samej w strapieniu. W końcu zdecydował się. Otworzył drzwi do sypialni.

Kirsty leżała na wznak, z zamkniętymi oczami. Dźwięki, które wyrwały się z jej gardła, były niepodobne do niczego, co dotąd słyszał. Budziły skojarzenie z lamentem złapanego w pułapkę małego zwierzątka. Położył pudełko na nocnym stoliku, usiadł na łóżku i wziął ją za ramiona.

- Kirsty - mówił, łagodnie nią potrząsając. - Kirsty...

Jego dotyk albo jego głos uspokoiły ją, bo przestała krzyczeć i leżała nieruchomo; nie obudziła się jednak. W świetle księżyca dostrzegł na policzku błyszczącą plamę wilgoci. Przeklinał się za to, że wskrzesił jej nocne koszmary. Nagle gwałtownie przewróciła się na bok i piżama, za duża na jej szczupłą

sylwetkę, zsunęła się, odsłaniając cudownie białe ramię. Mike poprawił piżamę, by uchronić Kirsty od zimna. Muskając palcami jej skórę, poczuł, że jest gładka jak jedwab. W jednej chwili obudziło się w nim tak silne pożądanie, że musiał hamować się z całych sił, by nie ściągnąć z niej ubrania i nie zacząć całować. Nie, powtarzał sobie najwyższym wysiłkiem woli, nie wolno mu ulec pokusie, nie może skorzystać z jej bezbronności, musi natychmiast odejść. Brakowało mu jednak energii, by zamienić to w czyn. Wszystkie siły poświęcił więc na to, by siedzieć w miejscu i zachować panowanie nad sobą.

Udało mu się to tylko połowicznie. Panował nad swymi rękami, ale nie nad myślami, w których obnażał ją całą i napawał się pięknem nawiedzającej go w snach postaci. Nie panował też nad bólem w lędźwiach, które wołały o to, by ją pojąć. Rozum mógł upajać się swym honorem i szlachetnością, ale jego męskość nie chciała o tym słyszeć. Rzeczywiste było tylko gwałtowne pragnienie spełnienia, do którego droga wiodła przez jej słodkie ciało.

Szala zwycięstwa długo przechylała się to na jedną, to na drugą stronę. Kirsty tymczasem, niczego nieświadoma, spała w jego ramionach. Znów musnął palcami jej skórę. Było to igranie z ogniem, wiedział o tym, ale nie mógł się powstrzymać. Jeszcze bardziej niebezpiecznie byłoby pochylić się nad nią, dotknąć jej ust...

W ostatniej chwili przypomniały mu się jej słowa: „Zaufałam ci w sytuacji, w której żadna rozsądna kobieta by tego nie zrobiła”. Pomyślał, że teraz właśnie nadużywa tego zaufania i jeśli Kirsty się obudzi, poczuje się oszukana. Być może będzie to nawet o ten jeden raz za dużo.

Oblał go zimny pot, namiętność ustąpiła miejsca lękowi. Wypuścił Kirsty z rąk i wstał z łóżka. Wycofywał się powoli, tak by jej nie zbudzić. Gdy otwierał drzwi, poruszyła się przez sen i nakryła kołdrą po uszy. Nocne koszmary zniknęły bez śladu.

- Dobranoc, Kirsty - szepnął. - Wesołych Świąt.

Mroźna zima ustąpiła miejsca wczesnej wiosnie. Ulewne deszcze sprawiły, że wezbrały wszystkie potoki i całe Dartmoor zaczęło tonąć w błocie. Mimo niesprzyjających warunków, Kirsty była na swój sposób szczęśliwa. Nie spełniła wszystkich pragnień, ale spędzała każdy dzień w towarzystwie Mike'a. Trzymała jego świąteczny podarunek na stoliku przy łóżku, była to więc za każdym razem pierwsza rzecz, którą widziała po obudzeniu.

Przeszukiwała gazety, chcąc natrafić na wieści o Conie Dawlishu i w końcu została wynagrodzona: znalazła zdjęcia pokazujące, jak dochodzi do formy w domu swego dobroczyńcy. Walczyły w niej sprzeczne uczucia. Cieszyła się, że Mike ma nadal szanse na sprawiedliwość, ale z drugiej strony nie chciała, by kiedykolwiek opuścił Everdene.

Świnie miały się znakomicie i oczekiwały na młode. Kirsty zaglądała do nich na koniec popołudniowego obchodu, tuż przed powrotem do ciepła domowego ogniska, gdzie Mike zawsze czekał na nią z herbatą. Siadała, a on ściągał jej buty. Szybko przerodziło się to w swoisty rytuał.

Myślała o tym wszystkim z radością pewnego popołudnia, drapiąc Ettę po grzbiecie.

- Jesteś piękna, prawda? - mruzczała, a Etta pochrząkiwała z zadowoleniem.

Gdy usłyszała za sobą kroki, odwróciła się, sądząc, że to Mike wszedł do chlewu. Po chwili poczuła, że jedna dłoń wędruje ku jej talii, a druga sięga do ramion.

- Nie tylko ona jest piękna - usłyszała znajomy, wesołkowaty głos. Przez chwilę stała jak sparaliżowana, ale zaraz się otrząsnęła i odepchnęła od siebie natręta.

- Caleb! Skąd się tu wziąłeś?



- To ci dopiero miłe powitanie - zawołał, patrząc na nią z błyskiem w oku.
- Nie wiesz, że zawsze cię odwiedzam?

Kątem oka dostrzegła, że Mike jest na podwórku. Odwróciła się gwałtownie, zmuszając Caleba, by stanął plecami do drzwi chlewu.

- Nie o tej porze. Jest dopiero wiosna. Albo jesteś spóźniony albo przyszedłeś przedwcześnie.

Objęła go mocno i przez ramię patrzyła na podwórko. Zobaczyła, jak Mike wpada pędem do kuchni i uprząta wszelkie ślady swojej obecności.

- To już bardziej przypomina powitanie - powiedział Caleb, odwzajemniając jej uścisk. - Serce tłucze ci się w piersiach jak ptaszek w klatce. Czy to przeze mnie, kochanie?

Kirsty wpadła w panikę. Co za nieszczęście! Musi jakoś zatrzymać Caleba na zewnątrz, by dać czas Mike'owi. Cofnęła się i nie wypuszczając go z objęć, spojrzała mu w twarz.

- Jestem zła na ciebie, że nie pojawiłeś się zeszłego lata, gdy naprawdę potrzebowałam pomocy.

- No tak. Miałem tu być, ale niezależne ode mnie okoliczności sprawiły... Zresztą nieważne... Takie tam drobne nieporozumienie... Niestety sędziowie rozpoznali mnie i dostałem wyrok dłuższy o trzy miesiące.

- Byłeś w więzieniu? - zapytała zdumiona.

- No pewnie. To już rodzinna tradycja, skarbie.

- Mnie to nie śmieszy - powiedziała sucho, odsuwając się od Caleba.

- Mnie też nie. Przepraszam. Powiedziałem tak, bo nie chciałem, żebyś wzięła sobie do serca moje wybryki.

Wiedziała, że mówi prawdę. To, co stało się tragedią dla Jacka i Mike'a, dla niego było po prostu niefortunnym wypadkiem.

- Czy będę niegrzeczna, jeśli zapytam, co zrobiłeś?

- Dlaczego z góry zakładasz, że coś zrobiłem?

- Znam cię, Caleb. Jesteś nicponiem. Uśmiechnął się, odbierając to

określenie jako komplement.

- Trzeba sobie jakoś radzić w życiu. A że czasem noga się podwinie... Tak właśnie się stało. Byłem pośrednikiem w małym interesie. Skąd miałem wiedzieć, że sprawa brzydko pachnie?

- Ile dostałeś?

- Osiemnaście miesięcy, ale odsiedziałem tylko połowę. Darowali mi resztę za dobre sprawowanie.

Kirsty opanowała się na tyle, że nawet zażartowała.

- Ty i dobre sprawowanie?

- Gdybym tylko mógł, dotarłbym tu na żniwa, wiesz przecież. No, ale teraz jestem do twych usług. Może byś tak napoiła spragnionego?

- Później. Najpierw pokażę ci, jakie zmiany zaszły na farmie - odparła, biorąc Caleba za rękę gestem nie tolerującym sprzeciwu.

Wyprowadziła go daleko za podwórko i udało jej się zyskać jakieś piętnaście minut.

- Jeśli za chwilę nie dostanę czegoś do picia, umrę z pragnienia - zbuntował się w końcu.

Ku jej ułdze w kuchni nie zostało nic, co mogłoby wydać Mike'a. Modliła się za niego tak gorąco, jak nigdy w życiu.

Caleb zjadł to, co mu naszykowała, ledwo patrząc na talerz. Cały czas nie spuszczał wzroku z Kirsty.

- Nie podoba mi się, że masz włosy przyciśnięte tym kapeluszem - gderał.

- Tak jest wygodnie - ucięła kwestię. - A tylko to się liczy.

- Daj spokój, jesteś za młoda, by tak mówić. Tamto już minęło.

- Dla mnie nie minęło, Calebie. Tutaj wszyscy uważają mnie za czarownicę i wcielenie wszelkiego zła.

Przyjrzał się uważnie jej twarzy.

- Wiesz, że bardzo się zmieniłaś?

- Chyba nic w tym dziwnego?

- Nie, ale... - Nagle wyciągnął rękę i szybkim ruchem ściągnął wełniany kapelusz z jej głowy, pozwalając czarnym jak smoła włosom opaść falą na plecy.

- Tak jest lepiej. Teraz bardziej przypominasz tę Kirsty, którą znałem. Ledwo usłyszała to, co mówił Caleb. Jakiś dźwięk czy ruch wzbudził w niej podejrzenie, że Mike stoi na podeście.

- Dobrze, starczy już tych komplementów. Wiesz, że ich nie oczekuję. Jeśli chcesz znaleźć wolne miejsce w pubie, musisz chyba już iść. - Z trudem kryła napięcie w głosie.

Caleb jednak nie chciał odejść. Wciąż gładził ją po włosach.

- A po co mi miejsce w pubie, gdy mogę zostać tutaj, tak jak zawsze? - zapytał przymilnie. - Chodź tu, skarbie. Caleb się tobą zaopiekuje.

Wymknęła się jego rękom.

- Gdy byłeś tu ostatni raz, żył jeszcze Jack.

- Ale Jack nie żyje już od roku. Czy nie doskwiera ci... samotność? Rok bez mężczyzny to długo dla kobiety takiej jak ty.

- Kobiety takiej jak ja! - zawtórowała. - Niby jakiej? Czy i ty przyczepisz mi etykietkę?

- No już, już - mówił ze śmiechem. - Chciałem tylko powiedzieć, że za długo jesteś wdową. Mimo wszystko, kiedy kobieta przyzwyczaja się do... Nie sądzę, żeby Jack mógł wiele zdziałać, no ale zawsze to było coś... - Przyciągnął Kirsty do siebie i przywarł do jej ust.

Wszystko w niej burzyło się przeciw temu, ale powściągnęła chęć, by go gwałtownie odepchnąć. Zdarzało się, że Caleb zachowywał się nieobliczalnie, wołała więc nie prowokować awantury. Stosowała bierny opór, nie reagując na jego pieszczoty. Uniosła w końcu ręce, ale tylko po to, by się od niego uwolnić.

- Puść mnie! - powiedziała stanowczo, ale bez złości, by go nie prowokować i nie wzbudzać podejrzeń.

- Nie robisz wrażenia zbyt zdecydowanej - zaśmiał się.
- Nie zmuszaj mnie, bym okazała zdecydowanie - odparła, mrużąc oczy.
- Pomyślałem, że nie zawadzi spróbować.

Ręką przytrzymał ją za kark, toteż nie mogła mu się wyrwać, gdy znów pochylił się nad jej twarzą. Już miał ją pocałować, gdy w ostatniej chwili jakiś cień zakrył światło wpadające do kuchni.

- A, tu cię mam! - powiedział ostro kobiecy głos. Caleb z westchnieniem puścił Kirsty i zwrócił się w stronę nieoczekiwanego gościa.

- Mówiłem, żebyś zaczekała na mnie we wsi - powiedział lekko podirytowany. - Kirsty, to jest Jenna. Moja znajoma. Kobiety przywitały się, Kirsty z wyraźną ulgą, Jenna z chłodną rezerwą. Miała jakieś dziewiętnaście lat, ubrana była w lichą koszulę i dżinsy, które uwydatniały jej ponętne kształty. Traktowała Caleba jak swą własność.

- Znudziłam się czekaniem - wyjaśniła, przysuwając się bliżej niego i patrząc podejrzliwie na Kirsty.

- A więc już koniec czekania - pośpiesznie powiedziała Kirsty. - Caleb właśnie wychodził.

Nie opierał się, gdy dziewczyna pociągnęła go ku wyjściu, i zachował pogodny wyraz twarzy. Kirsty ujrzała jednak Caleba w innym świetle i to ją zaniepokoiło. Do tej pory przywykła traktować go jak bratnią duszę, trochę nieobliczalnego, ale oddanego przyjaciela. Dziś ujrzała w jego oczach czyste, zwierzęce pożądanie, którego

tak nienawidziła w innych mężczyznach. Caleb posunąłby się na tyle daleko, na ile by mu pozwoliła, i nie przeszkodziłby mu w tym fakt, że ma inną kobietę. Kirsty wyszła z nimi na podwórko i odprowadziła ich wzrokiem, zdecydowana odprawić Caleba, gdyby jednak zechciał wrócić. Jego nieoczekiwane zaloty uświadomiły jej ze zdwojoną siłą, że Mike zachowywał się inaczej niż wszyscy: o ile mógł tego uniknąć - nigdy jej nie dotykał. Akurat on jednak mógłby to

zrobić i nie wprawić ją w obrzydzenie. On jeden. Od tygodni marzyła o jego pieścizotach, pragnęła go całym ciałem, teraz znowu odczuła, jak dotkliwie jej tego brakuje.

Pośpiesznie zawróciła do domu i spojrzała na schody, gdzie spodziewała się go znaleźć. Nie było jednak po nim śladu.

- Mike! - zawołała. Nie otrzymawszy odpowiedzi, poszła do jego pokoju i zastała go stojącego przy oknie, w półmroku. Przyglądał się odchodzącym Calebowi i Jennie. Odwrócił się i zobaczyła jego twarz nabrzmiałą gniewem.

- Dlaczego go nie odepchnęłaś? - zapytał zimno. - Co?

- Dobrze słyszałaś. Dlaczego go nie odepchnęłaś? - Powiedziałam, żeby mnie zostawił... - Doprawdy? Widziałem, jak sobie gruchaliście, zniżając tylko głosy, żeby was nie było słychać. Nie wyglądał raczej na odtrąconego. Coś bardzo go ubawiło.

- Caleba wszystko bawi. On już taki jest. Mike przybrał surowy wyraz twarzy.

- Jak widzę, dość dobrze wiesz, jaki on jest.

- Jeśli naprawdę chcesz przez to powiedzieć... to chyba coś ci się pomieszało w głowie. - Ogarnęła ją złość. - Za kogo się, do licha, uważasz, żeby mnie tak wypytywać i obrażać?

- Obrażać? - Parsknął szyderczym śmiechem. - A to dopiero. To najlepszy dowcip świata. I pomyśleć, jak bardzo się obawiałem, by cię nie urazić, jak wyłaziłem ze skóry, by skrywać swe uczucia, bo chciałem ci pokazać, że cię szanuję... Byłem głupcem i tyle. Jemu wolno dobierać się do ciebie...

- To nieprawda - gwałtownie zaprzeczyła Kirsty.

- Nie rozśmieszaj mnie. Wystarczyło kopnąć go w kostkę albo dać mu po twarzy...

- I wywołać awanturę, nad którą nie zdołałabym zapanować - dokończyła sarkastycznie. - Próbowałam tylko rozładować sytuację.

- Bardzo zgrabnie ci to szło. Nie wiesz, że w ten sposób może ci się nie

udać „rozładować sytuacji”. Gdy się ma do czynienia z takim łotrem... - urwał nagle i zdenerwowany przeciągnął dłonią po włosach, starając się opanować. Wiedział, że zachowuje się nierozsądnie, ale wpadł w sidła zazdrości i miotał się teraz bezradnie. Nadludzkim wysiłkiem zdołał wrócić do równowagi, Kirsty jednak ponownie zaogniła sytuację, broniąc Caleba.

- On nie jest łotrem - oświadczyła zdecydowanym tonem. - Był moim przyjacielem, a ja nie porzucam przyjaciół tylko dlatego, że zdarzy im się popełnić błąd.

- Cóż za szlachetność! Wiem, co by się stało, gdybym to ja zrobił taki „błąd”. Nigdy nie wychyliłaś się nawet o milimetr. Zawsze sucha, konkretna, nieprzystępna...

- Ty nie chciałaś, żebym się wychyliła.

- Inaczej: nigdy o to nie prosiłem, bo hamowałem się dla twego dobra. Nie chciałem cię ranić, bo pamiętałem o twoich urazach i uprzedzeniach, ale jeśli nie widzisz, że od dwóch miesięcy przeżywam tortury, pragnąc cię, myśląc o tobie, marząc o tobie, nie śpiąc z twego powodu i nie mogąc cię zdobyć, to musisz chyba być ślepa!

Mike dyszał ciężko, a jego oczy płonęły blaskiem, którego przedtem w nich nie widziała. Patrzyła na niego i powoli docierało do niej, co przed chwilą powiedział. Radość była o krok, ale na razie górę brała wściekłość.

- Musiało sprawiać ci przyjemność trzymanie mnie na dystans.

Wiedziałaś, że płonę z pożądania, i bawiło cię to

- ciągnął ponuro. - Może i słusznie mówią, że prowokujesz mężczyzn... - Zmieniony nagle wyraz jej twarzy powiedział mu, że posunął się za daleko. - W porządku. Odszczekuję. Nie słyszałaś tego, Kirsty - wycofał się prędko.

- Nigdy nie mówiłem, że...

- Tak, żałuj, że to powiedziałaś - rozeźliła się Kirsty.

- Kim ty jesteś, by mnie sądzić? Co ty o mnie wiesz? Nic, bo inaczej nie plótlbyś takich głupot. Nie pozwolę, byś traktował mnie jak namiastkę Lois...

- A co do diabła Lois ma z tym wspólnego? - wrzasnął.

- Nie zmieniaj tematu.

- Lois należy do tematu. To ona zawsze była tą, której pragnąłeś.

Myślałeś, że będziesz się kochać ze mną, myślami cały czas będąc przy niej, tak? Nic z tego. Nie jestem manekinem.

Teraz on patrzył na nią zdumiony.

- Między mną a Lois wszystko skończone - powiedział z wymuszonym spokojem. - Jest żoną Hugh'a Severhama. Jeśli o mnie chodzi, to zamyka sprawę.

- Wcale nie zamyka. W każdym razie powinieneś bardziej kontrolować to, co mówisz przez sen.

- Skąd wiesz, co mówię przez sen? Nie było cię przy mnie. Wciąż starałaś się zachować dystans.

- Ja się starałam?

- Tak. A ja, głupiec, uszanowałem to. Nie spędziliśmy razem ani jednej nocy.

- Cóż za wybiórcza pamięć! - zachnęła się Kirsty. - Nie, nie mówię o ostatnich miesiącach. Mówię o twoich pierwszych nocach tutaj, gdy wciągnęłam cię do domu jak przemoczoną kurę. Weszłam do twego łóżka, byś czuł się bezpiecznie, a ty cały czas gadałeś o Lois.

- A ty uwierzyłaś... w co uwierzyłaś? Nie nadażam za twoimi myślami.

- To całkiem proste. Nie zamierzam zastępować ci innej kobiety. Tamtej nocy tuliłeś w ramionach Lois i... Zresztą to nieważne.

- Dla mnie ważne - powiedział z płonącymi oczami, nie pozwalając Kirsty odwrócić twarzy. - Dokończ.

- Skoro nie pamiętasz, to nieważne - powiedziała z wściekłością i odepchnęła jego dłonie.

- Znów żądasz, żebym zachował dystans? - uśmiechnął się szyderczo.

- Ja żądam? A kto powiedział: „Będziemy bratem i siostrą”. A może tego też nie pamiętasz?

- Nie, w odróżnieniu od ciebie pamiętam nie tylko to, co jest dla mnie wygodne - odciął się Mike. - Powiedziałem tak, bo ty tego chciałaś.

- Chyba sobie kpisz!

- Ty sobie chyba kpisz!

- Nie mów mi, czego chcę - wrzasnęła. - Sama to wiem. Chcę ciebie. Zawsze chciałam, ale ty masz widocznie klapki na oczach.

Mike chwycił się za włosy.

- Kobieto, niech Bóg ci wybaczy takie przekręcanie faktów. Kto ma klapki na oczach? Czy nie widziałaś, że pragnę cię do szaleństwa?

- Nie wierzę ci - Kirsty zabrakło tchu.

- Trudno. Mam już dość sporów na ten temat - mruknął Mike i po prostu wziął ją w ramiona.

Cały gniew, całe napięcie znikło bez śladu, gdy tylko znalazła się w jego objęciach. Kiedyś tak bardzo pragnęła czuć jego usta na swoich, a teraz wpijał się w jej wargi z dziką namiętnością, która wyzwalała w niej skrywane przez wiele miesięcy pożądanie. Marzyła o takim pocałunku w samotne, niespokojne noce, a teraz nie był to już sen, lecz palące doznanie, któremu poddawała się w upojeniu.

Była pewna, że to ją Mike całuje, że właśnie jej pragnie. Ona też nie pragnęła nikogo innego. Czowała w ustach jego język, badawczy, kuszący, zdobywczy, przyprawiający o dreszcze. Myślała do tej pory, że poznała prawdziwą namiętność tamtej jednej nocy, gdy po raz pierwszy ją objął. Teraz przekonywała się, że to był jedynie przedsmak tego, co możliwe. Namiętność była jak pożar, w którym płonęło jej stare ja, z którego wyłaniało się nowe, ożywiane jedną myślą i jedną wolą - niepowstrzymanym pragnieniem ostatecznego połączenia się z Mike'em.

- Czy teraz mi wierzysz?

- Tak... tak... - szeptała bez namysłu. - Byłam ślepa. Myślałam...

- Nieważne, co myśleliśmy - mówił, ciężko dysząc - liczy się tylko teraz.



- Tak - zgodziła się w upojeniu. - Tylko teraz.

Mike całował Kirsty, wyciągał koszulę z jej spodni, wsuwał pod nią ręce, chcąc dotknąć nagiego ciała. Mruknął z zadowolenia, gdy odkrył, że Kirsty nie ma na sobie stanika i że dostęp do jej gorących piersi jest zupełnie swobodny. Dotknął ich, a ona omal nie zemdlała z wrażenia. Jej palce, które rozpięły guziki jego koszuli, zatrzymały się na chwilę, zacisnęły w spazmie rozkoszy.

Nie wiedziała, kiedy dokładnie pociągnął ją na łóżko, ale od jakiegoś czasu była tam, a on u jej boku. Przyciskał ją do piersi, nie przestawał rozbierać. Pomagała mu gorączkowo, bo chciała być naga z nim i dla niego. Tylko w ten sposób mogli zapomnieć o barierach, jakie wyrosły między nimi, i być po prostu razem, jak kobieta i mężczyzna. Jego ręce wędrowały zachłannie po jej długich nogach, szczupłej talii ku okrągłym piersiom. Mruczała z rozkoszy, wiała się pod jego dotykiem.

- Zawsze wiedziałem, że jesteś piękna - szepnął - ale ty robiłaś wszystko, by kryć się przede mną...

- Myślałam, że mnie nie chcesz...

- Teraz znasz prawdę - powiedział i przykrył wargami jej usta.

Posłusznie poddała się jego woli i pozwoliła się całować. Całował ją mężczyzna, który wiedział, jak zrobić, by pocałunek stał się dziełem sztuki. Chciała, by trwał wieki, ale on był jedynie kuszącą zapowiedzią jeszcze większych rozkoszy.

Uczył ją teraz, jakie to rozkosze. Wsunął dłoń między jej uda. Jęknęła słodko, cała była jednym wielkim oczekiwaniem, pragnęła mieć go już w sobie i w końcu znalazł się między jej rozchylonymi nogami i wszedł w nią jednym, gładkim ruchem. Przyjemność była tak wielka, że graniczyła z ekstazą. Kirsty spodziewała się wielkiej rozkoszy, lecz jej sny nawet nie zbliżały się do rzeczywistości.

- Czy zabolalo cię? - zapytał z niepokojem.

- Nie, nie, dobrze... proszę, Mike...

Nie do końca wiedziała, o co błaga, ale on nie miał wątpliwości. Zaczął się w niej powoli, rytmicznie poruszać. Z każdym ruchem nowa fala słodczy przenikała ją głębiej i głębiej, aż wreszcie zawładnął jej ciałem bez reszty. Kochali się z zapamiętaniem, biorąc i dając, wzywając i odpowiadając, pogrążając się w otchłani zmysłów. Ciało Kirsty, którego nie potrafił ożywić nikt inny, płonęło teraz dla Mike'a. Oto był nieznany jej dotąd sekret, siła mogąca wystawiać kobiety i mężczyzn na pośmiewisko, ale także czynić ich równym bogom. Dla tej jednej chwili gotowa była bez wahania złożyć ofiarę z całego życia. Uniosła biodra, by przyłgnąć do niego i czuć całym ciałem jego moc. Zaczął poruszać się szybciej. Zbyt silne było ich pożądanie, żeby bawić się w subtelności, później przyjdzie czas na czułość. Teraz było w nich tylko domagające się zaspokojenia pragnienie. Biodra Kirsty dopasowały się już rytmem do ruchów jego bioder. Czuła, że jeszcze chwila, a ogarnie ją coś, co przerasta wszelką radość, której do tej pory doświadczyła. Nie mogła już dłużej zwlekać. Wyprężyła się i wtedy rozbłysło w niej coś oślepiającym światłem. Ale i to nie był koniec. Rozkosz rosła w niej i rosła w zawrotnym tempie, aż wreszcie cały świat eksplodował, a ona rozplynęła się w nim, niczym pyłek rzucony w galaktyczny bezmiar. Najpierw krzyczała, potem płakała ze szczęścia, wreszcie dyszała ciężko, leżąc u jego boku. Mike trzymał ją w ramionach i patrzył na nią z rozmarzonym uśmiechem.

- Wszystko dobrze? - zapytał. Skinęła tylko i przytuliła się do niego.

- Nie wiedziałam - wyszeptała. - Czuję się, jakbym spędziła całe życie na linie zawieszanej nad przepaścią, nie zdając sobie dotąd z tego sprawy.

Obejmował ją i uspokajał pocałunkami. Po jakimś czasie poczuł, że jej mięśnie się rozluźniły, a wtedy Kirsty - cudownie odprężona - opadła na łóżko.

- Mike... O co myśmy tak walczyli? - zapytała półgłosem.

- Myślę, że na to pytanie oboje znamy odpowiedź - roześmiał się.

Znów padła mu w ramiona. Tak, oboje to zrozumieli, kiedy w samym środku

kłótni, wśród gniewu, urażonej dumy i zazdrości, wyłowili sygnały mówiące o tym, że tak naprawdę jedno drugiego pragnie i że pragnienia tego nie nasyci nic poza wzajemną bliskością, oddaniem, jednością.

- Czy rzeczywiście pragnąłeś mnie przez cały czas?

- zaczęła Kirsty.

- W każdej chwili.

- Ja też, ale zawsze myślałam o Lois.

- Daj spokój. Było, minęło. Mówiłem ci.

- Ale tamtej nocy...

- Miałem majaki. Gdy obudziłem się nazajutrz, wiedziałem, że to byłaś ty. Czuję się zażenowany. Myślałem, że możesz być na mnie zła.

- Przez cały czas pragnęłam ciebie, Mike.

- Gdybym to wiedział, nic by mnie od ciebie nie odciągnęło. Uważałem jednak, że moim obowiązkiem jest zachować dystans.

Kirsty zrobiła kwaśną minę.

- Obowiązek. Okropne słowo. Powoduje tyle nieporozumień. - Urwała, gdyż Mike musnął palcem jej pierś, która wezbrała w oczekiwaniu ciągu dalszego. - Och, Mike, nie gadajmy tyle...

- Jasne - zgodził się. - Potem będziemy mieli dość czasu na rozmowy. Chcę wiedzieć o tobie wszystko... ale to może poczekać.

Znów przycisnął usta do jej ust i zaczęli się kochać. Kirsty oczekiwała, że powtórzy się jej niedawne doświadczenie, tym razem jednak doznała czegoś więcej. Mike kochał ją teraz nadzwyczaj wolno, wysysając każde doznanie do ostatniej kropli rozkoszy. Kirsty wygięła się w łuk i odrzuciła w tył głowę, a on pieścił jej piersi, przyprawiając ją o słodkie dreszcze.

Potem pozwoliła, by jego dłonie powędrowały dalej. Z satysfakcją wyczuwała prężące się pod skórą twarde mięśnie. Gdy pojawił się u niej, był chucherkiem, ale teraz odzyskał już pełną sprawność, a ona mogła się nią cieszyć. Przesunęła

dłoń po jego wysmukłych plecach, wąskich biodrach, twardych, jędrnych pośladkach i udach. Uśmiechnął się, widząc na jej twarzy wyraz szczerzego zdziwienia. Nie był to właściwy moment, by wspominać o Jacku, ale Mike i tak domyślił się, że mąż nie dostarczył Kirsty okazji do cudownych odkryć. Można by rzec, że tak naprawdę po raz pierwszy kochała się właśnie z nim, z Mike'em. Wreszcie nadeszła chwila, gdy nie mogła już dłużej czekać. Położyła się na wznak i pociągnęła go za sobą, błagając i nakazując jednocześnie, a Mike podniósł brwi, dziwiąc się, że w tak krótkim czasie tak wiele się nauczyła. Spełnił życzenie Kirsty i szybko poprowadził ją tam, gdzie kończyło się wszystko, co znane, gdzie nie było zagrożeń ani lęku, a jedynie bezkresna radość.

Radość Kirsty była spontaniczna, pierwotna, dzika. To właśnie ta dzikość, dzikość natury, której dzieckiem się czuła, sprawiła, że tuż przed spełnieniem tym razem to ona przejęła inicjatywę. Wzięła go z zaskoczenia, zakłócając rytm jego ruchów i zanim zdążył się spostrzec, był posłuszny jej woli. Próbował jeszcze odzyskać panowanie nad sytuacją, ale Kirsty nie pozwoliła na to i w chwilę potem ich krzyki stopiły się w jedno.

Gdy odzyskał zimną krew, spojrzał na Kirsty z lekkim wyrzutem. Ona miała jednak zamknięte oczy i zatopiona była w błogim uśmiechu. Po chwili i on uśmiechnął się i pocałował ją czule. Nie miał nic przeciwko temu, by ich łóżko było polem walki, o ile tylko dane mu było czasami zwyciężać. Kirsty powoli wracała do rzeczywistości, która przybierała teraz dla niej zupełnie inny kształt. Tam, gdzie przedtem była brzydota, widziała piękno, gdzie czaiła się samotność, witało ją bezpieczeństwo i zadowolenie.

- Z czego się śmiejesz? - zapytał Mike.

- Naprawdę się śmiałam? Coś takiego. Jestem po prostu szczęśliwa. Chcę usnąć w twoich ramionach i długo się nie budzić.

- Dobrze. Ale najpierw...

- O tak - powiedziała z takim zapałem, że Mike zaczął się śmiać.

Uniosła twarz do pocałunku, czując że ponownie ogarniają słodkie ciepło. Zarazem jednak coś przykrego wkradło się do jej świadomości i nie dawało spokoju. Szczekanie psa.

- To tylko Tam hałasuje na podwórku - Mike próbował skupić uwagę Kirsty na sobie. - Pewnie znalazł szczura.

- Nie, szczeka zupełnie inaczej - podniosła się i czujnie nasłuchiwała - ktoś jest na zewnątrz.

- To złudzenie. Chodź tutaj.

- Tak samo zachowywał się tamtej nocy, gdy przyszedłeś. Muszę pójść sprawdzić. - Niechętnie wyzwoliła się z jego objęć, wstała z łóżka i narzuciła szlafrok.

- Nie podoba mi się, że idziesz sama. Kirsty czule się do niego uśmiechnęła.

- Obawiasz się, że w chlewie natrafię na jakiegoś złoczyńcę?

- Weź ze sobą strzelbę – powiedział cicho lecz stanowczo.

Na zewnątrz zapadała już noc. Ze strzelbą i latarką Kirsty cicho przemknęła się przez podwórko i zajrzała do chlewu, oświetlając jego wnętrze. To, co zobaczyła, wprawiało ją w zaskoczenie i przerażenie. Na sianie siedział Caleb, a jego uśmiezek świadczył o tym, że jest podchmielony.

- Co ty tu robisz? - zapytała go. Niepewnie podniósł się z miejsca.

- Jenna jest bardzo zazdrosna i miała mi za złe, że cię odwiedziłem. Pokłóciliśmy się i wyrzuciła mnie. Muszę gdzieś przenocować. - Spojrzał figlarnie na Kirsty. - Mam nadzieję, że docenisz mój takt. Wybrałem chlew, a nie poszedłem prosto do domu, gdzie - jak sądzę - mógłbym przeszkadzać.

- Jak mam to rozumieć?

- Nie udawaj, kochanie. Wiem, że nie jesteś sama. Jadłem chleb z niejednego pieca.

Puściła tę uwagę mimo uszu. Musi jakoś udobruchać Caleba, nim ten zacznie się awanturować. Podeszła do niego i postawiła go na nogi.

- Uważam, że powinieneś wracać do Jenny - powiedziała. - Wybacz ci.  
Caleb westchnął ponuro.

- Ale ja nie chcę Jenny. Chcę ciebie i ona o tym wie. Tego mi nie wybacz.

- Posłuchaj - potrząsnęła nim - już dosyć jest plotek na mój temat. Nie utrudniaj mi życia. Jeszcze ktoś cię tutaj zobaczy i znów wezmą mnie na języki. Idź już, proszę.

Nie słuchał jej. Wpadł w pijacki bełkot i z lubieżnym uśmiechem mówił, płacząc słowa:

- Trudno za to winić Jacka... że taki był zaborczy.... Widział, jak patrzyli na ciebie... Jak wszyscy faceci na ciebie... patrzyli jak głodne psy na suczkę. Wiedział chłop, czego oni chcieli... czegośmy wszyscy chcieli... dobrać się do miodu... jak na suczkę...

Skoczył ku niej tak gwałtownie, że straciła równowagę i upadła na siano. Zwalił się na nią i leżał tak, nadał mamroczać coś pod nosem. Kirsty próbowała się wyzwolić, ale ciężar był zbyt wielki.

Nagle jednak Caleb zniknął. Czyjeś silne dłonie chwyciły go za kark i odrzuciły na bok. Od razu otrzeźwiał, zrobił unik i zdołał uderzyć napastnika pięścią. Cios był bardzo silny, ale Mike zdołał się pozbierać i ponownie natarł na Caleba. Upadli na ziemię i zaczęli tarzać się, okładając pięściami.

Kirsty z przerażeniem patrzyła, jak powtarza się dobrze znany koszmar. Twarz Mike'a była wykrzywiona nienawiścią, Caleba - złością i strachem. Coś w niej jęknęło. Widziała już ten nieprzytomny wyraz na twarzy zazdrosnego o nią mężczyzny, wiedziała, że i tym razem to przez nią, że to ona budzi agresję, że wszystko to jej wina.

Mike poderwał się na nogi, ciągnąc Caleba za sobą i przymierzając się do zadania następnego ciosu.

- Przestań! - krzyknęła. - Puść go, na miłość boską!

- Najpierw dam mu dobrą nauczkę - odparł Mike przez zaciśnięte zęby i

uderzył Caleba tak mocno, że ten wpadł na ścianę i osunął się bezwładnie. Miał zamknięte oczy, głowa opadła mu na bok.

- Zabiłeś go - szepnęła Kirsty. - Nie, tylko nie to...

- zanosła się bezgłośnym płaczem.

- Powinienem był go zabić za to, że ośmielił się cię tknąć

- warknął Mike. - Ale nie martw się. Nic mu nie będzie.

Przygarnął ją do siebie ramieniem. Starał się uspokoić jej płacz, ale tak naprawdę sam był wstrząśnięty. Przez parę chwil ogarnęły go mordercze instynkty. Spojrzawszy w oczy Kirsty, wiedział, że wyczytała wszystko z jego twarzy i że była tym przerażona.

- Mike, musisz wydostać się stąd, zanim on się obudzi. Idź zaraz, póki jest ciemno.

- Nie mogę zostawić cię z nim.

- Nie masz wyboru. Jeśli zostaniesz, to po nas. Burzył się na myśl o tym, że ma zostawić Kirsty, choć wiedział, że to ona ma rację. Był w rozterce. Chciał zostać i jednocześnie coś ciągnęło go, by uciekać - nie od swych prześladowców, ale od niej. Kirsty mogła sprawić, że zapomnialiby o rzeczach, które uważał za ważne: o oczyszczeniu swego nazwiska, odzyskaniu władzy i bogactwa.

Pobiegła na górę i zaczęła z gorączkowym pośpiechem wrzucać do torby jego ubrania. Mike zorientował się, że naprawdę pragnie jego odejścia. Gdy wepchnęła mu do ręki pieniądze, wziął je z ociąganiem, wiedząc, że tak być musi.

- Odeślę je, gdy tylko będzie to bezpieczne - obiecał.

- Nie - odmówiła kategorycznie. - Nie pisz do mnie. Nie kontaktuj się ze mną. Mike, proszę, idź już. - Wsunęła mu do ręki pośpiesznie naszkicowaną mapę. - Na szczęście księżyc oświetli ci drogę przez wrzosowiska. Trzymaj się tej linii, a za godzinę dojdiesz do drogi, którą dostaniesz się do Plymouth. Tam możesz wsiąść w pociąg.

- Ja wrócę, Kirsty. Gdy tylko oczyszczę się z zarzutów, będę tu z powrotem.

Znów stanęły przed nią *jego oczy*, płonące chorobliwą zazdrością, ożywiające koszmar sprzed lat.

- Nie! - krzyknęła z przestachem. - Nigdy nie wracaj.

- Kirsty...

- Nie wracaj - błagała. - Ja sobie poradzę. Odejdź. Proszę, zapomnij o mnie.

Nie było czasu na spory. W każdej chwili mógł się pojawić Caleb.

Odprowadziła go przez podwórko do skraju wrzosowiska.

- Kirsty... - powiedział raz jeszcze, dotykając jej twarzy.

Ona jednak cofnęła się, jakby w jego dotyku była trucizna. Przepadła gdzieś kobieta, która mdlała w jego ramionach, a pojawiła się obca osoba, pragnąca jedynie pozbyć się go jak najszybciej.

Mike opuścił dłoń.

- Dziękuję za wszystko - powiedział, czując jak niewystarczające są te słowa. - Do widzenia.

- Do widzenia. Idź już. Pośpiesz się.

Odprowadziła go wzrokiem, jak najdalej mogła, odwracając się dopiero wtedy, gdy dotarł do kępy drzew i zniknął w ciemności. Jej serce rwało się z bólu, ale nade wszystko przytłaczał ją lęk. W chlewie nadal przecież leżał Caleb.

Zajrzała do niego i z ulgą stwierdziła, że głośno oddycha. Przewrócił się nawet na bok i wygodnie ułożył na słomie. Zostawiła go i wróciła do domu.

Gdy rano przyszła nakarmić świnię, Caleb nadal tam leżał. Obudziło go dopiero grzechotanie wiadra.

- O Boże, jak mnie łupie w głowie - jęknął. Kirsty przyszykowała się do odegrania swej roli.

- Nie wiem, co takiego piłeś wczoraj wieczorem, ale był to mocny trunek



- zauważyła wesoło.

- To nie tylko sprawa alkoholu - powiedział, gramoląc się z ziemi. - Masz chłopaka, prawda? Złego człowieka o diabelskim uderzeniu.

Kirsty udało się beztrąsko zachichotać.

- To nie był mój chłopak, a tylko tramp, którego zatrudniłam na jeden dzień. Myślał, że zostałam napadnięta, i przyszedł mi z pomocą. Wyjaśniłam mu, że jesteśmy starymi przyjaciółmi i że doszło między nami do małego nieporozumienia. No, idź do kuchni. Przygotuję ci śniadanie.

- Jest tam jeszcze? - zapytał Caleb, niespokojnie pocierając brodę.

- Nie, już poszedł. Możesz czuć się bezpiecznie.

Gdy po jakimś czasie zjawila się w kuchni, Caleb już sam robił sobie śniadanie. Nalał jej kubek mocnej herbaty, takiej, jaką wiedział, że lubi. Gdy ją popijała, wyznał skruszony:

- Kiedy sobie wypiję, gadam różne głupoty. Czasami zachowuję się też głupio. Ale chyba nie będziesz wykorzystywać moich słabości przeciw mnie?

- Nie, o ile to się nie powtórzy. Jak powiedziałam, jesteśmy starymi przyjaciółmi i chciałabym, żeby tak zostało. Tylko przyjaciółmi, rozumiesz?

- Kiedyś powiedziałaś mi, że jestem dla ciebie jak brat - przypomniał jej. - Powinienem to uszanować zamiast wszystko zepsuć.

- Nic nie zepsułeś - powiedziała serdecznie. - Nie zapomnialam, że zawsze byłeś dla mnie dobry. Bądź nadal moim bratem.

Uściskał jej dłoń.

- W takim razie jako troskliwy brat zapytam: po kiego licha zatrudniasz włóczęgów, o których nic nie wiesz? Na wolności jest zbiegły więzień. Uciekł z Pnncetown. Skąd masz pewność, że to nie był on?

Serce łomotało jej w piersiach, ale odparła niedbale:

- Po takim czasie? Jeśli jeszcze żyje, to już na pewno od dawna nie ma go w Dartmoor.

- Pewnie masz rację, ale nie zatrudniaj nieznajomych. Ja będę pracować

dla ciebie. Wkrótce będzie ci potrzebny ktoś do orania. - Kirsty spojrzała na niego z powątpiewaniem, więc zapewnił: - Słowo honoru, nie przysporzę ci już kłopotów. Jenna też szuka pracy, a umie obchodzić się z owcami. Jeśli przyjmiesz ją, będzie miała na mnie oko.

Po chwili Kirsty skinęła głową. Serce mówiło jej, że Caleb to dla farmy, jak zawsze, dobry nabytek. Był z nią, kiedy potrzebowała przyjaciela. Teraz znów jest jedyną bliską jej osobą.

- W porządku, przyjmę was oboje. - Przed samym wyjściem rzuciła jak gdyby nigdy nic: - Mam jednak pewną prośbę, Calebie. Mam już dostatecznie złą reputację, więc...

- Chodzi o tego przybłądę? Będę milczał jak grób, skarbie. - Mrugnął do niej okiem.

Przez cały dzień Kirsty starała zachowywać się, jakby nic się nie stało. Burzliwe wypadki ostatniej nocy i konieczność uśpienia podejrzeń Caleba kosztowały ją wiele nerwów i teraz nie było w niej innych uczuć prócz napięcia. A jednak gdy zapadła noc, pustka w domu stała się dojmująca i opanował ją smutek. Na kilka godzin ożyła w ramionach Mike'a, ale jej szczęście miało widocznie być kruche i ulotne. Zanim zdążyła się nim nacieszyć, odeszło na dobre. Pewnie nigdy nie zobaczy już swego mężczyzny.

Nie miała sił, by dłużej walczyć z rozpaczą. Oparła się o ścianę, a z jej piersi wydarł się szloch.

## 6

- Powtarzam po raz ostatni, Kirsty. Kiedy ty się opamiętasz?

Kirsty zerknęła na zasmuconą twarz Caleba.

- Szkoda, że to naprawdę nie jest ostatni raz - odparła. - Kiedy zrozumiesz, że mnie nie przekonasz?

- Przekonać ciebie, ty uparciucho! Prędzej bym skruszył granit!

- W takim razie nie marnuj czasu.
- Przecież potrzebujesz pieniędzy - nieomal krzyczał.
- Nie na tyle, by zabijać swych przyjaciół.
- Przyjaciół! To są tylko kucyki, na miły Bóg!

- Dla mnie są przyjaciółmi. Sprzedam tylko te, które nadają się na wierzchowce. Żaden koń nie pójdzie pod nóż rzeźnika. To moje ostatnie słowo. Rozmawiali w kuchni, kilka dni przed corocznym przeglądem kucyków. Kirsty nigdy nie godziła się na sprzedawanie koni do rzeźni, gdzie robiono z nich mięso dla psów, i nie miała zamiaru godzić się na to teraz, choć z każdym dniem coraz bardziej martwiła się narastającym długiem w banku.

Jenna stała oparta o ścianę i przyglądała się pozostałej dwójce ze złośliwą satysfakcją. Równie szczerze okazywała swe zauroczenie Calebem, co podejrzliwą niechęć do Kirsty. Gdy tylko tych dwoje sprzeczało się, zawsze poprawiał jej się humor.

Dwa miesiące upłynęły od owej nocy, gdy Mike zniknął w ciemności. Przez cały ten czas do Kirsty nie doszły żadne wieści o nim, żaden wścibski policjant nie zapukał do jej drzwi. Mike'a nie złapano, ale nie nawiązał też z nią kontaktu.

Gdy prosiła go, by nie pisał do niej, mówiła serio, ale zaraz potem wyrobiła w sobie przekonanie, że mimo jej próśb list jednak nadejdzie. Będzie zawierać jakieś niewinne zdanie w rodzaju: „Dotarłem szczęśliwie, wszystko w porządku, kochający kuzyn”. Pod spodem będzie jakiegokolwiek imię zaczynające się na M, ale nie Mike. List nie wzbudzi niczyjej czujności, a ona się wszystkiego domyśli. Mijały jednak tygodnie, potem miesiące, a żaden list nie nadchodził. Mike jakby zniknął z powierzchni ziemi.

Wygnała go z obawy przed powtórzeniem się tragedii, ale teraz czas przyćmił ten lęk. Teraz tęskniła za nim całym sercem i całym ciałem. Jej tęsknota została ugaszona jedynie na krótko, a odejście Mike'a rozpało ją z jeszcze większą mocą. Noc po nocy dręczyła ją bezsenność. Pragnęła jedynej mężczyzny i

spełnienia, które tylko on mógł jej dać.

Także za dnia nie opuszczało jej złe samopoczucie. Była wiosna, dla rolnika okres wyętej pracy, a Kirsty nie potrafiła się poruszać z dawną lekkością i wszystko przychodziło jej z wysiłkiem. Dziś na przykład z chęcią powierzyłaby Calebowi dokonanie przeglądu koni, ale powstrzymało ją przed tym podejrzenie, że bez jej kontroli sprzeda parę sztuk rzeźnikom.

Był jasny, pogodny dzień. Śnieg już stopniał i choć było nadal zimno, na wrzosowiskach pojawiły się pierwsze kwiaty. Większość gospodarzy, których znała Kirsty, wyszła w pole i na pastwiskach było gwarno i wesoło. Niektórzy witali ją nawet skinieniem głowy, ale nie zatrzymywali się jak dawniej na sąsiedzka pogawędkę.

We trójkę - Kirsty, Caleb i Jenna - dotarli na gminne pastwisko i zajęli się wyławianiem ze stada co okazalszych sztuk. Jenna miała rzeczywiście dobre oko do koni. Sprawnie wyszukała parę świetnych wierzchowców.

- Ten będzie dobry. Nadaje się do osiodłania. - Wskazała na siwego kucyka, większego od innych. - Cena będzie przyzwoita. Weźmy go.

Koń stał spokojnie, gdy Jenna nakładała mu uździenicę, ale gdy tylko dosiadła go Kirsty, zaczął wierzgać. Trzymała się grzbietu konia, mając nadzieję, że się uspokoi, jak to zazwyczaj bywało z tymi poczciwymi stworzeniami. Zwierzę podjęło jednak walkę. Kirsty zaczęło się zbierać na wymioty, bała się, że zemdleje. Nagle zawiroowało nad nią niebo i upadła na ziemię. W ostatnim przebłysku świadomości odnotowała, że chwyciły ją czyjeś ramiona.

Gdy oprzytomniała, zobaczyła, że leży w cieniu drzew, a Jenna wachluje ją. Znow ogarnęły ją mdłości. Spojrzała przepaszająco na Jennę i zdumiała się wyrazem jej twarzy. Malowała się na niej czysta, stężona nienawiść.

- No i co, wyszło szydło z worka! - wycodziła z siebie Jenna.

- O czym ty mówisz? - zapytała słabo Kirsty.

- Nie udawaj niewiniątka - ucięła dziewczyna. -Wszyscy wiedzą, co z ciebie za ziółko, nawet konie! Dziwka! Jędza! Latawica!

- Jak śmiesz tak się do mnie odzywać? - Kirsty usiłowała się podnieść, ale nadal kręciło jej się w głowie. Caleb zjawił się nie wiadomo skąd, ale zanim podszedł bliżej, Jenna zaczęła coś wykrzykiwać w jego stronę w jakimś obcym języku. Kirsty domyśliła się, że to rumuński. Caleb był najwyraźniej oburzony słowami Jenny, próbował im zaprzeczać i bronić Kirsty, jednak młoda Cyganka przerwała mu kopniakiem w goleń, obróciła się na pięcie i odeszła.

- O co właściwie jej poszło? - zapytała Kirsty.

- Z Jenną nie ma żadnej dyskusji - żalił się Caleb. - Doszła do wniosku, że to ja jestem ojcem.

- Jesteś kim?

- Ojcem... twego dziecka. Nie powinnaś zajmować się końmi w takim stanie. Sam bym sobie dał radę. - Spojrzał na nią z troską.

- Calebie, zaczekaj - poprosiła Kirsty. Nie bardzo rozumiała, o czym mówią, najpierw ta szalona dziewczyna, teraz on. - Jeśli sądzisz, że jest jakieś dziecko, to się głęboko mylisz. Ja nie jestem w ciąży.

- Nie? Jenna święcie wierzy, że jesteś. A wini za to mnie. - Skrzywił się i roztań goleń. - Powiedz mi, a najlepiej jej, kto jest ojcem, bo inaczej zrobi ze mnie kalekę.

- Ojcem? Och, nie... - wykrztusiła Kirsty. - To przecież niemożliwe...

- Czy jesteś tego zupełnie pewna? Zmieniłaś się na twarzy, oczy ci błyszczą, a teraz - wymiotujesz...

Spojrzała mu w oczy i dostrzegła w nich przebiegłość. Czyżby to miał być jakiś podstęp? Co też on chce od niej usłyszeć?

- Po prostu nie wierzę w to.

- Ale założmy, że to prawda. I tak już jesteś w finansowych tarapatach. Mając dziecko, będziesz naprawdę w dołku.

- Nie ma żadnego dziecka - powtórzyła z rozpaczą.

- Tak, oczywiście, że nie ma. Ale może byś tak na wszelki wypadek rzuciła okiem na te ślicznotki, które odłowilem? - Pomógł jej powstać i pokazał

miejsce, gdzie spętał sześć małych, kudłatych koników. - Mają trochę przerośnięte zęby, więc dużo nie stracisz - kusił ją Caleb. -A możesz za nie dostać dobrą cenę.

Pomyślała, jak zła jest sytuacja w banku i jak bardzo może się jeszcze pogorszyć. Sześć sztuk sprzedanych do rzeźni mogłoby wyprowadzić ją na prostą, przynajmniej na jakiś czas. Trzeba tylko odwrócić głowę i nie patrzeć na nie.

Zamknęła oczy, usłyszała ciche rzenie. Próbowwała sobie wmówić, że nie rozpoznaje tego dźwięku, że każdy kucyk jest taki sam. To nie miało jednak sensu. Znała je wszystkie. W czarnych chwilach wspinała się na wzgórza w poszukiwaniu swych prawdziwych przyjaciół i jej zaufanie nigdy nie zostało zawiedzione. Teraz kuczki stały cierpliwie w milczeniu, podczas gdy w jej rękach ważył się ich los.

Wreszcie sięgnęła po nóż, podeszła do małego stadka i spokojnym ruchem przecięła linki. Odetchnęła z ulgą i patrzyła, jak koniki oddalają się pędem.

- Wiem - odpowiedziała na jęk zawodu Caleba. - Jestem niepczytalna, nierozsądna, niepraktyczna... Zostańmy przy tym.

- Hej, Kirsty! - zawołał jeden z mężczyzn z sąsiedniego pastwiska, gdzie przybyli po swoje konie inni mieszkańcy okolicy. - Musisz mieć bogatego chłopaka, jeśli stać cię na coś takiego. - Wzbudziło to powszechną wesołość. Kirsty zbyła milczeniem ten żart i wróciła do pracy. Cieszyła się, że dzień ma się ku końcowi. Przez następną godzinę pracowała mechanicznie, świadoma, że jej ruchy śledzi wiele par oczu. Na pewno słyszeli, co mówiła Jenna. A jeśli nie słyszeli, to Jenna i tak sama wszystko rozpowie. Do wieczora plotka o jej ciąży rozniesie się po całej okolicy.

Ale to przecież nie mogła być prawda. Jest bezpłodna. Przez pięć lat żyła z Jackiem i nic.

Serce mówiło jej jednak co innego, mówiło coraz śmieiej. Przecież nie może być porównania między pięcioma laty u boku męża, którego się nie kocha, a

jedną nocą z mężczyzną, który nauczył ją, co znaczy namiętność. Może rzeczywiście...

Mike odszedł, rozumiała, że może go już nigdy nie zobaczyć, a jednak na myśl o tym, że mogłaby nosić w sobie jego dziecko, ogarniało ją niepojęte szczęście; szczęście, jakiego do tej pory nie zaznała. Zawsze była blisko ziemi, urodziła się i wychowała w świecie natury, żyła w zgodzie z jej rytmem. Czyżby teraz jeszcze głębiej zanurzyła się w ten świat, czyżby za sprawą Mike'a znalazła się w cudownym kręgu płodności i narodzin? Gdyby tylko mogła mu powiedzieć, zobaczyć radość rozbłyskującą w jego oczach, poczuć, jak jego ręce obejmują ją czułym gestem, znanym od zarania dziejów. Boże, samotność nie mogła być chyba nigdy większa niż teraz.

Przypomniała sobie, co powiedział Caleb. Rzeczywiście, twarz Kirsty wypełniła się, podobnie talia i boki; przy jej normalnej chudości nawet najdrobniejsza zmiana była bardzo widoczna. Powiedział, że błyszczą jej oczy... Tak, błyszczą, choć ona sądziła, że to z powodu łez tęsknoty, które wylewała każdej nocy. Jeśli to rzeczywiście jest ciąża, myślała, to na pewno dopiero sam początek. Zauważyłaby znacznie więcej zmian, gdyby było inaczej. Jeśli to rzeczywiście jest ciąża... Jeszcze niedawno twierdziła, że to niemożliwe. Teraz wiedziała już, że pod jej sercem rozwija się nowe życie. Tak mówił jej instynkt.

Jakiś miesiąc po przeglądzie kucyków zdobyła się na jedną z rzadkich wypraw do wsi i poszła do Fowlerów po odbiór poczty. Przed nią stało dwóch klientów, więc w oczekiwaniu na swoją kolejkę rzuciła z przyzwyczajenia okiem na nagłówki gazet ogólnokrajowych. Widząc jeden z nich, zeszytniała, a krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach.

Z pierwszej strony spoglądał na nią Mike, ale był to Mike, jakiego dotąd nie знаła. Zarost zniknął, odsłaniając twarz, która nie należała już do zaszczutego, wymizerowanego człowieka, jakiego uratowała. Mike uśmiechał się pewnie, a

wybity obok dużymi literami tytuł głosił:

**„SPRAWIEDLIWOŚCI STAŁO SIĘ ZADOŚĆ”.**

Ze zdumieniem przebiegła wzrokiem ów artykuł. Dowiedziała się, że Mike'owi udało się skontaktować z Conem Dawlishem, który wrócił do Anglii w pełni sił. Staruszek dokonał cudów: rozgryzł nie tylko komputerowe matactwa Hugh'a Severhama, ale i dotarł do jego kont w szwajcarskich bankach, gdzie ulokowane były skradzione pieniądze. Mike, uzbrojony w takie dowody, udał się do prokuratora i doprowadził do aresztowania Severhama.

Był więc teraz wolnym człowiekiem. Na zdjęciu stał uśmiechnięty, obejmując w pół z jednej strony Cona, z drugiej Lois. Ta ostatnia patrzyła na niego z uwielbieniem. „Wyszłam za mąż w chwili słabości - cytowano jej słowa - ale moje serce zawsze należało do Mike'a.”

Gdy Kirsty dotarła do domu, usiadła i przeczytała dokładnie cały artykuł. Na dalszych stronach znalazła pełną historię oszustwa, za sprawą którego z sejfów New World Properties zniknęło trzydzieści milionów funtów. Kirsty zamarła z wrażenia, gdy zobaczyła tę sumę. Trzydzieści milionów! Mike powiedział jej tylko, że chodziło o wielkie pieniądze, a ona wyobraziła sobie, że mogło to być jakieś sto tysięcy, co dla niej i tak byłoby sporym majątkiem. Dla Mike'a taka suma stanowiłaby -jak widać - grosze.

Teraz zorientowała się, jaka była naiwna. Mike poruszał się w zupełnie innym świecie niż ona. Pomyślała o zmarzniętym chucherku, które uratowała od śmierci, i próbowała połączyć ten obraz ze zdjęciem mężczyzny w drogim, szarym na miarę garniturze. Wmawiała sobie, że jest przecież zadowolona z pomyślnego obrotu spraw, ale w sercu czuła ból.

Kiedyś mogła mieć nadzieję, że gdy Mike odzyska wolność, odnajdzie go i z radością pokaże mu ich wspólne dziecko. Teraz wiedziała, że ten bogaty mężczyzna nie jest jej pisany. Przyjrzała się twarzy Lois, jej wymanikiurowanym dłoniom uczepionym rękawa Mike'a, i raptownie zamknęła gazetę.

Przez następne dni podświadomie oczekiwała, że Mike się odezwie. Przecież



teraz, gdy jest już bezpieczny, musi się odezwać, podziękować za wszystko, czy choćby zapytać, co u niej słychać. Minął jednak tydzień, potem dwa, trzy tygodnie i nie doczekała się od niego ani słowa. Wciąż nie traciła nadziei. Jeśli nie teraz, nie przy tej wizycie w sklepie pani Fowler, to następnym razem z pewnością dostanie list od Mike'a.

Czekała na próżno. Pani Fowler spoglądała na nią z ciekawością i rozbawieniem, zatrzymując za każdym razem znaczące spojrzenie na poszerzającej się talii Kirsty. Zupełnie jakby chciała powiedzieć, że wie, skąd to niecierpliwe wyczekiwanie na list.

Pewnego ranka, kiedy Kirsty kolejny raz wyszła ze sklepu z pustymi rękami, zobaczyła, że na chodniku zgromadził się mały tłumek. Wszyscy patrzyli na nią i uśmiechali się cynicznie. Wzięła głęboki oddech, podniosła głowę i ruszyła przed siebie. Wtedy to drogę zagroził jej tęgi młodzieniec o czerwonej twarzy. Rozpoznała Abe'a Mullery'ego, starszego brata Petera.

- No i co - naigrywał się - napisał już do ciebie twój kochanek? A może nie wiesz, jak się nazywa?

- Zejdź mi z drogi - powiedziała twardo Kirsty.

- Zejdę, kiedy mi się zachce. Najpierw odpowiedz na pytanie. Nie odezwał się, co? - Napierał na nią, spychając ją pod ścianę. - I nie odezwie się. Mężczyzna od takiej jak ty chce tylko jednego, a on już swoje dostał, no nie? - Położył dłoń na jej brzuchu.

- Nie dotykaj mnie! - krzyknęła Kirsty, bojąc się o dziecko.

I - Nie dotykaj mnie! - powtórzył za nią, naśladowując jej głos. - Rzadko w ten sposób odzywasz się do mężczyzn, co? Na pewno co innego słyszał od ciebie mój brat. Podpuściłaś go jak dziwka, a potem zabiłaś...

- Wystarczy tego - odezwał się nagle szorstki głos za plecami Abe'a. Wszyscy odwrócili się i zobaczyli jego matkę. Przyszła z szesnastoletnim Davidem, najmłodszym synem, jej oczkiem w głowie, od czasu, kiedy straciła Petera. - Odczep się od niej, bo inaczej porachuję ci kości - postraszyła Abe'a.

Była dwa razy niższa od niego, ale posłuchał jej od razu. - Tylko żartowałem, mam - wyjaśnił. - Chciałem dać jej nauczkę.

- Powiedziała: wystarczy - ucieła pani Mullery. - Jest w ciąży. Sam powinieneś to wiedzieć. - Spojrzała na Kirsty chłodno, niezdolna do przebaczenia. Tylko jakiś pierwotny instynkt kazał jej bronić zagrożonej czci kobiety, która spodziewa się dziecka. - Najlepiej nie przychodź tu więcej bez potrzeby - zwróciła się ostro do Kirsty. - On nie napisze, kimkolwiek jest. Dlaczego nie sprzedasz farmy i nie wyniesiesz się stąd? Idź tam, gdzie jeszcze nie musisz się wstydzić.

- Zostanę u siebie - powiedziała Kirsty łamiącym się głosem - i nikt mnie stąd nie wypędzi. Nie zrobiłam nic złego.

Odpowiedzią na jej słowa był tylko grubiański śmiech zebranych mężczyzn i nienawistne spojrzenie pani Mullery. Wkrótce potem wszyscy rozeszli się, uznając widocznie, że widowisko dobiegło końca. Tylko młody David Mullery stał jak zaczarowany, wpatrując się w Kirsty, aż matka ogarnęła go opiekuńczym ramieniem i pociągnęła za sobą, zupełnie jakby osłaniała go przed jakimś złym urokiem.

Kirsty dotarła do domu. Nie spała przez całą noc, rozmyślając, jak długo zdoła jeszcze znosić te oskarżenia i docinki. Niestety, jej wrogowie mieli rację: Mike dostał to, czego chciał, a potem zapomniał o niej. Widocznie rzeczywiście nie jest zdolna do miłości, a tylko do tego by kusić i uwodzić. Jak przed dwoma laty, tak i teraz, z dnia na dzień zaczęła coraz bardziej wycofywać się w mroczne, niebezpieczne odosobnienie, przed którym Mike na krótko ją ocalił. Deszcz padał nieprzerwanie przez dwa tygodnie. Gdy skończyły się opady, wokół pozostało jedno wielkie grzęzawisko. Któregoś ranka w obejściu pojawiła się Jenna - chciała wziąć ze sobą Tarna, żeby pomógł jej w przeprowadzaniu owiec na inne pastwisko.

- Nie musisz go odprowadzać - powiedziała Kirsty. - Po południu wyjeżdżam w pole traktorem. Sama go zabiorę.

O tej porze roku nie brakowało pracy w polu: był to czas orania i siewu. Kirsty kazała Calebowi zająć się niecierpiącą zwłoki naprawą dachu w chlewie, a sama wzięła się do orki. Po kilku godzinach była wykończona. Z przerażeniem obserwowała, jak łatwo się teraz męczy.

Gdy skończyła, powoli skierowała się w stronę wzgórza, na którym pasło się teraz jej stadko. Gdy dotarła na miejsce, po deszczu wyłoniło się słońce i owce z zadowoleniem suszyły się w jego promieniach, poszczypując leniwie trawę. Parę kucyków zeszło z wyżej położonych terenów. Miały teraz pod dostatkiem pożywienia i nie trzeba było ich dokarmiać. Mimo to zbliżyły się do Kirsty, która z uczuciem głaskała je po szorstkiej sierści i wilgotnych chrapach. W końcu, gdy zaspokoili swoją codzienną potrzebę czułości, wskoczyła na traktor, skinęła na Tama i ruszyła w stronę domu.

Miała jeszcze przed sobą milę drogi, gdy jej oczom ukazał się dziwny widok. Na poboczu stało auto, które ugrzęzło po osie w błocie. Kirsty widywała różne samochody uwięzione w rozmokłym gruncie, ale nigdy takiego lśniącego cacka o nienagannej linii, na dodatek ze świeżą tablicą rejestracyjną. Musiało należeć do jakiegoś milionera.

Serce zabiło jej mocniej. Zatrzymała ciągnik i wyskoczyła z kabiny. Tarn poszedł w jej ślady i oddalił się w poszukiwaniu zajęcy, natomiast ona uważnie obejrzała auto, zastanawiając się, gdzie też podział się kierowca. Pewnie poszedł szukać pomocy, pomyślała.

Podniosła głowę i wtedy zobaczyła idącego w jej stronę mężczyznę. Był o jakieś sto metrów od niej, za daleko, by rozpoznać rysy twarzy. W jego kroku, w sposobie trzymania głowy było jednak coś znajomego, coś, czego nigdy nie byłaby w stanie zapomnieć.

Zdawało jej się, że upłynęły wieki, zanim przybysz pokonał dzielący ich dystans. Wystarczyło to w każdym razie, by zapanowała nad emocjami. Radość, że o niej nie zapomniał, zmagala się z wyrzutem, że pojawił się tak późno. Poza tym oznaki bogactwa czyniły z niego teraz kogoś obcego, kogoś z

innego świata. To wrażenie potwierdziły pierwsze słowa.

- Miałem zamiar do ciebie napisać. - Nieporadnie wzruszył ramionami. -

Ale nic sensownego nie przychodziło mi do głowy.

Poza tym byłeś zbyt zajęty, dodała w myślach.

- Czy już wiesz o wszystkim? - zapytał.

- Tak, czytałam w gazecie. Bardzo się cieszę.

- Przyjechałbym wcześniej, tylko...

- Nie musisz się tłumaczyć - odparła uprzejmie. - Z pewnością miałeś mnóstwo spraw na głowie.

Chciał powiedzieć, że myślał o niej cały czas, ale zmroziło go jej powściągliwe zachowanie. Zmieniła się, pomyślał. Niby te same rysy twarzy, ale jakby w innym świetle. Zdawało mu się też, że Kirsty trzyma się inaczej, choć trudno było cokolwiek o tym sądzić, jako że miała na sobie ciężki płaszcz przeciwdeszczowy, który zasłaniał jej kształty. Przypomniały mu się ostanie chwile przed rozstaniem, jej błaganie, by odszedł na zawsze i nigdy nie wracał.

- Widzisz? Samochód utknął mi w błocie - powiedział, z trudem znajdując właściwe słowa. - Chciałem znaleźć kogoś, kto mógłby wziąć mnie na hol, ale te wrzosowiska są jak pustynia, więc wróciłem.

Kirsty wskazała ręką traktor.

- Ja mogę wziąć cię na hol. .

Szybko wy dostał linkę z bagażnika, a ona pomogła mu ją przymocować. W dziesięć minut wyciągnęli auto z rowu i mogli ocenić uszkodzenia przedniego koła.

- Trzeba oddać go do warsztatu - zawyrokował Mike.

- Jest tu jakiś porządny w pobliżu?

- Tak, zawiozę cię tam.

- Nie trzeba. Zadzwoń po nich.

Sięgnął do wnętrza samochodu i wyciągnął ze środka telefon komórkowy.

Zadzwoił do informacji po numer warsztatu i po paru chwilach już rozmawiał z

mechanikiem. W jego głosie pobrzmiwała stanowczość i pewność siebie. Tak, ten ton bardziej niż pieniądze wskazywał na zmiany, jakie dokonały się w Mike'u.

- Rozumiem, że jest pan zajęty, ale zależy mi na czasie

- mówił zniecierpliwiony. - Oczywiście, zapłacę za ekspres. W takim razie czekam jutro rano. Proszę być na farmie Everdene równo o dziewiątej.

- Co powiedziałeś? - zapytała sucho Kirsty, gdy Mike się rozłączył.

- Nie masz chyba nic przeciwko?

- Trzeba było zapytać o to wcześniej.

- Przecież to jedyne rozsądne wyjście. Nie rozumiem, dlaczego miałabyś robić jakieś trudności?

- Myślę po prostu, że to bardzo niegrzeczne najpierw umawiać się z nimi na moim podwórzu, a później pytać mnie o zgodę.

- A cóż to ma za znaczenie? - zapytał lekko podniesionym głosem.

- Myślę, że dobre maniere zawsze mają znaczenie - odparła, podnosząc głos jeszcze bardziej.

- Kirsty - wzniosł oczy do nieba - przejechałem dziś czterysta mil. Jestem zmęczony, zgubiłem drogę, samochód nieomal przewrócił się w rowie i naprawdę

nie mam teraz ochoty słuchać wykładu o dobrych manierach.

- Nic na to nie poradzę. Nie podoba mi się sposób, w jaki wprowadzasz się do mnie. Zachowujesz się, jakbym była twoją własnością, jakby Everdene było twoją własnością. .. - przerwała, szukając jakiegoś zarzutu, który mogłaby jeszcze przeciw niemu skierować.

Zdawała sobie sprawę, że zdecydowanie przesadza, ale rozczarowanie, jakiego doznała na jego widok, pozbawiło ją wyczucia właściwych proporcji. Ich ponowne spotkanie miało być wspaniałym przeżyciem, a nie przegradzać się w irytującą sprzeczkę.

Zanim któreś z nich zdążyło coś powiedzieć, ciszę przerwało donośne ujadanie.

To Tarn wrócił, znudzony zającami. Natychmiast rozpoznał swego dobroczyńcę, który niegdyś przyrządzał mu różne smakowitości, i rzucił się na niego z radością. Mike poczuł wielką ulgę. Ktoś nareszcie okazał radość i zgotował mu serdeczne powitanie. Był taki szczęśliwy z tego powodu, że nie zwrócił nawet uwagi, co się stało z jego eleganckim garniturem.

- Przepraszam cię za niego - powiedziała lodowato Kirsty, szacując wzrokiem zniszczenia.

- Cóż, teraz przynajmniej musisz zaprosić mnie do domu. - Wziął torbę z bagażnika i zajął w kabinie traktora miejsce obok Kirsty. Tarn wcisnął się pomiędzy ich dwoje, zostawiając wszędzie ślady błota.

Pojechali do domu, ciągnąc za sobą samochód. Mike miał smutek w sercu. Oczekiwał na ten dzień, ale wszystko poszło nie tak, jak sobie wymarzył. Kirsty nie ucieszyła się na jego widok, a gdy jakiś czas potem prosiła go, żeby trzymał się od niej z dala, mówiła szczerze. Pomyślał o wszystkich podartych listach, których nie wysłał do niej, bo nie znajdował słów, którymi mógłby opisać swoje uczucia. Całymi miesiącami dręczyła go niepewność: co się dzieje z Kirsty, czy nadal o nim myśli? Wyobrażał sobie jej twarz w chwili spotkania. I kiedy ta chwila wreszcie nadeszła, spojrzała na niego z dystansem, który zupełnie go zmroził.

Przekroczył próg tak dobrze znajomego domu, jego nozdrza wyczuły rozkoszny zapach.

- Gulasz - wyjaśniła lakonicznie, zrzuciła płaszcz i podeszła do pieca. - Stał na małym ogniu cały dzień, więc powinien być już gotowy. Zapewne chcesz się przebrać?

- Nie usłyszawszy żadnej odpowiedzi, odwróciła się i stwierdziła, że Mike stoi bez ruchu i wpatruje się w nią ze zdumieniem. Dopiero po chwili zrozumiała, że odsłonił się jej powiększony brzuch, przedtem schowany za połami płaszcza.

- Kirsty... - zaczął niepewnie - czy ja mam przywidzenia?

- Nie. - Starala się nie okazywać, jak bardzo jest spięta.

- Spodziewam się dziecka.

- Mojego dziecka. - To było stwierdzenie, nie pytanie.

- Mój Boże, ależ ze mnie głupiec. Nigdy nie przyszło mi to do głowy...

Przez cały czas zastanawiałem się, czy nie wpędziłem cię w jakieś kłopoty, ale miałem na myśli wyłącznie kłopoty z prawem. O tym nawet nie śniłem. - Przetarł dłonią oczy. - Powinienem był zorientować się, że...

- To nie ma znaczenia. - Kirsty wzruszyła ramionami.

- Czy ktoś jeszcze o tym wie?

Zmierzyła go gniewnym spojrzeniem.

- Ja chcę tego dziecka, Mike. Nie pozbędę się go.

- Boże, a czy ja cię o to prosiłem?

- Do tego zmierzałeś. Jeśli nikt o tym nie wie, będzie łatwiej załatwić sprawę po cichu. Taki masz plan, prawda?

- Dlaczego musisz zawsze przypisywać mi najgorsze intencje? - zapytał ostro. - Owszem mam plan: ożenić się z tobą.

Kirsty znów poczuła wściekłość. Jeszcze raz to samo - oto obwieścił jej swą wolę, jakby jej zdanie nie miało żadnego znaczenia.

- Doprawdy? A jeśli ja mam inne plany?

- Na przykład?

- Na przykład takie, żeby nikt nie próbował mi pomagać i nie wtrącał się w moje sprawy.

- Jeśli chodzi o sąsiadów, to z pewnością nikt ci nie pomoże - zauważył chłodno Mike. - Zastanawiałem się po prostu, czy już wiedzą i czy nie próbowali utrudniać ci życia. Z twego rozdrażnienia wnioskuję, że próbowali.

- Poradzę sobie z tym, tak jak radziłam sobie do tej pory.

- Kirsty, proszę, dajmy temu spokój. Nie przyjechałem tu wyklócać się z tobą. Chciałem zobaczyć, jak ci się wiedzie.

- Miałeś na to dobrych parę tygodni - rzuciła mu wreszcie w twarz

oskarżenie, które odsłaniało prawdziwy powód jej rozżalenia.

Ponownie zacisnął zęby.

- Czy naprawdę tak trudno było zrozumieć, dlaczego się nie odzywam? Przyjeżdżając tutaj, dałbym wszystkim oczywisty dowód, że to ty udzieliłaś mi pomocy. Nie odważyłem się na to, dopóki nie miałem oficjalnego potwierdzenia, że nie grozi mi żadna kara za ucieczkę z więzienia. To potwierdzenie otrzymałem wczoraj wieczorem. Dziś rano wsiadłem do samochodu i przyjechałem prosto tutaj. Serce zabiło w niej żywiej, mimo to z uporem stwierdziła:

- Mogłeś napisać.

- Powiedziałaś mi bez ogródek, bym tego nie robił.

- A ty nie wyglądałaś na człowieka, który by się tym specjalnie przejął - odparła.

Nie podjął kolejnej zaczepki. Nagle z jego twarzy wyparował gniew i uśmiechnął się do Kirsty w taki sposób, że aż podskoczyło w niej serce.

- Skąd my to znamy, co? - powiedział. - Zawsze skakaliśmy sobie do oczu. I to akurat wtedy, gdy najmniej tego chcieliśmy.

Jej twarz rozjaśniła się powściągliwym uśmiechem.

- Mów za siebie. Ja chcę.

- No dobrze - odpowiedział, biorąc ją w ramiona. - Posprzeczamy się, ale później.

Jego pocałunek był jak błogosławieństwo, które rozpędza wszelkie frasunki.

Dobrze było wreszcie poczuć przy sobie jego potężne, silne ciało. Wszystkie sprzeczne myśli, które tłukły się dotąd po jej głowie, zniknęły bez śladu.

Cokolwiek zaszło między nimi, to jedno się nie zmieniło - Mike zawsze wiedział, jak wzbudzić w niej pożądanie.

- Mike - szepnęła - zabierz mnie prędko na górę.

- Czy to na pewno dla ciebie bezpieczne?

- Na pewno. Jeszcze za wcześnie, by się tym przejmować.



Wztał ją za rękę i pobiegli na górę, instynktownie zmierzając do pokoju, który niedawno zajmował. Rozbierał Kirsty z gorączkowym pośpiechem, nie przestając jej całować. Pieszczoty Mike'a rozpałiły jej ciało, które znów przypomniało sobie, w jakim celu je stworzono. Pierwszy raz, gdy się kochali, był dla niej odkryciem, lecz trzeba było trochę czasu, by pobudzić jej uspihone zmysły. Teraz wystarczyła chwila i namiętność ogarnęła ją z szybkością błyskawicy.

Gdy oboje byli już nadzy, padli na łóżko. Kirsty wyczuła, że ze względu na nią Mike stara się panować nad swą żądzą. Obejmował ją mocno ramionami, ale ruchy jego pośladków były powolne i kontrolowane.

- Och, Mike, tak mi ciebie brakowało...

- Zawsze tu byłem - szepnął. - I ty zawsze byłaś ze mną. Wiedziałaś przecież, że przyjechałbym, gdybym tylko mógł.

Próbowała odpowiedzieć, ale doznania, które ją ogarniały, były tak intensywne, że wypierały wszelkie spójne myśli. W jej kurczowym uścisku, którym przyciskała go do siebie, jakby był najcenniejszym skarbem, była samotność i gorycz wszystkich bezsennych nocy spędzonych bez niego. Tak, Mike zmienił się nie do poznania, ale w tym jednym pozostał taki sam - w jego ramionach zawsze zapominała o całym świecie i mogła sycić się miłością, bliskością i czułością, których tak bardzo łaknęła.

W tej chwili myślała tylko o tym, że znów należy do niej. Świadczyły o tym delikatne pieszczoty Mike'a i wyraz jego oczu w chwili, gdy stąpiali się w jedno.

Gdy jej podniecenie osiągnęło szczyt, zaczęła napierać na niego całym ciałem, popędzając go, pobudzając do maksymalnego wysiłku.

Zareagował od razu, dopasowując się do jej rytmu. Znali się tak krótko, ale rozumieli wspaniale.

Otworzyła szeroko oczy i zatopila swoje spojrzenie w bezmiarze źrenic Mike'a. Rozkosz, która ich połączyła, starła urazy i gniew, unieważniła miesiące rozłąki. Pomyślała, że być może na tę właśnie chwilę czekała całe swoje życie i

że warto było czekać.

Później, gdy ochłonęli nieco po miłosnej gorączce, Mike przeciągnął dłonią po jej lekko nabrzmiałym brzuchu i spojrzał na nią z takim pełnym niedowierzania zdumieniem, że aż łzy stanęły jej w oczach. Po chwili zasnęła w jego ramionach z ufnością małego dziecka.

Gdy obudziła się, siedział na łóżku i delikatnie potrząsał jej ramieniem.

- Przyniosłem pani filiżankę herbaty - powiedział, całując Kirsty leciutko.

- Mmm, wspaniale. - Zobaczyła przez okno, że świeci słońce. - Która godzina?

- Prawie dziewięta.

- Co? Od paru godzin powinnam być na nogach.

- Nie martw się. W domu wszystko zrobione. Pomyślałem, że dam ci pospać.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak długo spałam. -Mrugnęła do niego figlarnie. - Czy śniadanie też już gotowe?

- To za chwilę. Musiałem wykonać parę telefonów.

- Ale przecież telefon... No tak, zapomniałam, że masz komórkowy.

- Całe szczęście. Jak widzę, nadal nie stać cię na podłączenie aparatu.

Doznałem szoku, gdy odkryłem, jak źle stoisz finansowo, ale nie martw się. Teraz ja jestem z tobą i wszystko będzie dobrze. Kirsty zmarszczyła brwi.

- Co to znaczy: odkryłem, jak źle stoisz finansowo?

- Twoje księgi rachunkowe to nieprzyjemna lektura.

- Zaglądałeś do moich ksiąg?

- Zostawiłaś jedną otwartą na stole. Zajrzałem do pozostałych, by upewnić się, czy rzeczywiście jest tak źle.

Kirsty natychmiast opuścił miły nastrój.

- Tych pozostałych nie zostawiłam otwartych na stole.

- Nie, ale wiem, gdzie je trzymasz. Nie trzeba się w nie wczytywać, by stwierdzić, że jesteś w tarapatkach. Gdy otrzymujesz z banku listy pisane takim

tonem, to wiadomo że staczasz się po równi pochyłej.

- Czytałeś moją prywatną korespondencję? - zapytała zdumiona.

- List z banku, zalecający natychmiastowe uregulowanie należności, trudno nazwać prywatnym. Tak czy inaczej, powiedziałem mu, że lepiej zrobi, dając ci na jakiś czas spokój.

- Powiedziałeś mu? Komu?

- Znalazłem nazwisko w nagłówku listu. Zadzwoiłem do biura numerów, a potem do niego do domu i wyjaśniłem sytuację.

- Jak to? - zapytała Kirsty, wyraźnie już poirytowana.

- Wyjaśniłem człowiekowi, że teraz ja się zajmuję tymi sprawami i że natychmiast dostanie czek na pokrycie debetu. Wyrwało mu się parę zdań, z których wywnioskowałem, że jest w zмовie z kimś z miejscowych, kto chce wykupić farmę. Stąd te naciski na pośpiech w spłacaniu zaległości. Oczywiście to tylko moje domysły, ale w sprawach pieniężnych okazywałem zwykle właściwy instynkt. Nie był uszczęśliwiony, gdy powiedziałem mu, że spłacam wszystko, a ty poczekasz, aż pojawi się jeszcze wyższa oferta.

Kirsty podniosła się gwałtownie.

- Czy naprawdę zdobyłeś się na szczyt bezczelności - mówiła z trudem - i powiedziałeś, że zamierzam sprzedać Everdene?

- Tylko wtedy, gdy dostaniesz ekstra cenę.

- Jak śmiesz wtrącać się w moje sprawy?

- To teraz także moje sprawy.

- Dopiero wtedy, gdy się na to zgodzę. A na pewno nie stanie się to szybko przy takim zachowaniu z twojej strony. Na mój dom nie ma ceny.

- Wszystko wskazuje na to, że gdy się pobierzemy, ten dom nie wystarczy...

- A kto mówi, że się w ogóle pobierzemy? - wybuchła. Zaciśnięła usta.

- Nie wiem, dlaczego zachowujesz się tak nieracjonalnie. Chociaż właściwie to wiem. Zgoda, mogę być czasami nieco apodyktyczny... może

nawet bardzo...

- Raczej gruboskórny jak słoń - rzuciła twardo Kirsty.

- Rozumiem, że jesteś przywiązana do tej farmy, ale wiedz, że ma ona niewielką wartość rynkową.

- Nie traktowałeś tego miejsca z takim lekceważeniem, gdy dawało ci schronienie - odparła Kirsty, mocno dotknięta.

- Kirsty, proszę, wierz mi, że jestem nieskończenie wdzięczny tobie i Everdene za to, że zostałem uratowany. Jestem tu właśnie po to, by okazać moją wdzięczność. Ale jestem przywiązany do ciebie, nie do miejsca.

- Gdybyś mnie choć trochę rozumiał, nie czyniłbyś tego rozróżnienia. Everdene, ja i Dartmoor, to jedno.

- Kierujesz się sentymentami.

- Dziękuj niebiosom, że urodziłeś się pod szczęśliwą gwiazdą i trafiłeś na sentymentalną kobietę, która nie odesłała cię prosto do więzienia! - zawołała z pasją.

- Nie chcę na ten temat dyskutować. Lubię wszystko załatwiać porządnie, taki już jestem. Nie możesz urodzić dziecka w tej dziurze zabitej dechami, skąd trudno byłoby zdążyć na czas do szpitala, gdyby wystąpiły jakiegokolwiek komplikacje.

- Skoro kobiety z mojej rodziny mogły rodzić tu przez całe wieki, to mogę i ja.

- Nie, nie zgadzam się na to. Chcę, by moje dziecko przyszło na świat w przyzwoitych warunkach. Przepraszam, jeśli się niewłaściwie wyraziłem, ale jeśli się nad tym zastanowisz, dojdiesz do wniosku, że mam rację.

W głowie Kirsty kłębiło się tyle gniewnych myśli, że nie zdołała wypowiedzieć żadnej z nich. Nadal próbowała dojść do jakiejś konkluzji, gdy usłyszała ujadanie Tarna. Ktoś pukał do frontowych drzwi. Mike wyjrzał przez okno.

- Przyszli obejrzyć mój samochód - powiedział. - Porozmawiamy później.  
- Poklepał Kirsty po ramieniu i wyszedł, zostawiając ją w rozterce.

W ciągu ostatnich kilku minut przeżyła prawdziwy szok, mogąc wreszcie ujrzeć Mike'a w prawdziwym świetle. Tygodnie ukrywania się, kiedy zależał we wszystkim od niej, wypaczyły jego obraz i kazały w nim widzieć człowieka łagodnego i tolerancyjnego. Teraz, gdy odzyskał władzę i pieniądze, powrócił do swego właściwego wcielenia. Kirsty nie była nim szczególnie zachwycona. Zwłaszcza jedno z powiedzeń Mike'a - „Nie będę na ten temat dyskutować” - wywołało u niej nieprzyjemne skojarzenia z okresem, gdy Jack oświadczał: „Nie będę sobie strzepić języka”. Oznaczało to, że i tak postawi na swoim, nawet jeśli nie ma racji i dobrze o tym wie. Z Jackiem toczyła zajadłe boje. Zwalczenie ślepego uporu Mike'a byłoby tysiącokrotnie trudniejsze, gdyż pomimo wszystko kochała go.

Z czasem jej niepewność ustąpiła miejsca mocnemu postanowieniu. Wiedziała, że ojciec, który tyle razy powstrzymywał ją przed impulsywnymi zachowaniami, przekonywałby ją i teraz, by nie robiła tego, co snuło jej się po głowie. Namawiałby, żeby się jeszcze raz zastanowiła. Gorące usposobienie Kirsty nie przeszkadzało jej jednak trzeźwo rozumować. Podjęła już decyzję, którą najlepiej było od razu wcielić w życie. Mike zapłacił właśnie mechanikowi, a gdy się odwrócił w stronę domu, jego oczom ukazał się niesamowity widok: Kirsty niosła do samochodu jego walizkę. Patrzył osłupiały, jak otwiera bagażnik i wkłada ją do środka.

- Słuchaj, ja jeszcze nie wyjeżdżam - zaprotestował.

- Wyjeżdżasz, Mike - powiedziała uprzejmie. - To miło, że przyjechałeś, ale nie pasujesz do tego miejsca, tak jak ja nie pasuję do żadnego innego.

- Posłuchaj, chcę tylko dobra twojego i dziecka. Może nie okazałem dość taktu, ale z pewnością racja jest po mojej stronie.

Spojrzała mu w oczy, w jego twarzy nie dostrzegła niczego znajomego. Jak mogła w ogóle pomyśleć, że kiedykolwiek się pobiorą?

- Co do pieniędzy zapewne się nie mylisz, Mike. W tej kwestii masz dużą wiedzę. Nie wiesz jednak nic o pozostałych sprawach, włączając w to mnie. Sprzedać Everdene? Mógłbyś mnie do tego namawiać tysiąc lat i tak by ci się nie udało. Ale ty nawet nie próbowałeś mnie namawiać. Po prostu zjawiłeś się tu z założeniem, że wszystko wiesz najlepiej i dobiłeś targu.

- Już przeproszałem za swój brak taktu.

- Nie przeszkadza mi twój brak taktu. Przeraza mnie to, że się tak bardzo mylisz. Mylisz się we wszystkich istotnych sprawach, mylisz się co do mnie i co do rzeczy, które kocham.

- Wstawanie o świcie, by nakarmić zwierzęta - odparował z ponurą ironią

- zimno, zmęczenie, bieda... To są rzeczy, które kochasz?

- Oglądanie wschodu słońca w najpiękniejszym zakątku świata, moi czworonożni przyjaciele trącający mnie pyskiem na powitanie, ziemia rozkwitająca dzięki pracy mych rąk - to są rzeczy, które kocham. I nauczę moje dziecko, by również je kochało.

- O ile tu zostaniesz. Beze mnie nie masz na to wielkich szans.

- Z tobą najwyraźniej miałabym jeszcze mniejsze. Poradzę sobie, Mike. Już nie raz nad Everdene wisiały czarne chmury. Ale teraz ty jesteś głównym zagrożeniem. Właśnie dlatego wyjeżdżasz.

Z zakłopotaniem przeczesał dłonią włosy.

- Nie mogę pojąć twego sposobu myślenia.

- Wiem. I nigdy go nie pojmiesz. Dlatego proszę: odejdz, zanim wyrządzisz mi krzywdę nie do naprawienia.

- A nasze dziecko? - Mike wyraźnie pobladł. - Może ja też mógłbym go nauczyć paru rzeczy?

- Może ja nie chcę, by się ich od ciebie uczyło.

- Kirsty, jeśli teraz mnie wyrzucisz, nie wrócę już -ostrzegł.

Zdawało mu się, że drgnęła, zawahała się przez moment, ale nie był tego pewien. W jej oczach nie było natomiast śladu ustępliwości.

- Do widzenia, Mike. Twarz mu stężała.

- Dobrze - powiedział szorstko. - Skoro tego chcesz. - Otworzył drzwi samochodu i zamknął je z trzaskiem. -Do widzenia, Kirsty. - Uruchomił silnik i odjechał, nie oglądając się za siebie.

## 7

Wraz z odjazdem Mike'a samotność dokuczała Kirsty bardziej niż kiedykolwiek. Mówiła sobie, że ból nie jest natury sercowej, że wynika z rozczarowania tym, jakim Mike okazał się człowiekiem. Nigdy nie bylibyśmy ze sobą szczęśliwi, powtarzała sobie, lepiej było od razu się rozstać. Ból jednak nie ustępował.

W ciągu paru następnych dni Kirsty miała wiele powodów, by żałować swych porywczych reakcji. Po tym, co powiedział Mike, stało się oczywiste, że bank sprzedał jej zobowiązania kredytowe miejscowemu farmerowi, który nastawał na to, by sprzedała Everdene i wykorzystywał jej zadłużenie jako środek nacisku. Kirsty nie wykryła powiązania między tymi faktami, natomiast Mike dostrzegł je od razu. Jego zmysł do interesów mógłby uratować Everdene, gdyby go nie wypędziła. Potem przypomniała sobie jednak, że Mike wcale nie chciał ratować farmy. Powiedział z pogardą, że obciążone długami Everdene „nie przedstawia większej wartości rynkowej”. To ostudziło jej emocje.

Gdy po kilku dniach nadszedł list z banku, Kirsty przygotowała się na złe nowiny. W kopercie znalazła jednak potwierdzenie wpłaty na jej konto, która likwidowała dług, a nawet zostawiała tysiąc funtów nadwyżki. Nie było wzmianki o tym, kto przelał pieniądze. Kirsty nie miała jednak żadnych wątpliwości, kto to mógł zrobić.

Nie mogła sobie pozwolić na zwrot pieniędzy w patetycznym geście odmowy. Poza tym, była to w końcu zwykła transakcja. W końcu uratowała mu

życie. Mike spłacił swe długi i teraz o niej zapomni. Kirsty zaczęła nawet pisać oficjalny list z podziękowaniem, podarła go jednak szybko. Zaczęła pisać następny, już w cieplejszym tonie, ale i ten podarła, rezygnując ostatecznie z dalszych prób. Teraz lepiej rozumiała Mike'a -nie istniały słowa, za pomocą których mogliby się porozumieć.

Po nietypowym dla siebie tygodniowym wahaniu Kirsty przełamała się jednak i napisała sztywny, zupełnie wyprany z uczuć list, a następnie wysłała go do banku z adnotacją, by został przekazany do banku Mike'a.

Ulga, jaką przyniosło jej załatwienie tej sprawy, nie trwała długo. Pewnego ranka ani Caleb, ani Jenna nie stawili się do pracy. Prywatne dochodzenie wykazało, że oboje opuścili okolicę poprzedniego wieczora. Kirsty od dawna wiedziała, że na Calebie nie zawsze można polegać, zdumiało ją jednak, że w krytycznej chwili porzucił ją bez słowa. Mogła się jedynie domyślać, że znów nabawił się jakichś kłopotów i musiał przeczekać w ukryciu, aż burza ucichnie. A może była to po prostu sprawka Jenny, która chciała pozbyć się rywalki. Powróciło złe samopoczucie. Wciąż nowe zmartwienia wypełniały jej głowę, a wyczerpanie przychodziło coraz szybciej. Była przecież w ciąży. Czy miała jednak jakieś inne wyjście, jak tylko wziąć się w garść i nie poddawać kłopotom?

Pewnego wieczoru wróciła do domu, jak zwykle zmęczona po całym dniu pracy, i ku swemu zdumieniu zastała na podwórku błyszczącego rang rovera. Był całkiem nowy, wyglądał tak, jakby wczoraj zszedł z taśmy produkcyjnej. Taki samochód świetnie nadawał się do jazdy w terenie. Ktoś, kto nim przyjechał, musiał myśleć o pozostaniu tu na dłużej.

Nie chciał wracać, pomyślała Kirsty, a jednak wrócił. Dlaczego?

Przejechała dłonią po gładkiej karoserii. Gdy usłyszała za sobą ciche kroki, odwróciła się. Przed nią stał Mike, w dłoni trzymał list od niej.

- Jak śmiesz pisać do mnie w ten sposób? - zapytał.

- A co w tym złego? - odparła. - Czy byłam nieuprzejma?



- Do diabła z uprzejmością! Czy kiedykolwiek byliśmy wobec siebie uprzejmi?

- Dlaczego wróciłeś, Mike?

- Bo dostaję szału. Bo nie mogę trzymać się z dala od ciebie. Sam już nie wiem, dlaczego. - W jego głosie pojawiła się desperacja. - Kirsty, czy mogłabyś nie marnować więcej czasu i pocałować mnie? Mogłabyś? Powiedz, tak czy nie?

- Tak - odpowiedziała, wyciągając ku niemu ramiona. Pocałowali się i mocno przyłgnęli do siebie, ale w ich uścisku było więcej ulgi niż namiętności. Tym razem Mike nie ciągnął Kirsty do łóżka. Pomógł jej zdjąć robocze ubranie i usadził przy piecu, w którym zdążył już napalić.

- Na rozmowę przyjdzie czas później - stwierdził. Kiwnęła głową, wyciągnęła nogi na ławie i pozwoliła mu zatroszczyć się o nią. Jak cudownie było wracać do domu, który nie jest pusty i zimny!

- Chyba nie powiesz, że przygotowałeś kolację? - zapytała, starając się wprowadzić lżejszy ton. - Tarn będzie uszczęśliwiony.

- Raczej rozczarowany, chyba że lubi hinduskie jedzenie na wynos.

- On wszystko lubi. Ale nigdy nie próbował kuchni hinduskiej. Ja zresztą też nie.

- Kupiłem po drodze. Przepadam za tym. To najlepsze smaki świata. Mam nadzieję, że tobie również przypadnie do gustu.

Wyjął butelkę wina, podał kurczaka z ryżem w sosie curry i przyglądał się jej twarzy, gdy jadła.

- Dobrze - powiedziała, nie umiając ukryć zdziwienia.

- Czasami i mnie coś wychodzi - zauważył. Zapadła cisza. Kirsty domyśliła się, że Mike czuje się równie niezręcznie jak ona. Choć tyle ich łączyło, czuli się teraz ze sobą dziwnie obco. Widocznie ostatnia kłótnia sprawiła, że byli przesadnie ostrożni i uważali na każdym kroku, by nie zranić się niepotrzebnym słowem lub gestem.

- Dlaczego nie powiadomiłeś mnie, że przyjeżdżasz? - zapytała ostrożnie.

- Obawiałem się, że nie wpuścisz mnie.
- A jak się dostałeś do wewnątrz? Byłam pewna, że zamknęłam drzwi.
- Zamknęłaś, ale ja w więzieniu nauczyłem się otwierać zamki bez klucza.

Rozgościłem się na tyle, żeby mieć

pewność, że łatwo mnie nie wykurzysz. To znaczy... - zawahał się.

- Czy zrobiłeś coś takiego, co może mi się nie spodobać?

- Nic... właściwie prawie nic. Wiem, że nie używasz tego pokoju od tyłu, a ponieważ potrzebuję biura na czas pobytu tutaj...

- ...to wprowadziłeś się tam - dokończyła za niego. Zwróciła uwagę na wiele mówiące wyrażenie „na czas pobytu tutaj”, ale to spostrzeżenie zachowała dla siebie. -W porządku. Rzeczywiście nie korzystałam z niego. Ale jak poradzi sobie bez ciebie twoja firma?

- Mam świetnego zastępcę, który upora się ze wszystkim, o ile będzie ze mną w stałym kontakcie. Twój telefon musi... - ugryzł się w język. - Chciałem powiedzieć, że byłoby dla mnie nieocenioną pomocą, gdyby...

Z uśmiechem przyjęła jego nieudolne wysiłki, by zachowywać się taktownie.

- Podłączę telefon - obiecała. - Znając twój tupet, dziwię się zresztą, że sam jeszcze tego nie załatwiłeś.

- Właściwie... jadąc tu, zadzwoniłem już do przedsiębiorstwa telekomunikacyjnego - powiedział, spoglądając na nią tak niepewnie, że wybuchnęła śmiechem. - Będą tu jutro - dokończył. - Nie mam już nic więcej do wyznania.

Usiedli przy ogniu.

- Jesteś na mnie zła? Potrząsnęła głową.

- Cieszę się, że cię widzę. Myślałam, że nigdy nie wrócisz. Tak powiedziałaś.

- Często mówię pochopnie rzeczy - westchnął ciężko

- których później żałuję. Dlaczego pozwoliłaś mi odjechać, skoro myślałaś, że mówię serio?

- Nie miałam wyjścia, Mike. Jestem jaka jestem, ty też, żadne z nas nie zmieni się nigdy, więc...

Pośpiesznie zakrył dłonią jej usta, zanim zdążyła wypowiedzieć złowieszcze słowa. Wcześniej skłamał, twierdząc, że pochopnie zapowiadał, iż wyjeżdża na zawsze. Naprawdę nie miał zamiaru tu wracać. Niech dusi się we własnym sosie, myślał o Kirsty, gdy opuszczał jej farmę. Najlepiej będzie trzymać się od niej z daleka.

Zrozumiał jednak, że nie potrafi żyć z dala od niej. Nawiedzała z uporem jego myśli, aż w końcu ugiął się i wrócił. Oczywiście, tłumaczył sobie, że wraca tylko na krótko, dopóki ona nie zmieni zdania. A jednak na razie to on ustąpił. Dla człowieka takiego jak Mike, który z dumą twierdził, że nikt z nim nigdy nie wygra - ani protestujący, ani wydziały planowania, ani kobiety - było to trudnym wyzwaniem.

Odsunął teraz tę myśl na bok, wolał skupić się na przyjemniejszych sprawach. Delikatnie dotknął dłonią jej brzucha.

- Wszystko w porządku?

- Tak, wszystko dobrze.

- Ale nie będziesz już więcej pracować?

- A co, ty będziesz karmił świnię? - zapytała z filuternym błyskiem w oku.

- Chciałabyś to zobaczyć, prawda?

- Świetny pomysł!

Po chwili wahania oboje wybuchnęli śmiechem.

- Przykro mi rozczarować cię, Kirsty, ale moim zdaniem od tego są świniopasy, tak jak od orania są oracze, od siania siewcy...

- Oranie i sianie ma się już ku końcowi.

- Dobrze, ja nie mam pojęcia o uprawie roli, ale zatrudnię ludzi, którzy się na tym znają.

- Sama się znam.

- Ale ty jesteś w ciąży - przypominał jej cierpliwie.

- Wiesz, że ciąża nie jest kalectwem, zwłaszcza dla ludzi wychowanych na wsi. Krowy się ciela, świnie mają prosięta, a kobiety dzieci. To normalne. W dniu, kiedy przyszedłam na świat, moja matka jeździła traktorem.

- Przed czy po? - zapytał z ironią w głosie.

- Bardzo śmieszne. Wiesz przecież, o co mi chodzi.

Patrzyła na niego z taką figlarną wesołością, że zapragnął nagle ją ucałować. Pomyślał, że nie widział jej jeszcze w równie pogodnym nastroju. Gdyby tylko zdołał wyrwać ją stąd, gdyby przenieśli się do przyzwoitych warunków, skończyłyby się pewnie wszystkie problemy. Wtem przyszła mu do głowy myśl, która sprawiła, że poczuł ukłucie w sercu.

- Co się stało? - Kirsty zauważyła nagłą zmianę jego usposobienia.

- Nic - odparł pośpiesznie. - To znaczy... nagle pomyślałem o matce.

- Jakieś nieszczęście?

- Nie, żyje i ma się dobrze. Nic ważnego, po prostu to, co mówiłaś, przypomniało mi, że mama dorabiała praniem i według ojca jeszcze na chwilę przed porodem upierała się, że musi skończyć to, co zaczęła.

- Wypisz wymaluj ja.

- Nie, nie jesteście wcale podobne - odparł spokojnie.

- Mimo to z przyjemnością bym ją poznała.

- Może później. Na razie musimy podjąć ważne decyzje.

Kirsty była zaskoczona i trochę dotknięta tym, że Mike najwyraźniej nie chce umożliwić jej spotkania z rodziną. Cieszyła się z jego powrotu, ale nie mogła udawać, że wszystko jest w porządku. Wciąż rozumowali zupełnie inaczej, może tylko namiętność była w stanie ich połączyć.

- Jakież to ważne decyzje?

- Potrzebujesz rąk do pracy. Umówiłem się na jutro z dwójką robotników, przyjdą z tobą porozmawiać. Jeśli nie będziesz do nich przekonana, po prostu odeślij ich, a ja znajdę następnych. Decyzja należy do ciebie.

Kirsty podziękowała mu i powstrzymała się od wyrażenia swej opinii, że o tej

porze roku nie warto zatrudniać nikogo, kto szuka pracy. Spotkała ją jednak przyjemna niespodzianka, gdy nazajutrz przed domem zobaczyła Freda i Franka, dwóch dobrze zbudowanych braci. Przyjechali konno z drugiego końca Dartmoor. Kiedyś utracili farmę, bo nie stać ich było na jej utrzymanie, byli więc jej, jak wszyscy pokrzywdzeni ludzie, w szczególny sposób bliscy. Najważniejsze jednak, że nie mieli nic przeciwko temu, by pracować dla kobiety cieszącej się w okolicy jak najgorszą sławą. Dla nich liczyła się tylko ziemia i szansa pozostania w Dartmoor. Gdy Kirsty poruszyła temat zapłaty, powiadomili ją, że wszystko ustalili już z panem Stallardem. Kirsty podejrzewała, że Mike przepłacił im, ale nie robiła z tego problemu. Fred i Frank od razu zabrali się do roboty. Pracowali solidnie i uczciwie i już pod koniec pierwszego dnia Kirsty wiedziała, że może oddać farmę w ich ręce, a sama pomyśleć o dziecku. Po tygodniu traktowała ich jak dobrych wujaszków, choć nadal nie mogła rozróżnić, który jest Frank, a który Fred. Mike upierał się, że to on zapłaci za podłączenie telefonu. Kirsty przystała na to, pewna, że i tak na jej rachunek pójdzie sporo rozmów służbowych Mike'a.

- Od czasu do czasu będę musiał przejechać się do Londynu - wyjaśnił. - Pozostaniemy wtedy w kontakcie.

- Mike, nie rozumiem. Jak długo masz zamiar tu zostać?

Zrobił kwaśną minę.

- To nie zależy ode mnie. Czy jesteś gotowa wyjść za mnie za mąż i zamieszkać w moim domu? - Pokręciła przecząco głową. - A czy w ogóle jesteś gotowa wyjść za mnie za mąż?

- Nie wiem - odparła powoli. - Czy możemy odłożyć to na jakiś czas?

- Chyba musimy. Zobaczymy, jak się ułożą sprawy. Kirsty wiedziała, że nie jest to zbyt odpowiedzialne posunięcie, a tylko odwlekanie decyzji, którą i tak trzeba będzie kiedyś podjąć. W chwili obecnej była jednak tak zadowolona z życia, że wprost obawiała się podejmowania jakichkolwiek decyzji, bojąc się, że opuści ją szczęśliwy traf.

Po paru dniach Mike wyjechał do Londynu. Wkrótce powrócił z komputerem i faksem. Potrzeba było kolejnych linii telefonicznych, lecz na ich rychłe podłączenie Kirsty nie mogła liczyć. Mike niezwłocznie zadzwonił więc do jakiegoś wpływowego człowieka o imieniu Harry i linie podłączono nazajutrz.

- Jak ty to robisz, że wszyscy tak koło ciebie skaczą? f - zapytała Kirsty podczas popołudniowego spaceru, na który wybrali się razem z Tamem.

- To proste, jeśli znasz właściwych ludzi. - Mike wzruszył ramionami. - Ponadto posiadam sporo udziałów w telekomunikacji, to znaczy posiada je New World Properties.

- New World Properties - powtórzyła Kirsty.

- Ładnie brzmi, prawda? Szukałem nazwy, która pasowałaby do gigantycznej skali mych przedsięwzięć.

- A czym właściwie zajmuje się ta twoja firma? Tylko buduje?

- Tylko! - powtórzył zbulwersowany. - A czegoż byś chciała więcej? Stawianie nowych budynków to najbardziej twórcze zajęcie na świecie.

- To zależy od tego, jakie ma się poglądy na współczesną architekturę - zauważyła chłodno Kirsty. - Ja na przykład obeszląbym się bez większości jej osiągnięć.

- Ciekaw jestem, co konkretnie widziałaś.

- Razem z tatą byliśmy raz w Londynie - powiedziała. - Obojgu nam się nie podobało. Nie było czym oddychać, ludzie mieli spięte, nieprzyjazne twarze i unikali nawzajem swych spojrzeń. Czuliśmy się tam jak istoty z kosmosu. No i ten niesamowity hałas.

- Przywyka się do niego - zauważył Mike. - Potem cisza staje się tak samo nie do zniesienia. Tu w nocy obudziło mnie tłuczenie gałązki o okno. Właściwie dźwięk był bardzo cichy, ale doprowadzał mnie do szału. Musiałem wstać i odciąć tę

gałązkę.

Wspięli się na wzgórze, które wznosiło się za domem. Wiosna zagościła już na dobre w przyrodzie, a jej subtelny urok sprawiał, że zapominało się o niedawnej, ponurej zimie. Kirsty nie odzywała się, mając nadzieję, że Mike'a też poruszy wszechobecne piękno. Z zadowoleniem stwierdziła, że rozgląda się uważnie wokół.

- Co o tym myślisz? - zapytała z uśmiechem i zatoczyła krąg ręką, pokazując na okolicę.

- Myślałem, jak wiele domów można by postawić na tym terenie - odpowiedział, a jej dobry nastrój zniknął bez śladu.

- Tylko że nigdy ci się to nie uda - zauważyła. - Dart-moor to park narodowy, jest pod ścisłą ochroną.

- Chcesz powiedzieć, że chroni się go przede mną? - zapytał ironicznie.

- Przed ludźmi takimi jak ty. Westchnął z niecierpliwością.

- No tak, inwestor budowlany równa się - potwór. Mam już dość traktowania mnie jakbym był skrzyżowaniem Drakuli z Atyllą. Wielu z nas robi masę wspaniałych rzeczy, ale o tym nigdy się nie mówi. Wystarczy jeden krzykacz, który uczepi się kurczowo jakiejś rozwalającej się szopy, i wszyscy zapominają o tym, ile miejsc pracy dają inwestycje budowlane. Bohaterem jest zawsze jakiś niezguła, nigdy przedsiębiorca.

- Świetnie - podchwyciła Kirsty. -I o to chodzi. Precz z postępem. Niech żyje każdy niezguła!

- Dziękuję - powiedział gorzko.

- A dlaczego to inwestor ma być bohaterem? Zbiera i tak kupę forsy.

- Zbiera o wiele, wiele mniej, gdy przez miesiące wstrzymuje się prace i trzeba płacić dziesiątkom prawników, by przepchnąć plany i ruszyć wreszcie z robotą. Wszystkie te zbędne protesty, skargi, procesy...

- A skąd wiadomo, że zbędne? Ludzie, którzy tracą domy przez takiego inwestora, też mają coś do powiedzenia.

- Zbędne, ponieważ i tak zawsze w końcu wygrywam - wyjaśnił Mike z bezwzględną szczerością. - A jeśli ja jestem tym inwestorem, to wszyscy ci ludzie i tak dostają inne domy, nowe, a przynajmniej o takim samym standardzie. Chyba więc niczego nie tracą, mam rację?

- Niczego oprócz przyjaciół i sąsiadów - powiedziała cicho Kirsty.

- Cóż, jak wiesz, przyjaciele i sąsiedzi to wątpliwe błogosławieństwo. Przepraszam - dodał pośpiesznie, obejmując jej ramiona - nie chciałem robić ci przykrości, ale przynajmniej ty nie powinnaś powodować się sentymentami w tej kwestii. Ja każdego dnia walczę z sentymentami.

- Nie ma na nie czasu, prawda?

- Nie za wiele. Wyrządzają wiele szkody, żaden z nich pożytek.

Oczywiście, ludzkie uczucia liczą się, ale...

- Jedynie wtedy, gdy nie hamują marszu postępu? Mike nie podjął tej zaczepki.

- Właśnie tak - zgodził się.

- Przypuszczam, że masz swoje sposoby, by przekonać takiego niezgułę, że jego dom nie przedstawia aż tak dużej wartości, by odbierać ludziom pracę?

- Nie jego. Trzeba przekonać lokalne władze, żeby obłożyły nieruchomość nakazem przymusowego wykupu - stwierdził sucho, nie kontrolując emocji w głosie. - Każdy sprzeciw można złamać.

- Stosując wymyślne tortury, tak? Kropla drażży skałę?

- zauważyła gorzko Kirsty.

- O co ci chodzi? - Mike dostrzegł już, że jej ton nie jest obojętny.

Kirsty wyciągnęła z kieszeni list, który przyszedł rano. Nadawcą była agencja „Colley & Son”. Ostatnią ofertę firmy odrzuciła stanowczo, ale ci nadal ją nękali, najwyraźniej licząc na to, że w końcu zmięknie.

- To są ludzie twego pokroju - powiedziała z odrazą.

- Nie dawali mi spokoju przez cały ubiegły rok. Latem Dartmoor roi się od turystów. Większość z nich czytała „Psa Baskerville'ów”, chcą zobaczyć,



gdzie to się „naprawdę działo”. Wiem, bo dorabiam czasem, podając turystom herbatę w ogrodzie. W zeszłym roku obsługiwałam grupę mężczyzn, którzy zainteresowali się moim domem. „Co za wspaniałe miejsce na hotel” - zaczęli mówić i z miejsca zaproponowali, że go odkupią. A że w związku z ograniczeniami budowlanymi praktycznie jedynym sposobem otworzenia hotelu w Dartmoor jest zaadoptowanie istniejącego już budynku, to chcieli przekształcić oborę w restaurację, ustawiając w niej plastikowe krowy i mleczarki z wosku, by „oddać ducha starego Dartmoor”, jak to ujął jeden z nich. Roześmiałam im się w twarz, ale od tamtej chwili nie dawali mi spokoju. Mike? - Dotknęła jego ręki, widząc, że zapatrzył się przed siebie. - Mike, słyszałeś...?

- Przepraszam, zamyśliłem się.

- Co cię tak zaskoczyło? Znasz tych ludzi? Mają londyński adres.

- Tak, słyszałem o nich. Nie martwiłbym się tą sprawą. Jeśli piszą do ciebie od roku i nie przechodzą do innych działań, to znaczy, że nie mają na nie pomysłu. Możesz się nie przejmować.

- A gdybyś ty był na ich miejscu, jak byś mnie stąd wykurzył?

Uśmiechnął się.

- No cóż, najpierw schowałbym gdzieś twoją strzelbę. Chodźmy do domu. Nastąpiła pełnia lata i wrzosowiska wypełniły się turystami. Na ogół byli to mili ludzie, których jedynym pragnieniem było odnaleźć w tym miejscu piękno i spokój, jakimi Kirsty cieszyła się na co dzień. Rozumiała to i starała się być tolerancyjna. Natłok turystów zakłócał jednak życie i coraz bardziej ją męczył, toteż niecierpliwie wyczekiwała końca sezonu.

W kolejnych miesiącach ciąży odzyskała równowagę. Nad przyszłością nadal unosił się znak zapytania, ale cieszyła się dzieckiem, które nosiła w sobie, i mężczyzną, którego mimo wszystko kochała. Inne problemy zdawały się bardzo odległe. Mike martwił się, że zostawia Kirsty samą podczas swych wypraw do Londynu, próbował więc znaleźć służącą, która zamieszkałaby z nią w domu. Niestety, trudno było o chętne kandydatki. Pewnego pamiętnego razu

sprowadził nawet swą własną gospodynię. Od razu nabrała uprzedzeń do Tama i zrezygnowała po dwóch dniach, pomrukując „prymityw” i „za kogo oni mnie mają”.

Pewnego dnia, kiedy Kirsty odpoczywała właśnie po lunchu, z podwórka dobiegł ją jakiś hałas. Wyjrzała przez okno i ujrzała samochód, który zatrzymał się z poślizgiem, a po chwili porządnie ubranego mężczyznę, który wysiadł i zaczął przechadzać się wokół, z niesmakiem lustrując teren. Jego towarzysz także opuścił samochód, ale został przy nim, najwyraźniej obawiając się zrobić krok dalej. W końcu ruszył się, ale zaraz przystanął i niespokojnie obejrzał podeszwę buta. Kirsty obserwowała całą scenę z niepokojem, ale i z rozbawieniem.

Rozbawienie znikło jednak bez śladu, gdy intruzi otworzyli drzwi do kurnika i wsadzili nosy do środka. Wizyta nie trwała długo, wyгнаło ich bowiem od razu wojownicze gdakanie.

- Czego tutaj szukacie? - zaczęła Kirsty, wychodząc im na spotkanie.

- Czy mówię z panią Trennon? - zapytał jeden z nich.

- To ja zadaję pytania. Co tu robicie?

- Mamy sprawę do pani Trennon, a nie jej pracowników - odparł

zaczepnie. - Powiedz jej, że jesteśmy od Colleya.

Kirsty spochmurniała.

- Nie ma pani Trennon - powiedziała chłodno. - A nawet gdyby była i tak nie chciałaby was widzieć. Możecie sobie iść.

- Chyba jednak zaczekamy.

- Zobaczymy. - Zawróciła do domu. Mike, który wszedł właśnie do kuchni, zwabiony podejrzanymi odgłosami, z przerażeniem zauważył, że Kirsty sięga po strzelbę.

- Czy musisz na wszystko reagować w ten sam sposób? Są przecież inne metody.

- Nie na szkodniki - odparła twardo. - Mam tu dwóch ludzi od Colleya.

Nosem mi już wychodzą dyskusje z nimi.

- Pozwól najpierw, że ja spróbuję się ich pozbyć. Jeśli nie dam rady, możesz do nich wygarnąć z dwururki. Zgoda?

- Zgoda. Ale nie nadużywaj mej cierpliwości.

- Wyświadczyć mi przysługę i trzymaj się z tyłu.

Kirsty poszła na ustępstwo i została w domu. Nie słyszała nic, ale widziała, jak Mike podchodzi i rozmawia z mężczyznami. Zauważyła, że jest w nim coś takiego, co powoduje, że ludzie instynktownie okazują mu posłuszeństwo. Przybysze zachowali się właśnie tak - zamienili z nim jedynie parę słów, po czym wsiedli do samochodu i odjechali.

- Widzisz? - powiedział wesoło, gdy wrócił. - Zmarnowałabyś tylko naboje.

- Ale pomyśl, jaką bym miała satysfakcję - odparła z zadumą. - Mike, ci ludzie doprowadzają mnie do szewskiej pasji. Nie rozumieją, że „nie” znaczy „nie”.

- Nie będą cię już niepokoić. Masz na to moje słowo.

- Co takiego zrobiłeś?

- Po prostu przypomniałem im, że są małymi rybkami w morzu pełnym żarłocznych rekinów - odpowiedział po chwili wahania. - Przyjęli to do wiadomości. - Pocałował ją. - No, muszę już jechać. Wrócę, jak najszybciej się da.

Zawsze gdy wyjeżdżał, zastanawiała się, czy powróci. Leżała wtedy sama w łóżku i rozmyślała, czy nie powinna była przyjąć propozycji małżeństwa. Zaraz jednak usprawiedliwiała się przed sobą. Owszem, Mike okazywał jej sympatię, mówił, że chce ją poślubić, nigdy jednak oficjalnie się nie oświadczył. Poza tym Kirsty nie mogła pozbyć się przeczucia, że za jego propozycją kryje się instynkt posiadania, że Mike chce ich dziecka i robi jedynie to, co uważa za słuszne, by je zdobyć. Nie chciała, by ktoś żenił się z nią z litości, z wdzięczności czy z jakiegokolwiek innego niż miłość powodu. Klęska

pierwszego małżeństwa była aż nadto poważnym ostrzeżeniem.

Mike pozostał w Londynie przez dwa tygodnie, dłużej niż zamierzał. Gdy w końcu zdołał uporządkować wszystkie sprawy, wsiadł do samochodu i jechał przez całą noc, by o świcie dotrzeć do Dartmoor. Ostatnie kilometry posuwał się wolno, uważając, by nie zasnąć za kierownicą. Zatrzymał się nawet gdzieś pośrodku wrzosowisk, gdy zobaczył połyskujący w słońcu strumyk, i schlapał sobie twarz zimną wodą dla orzeźwienia. Od razu poczuł się znacznie lepiej. Był wykończony po całym dniu ostrych kłótni z personelem kierowniczym i całonocnej jeździe i teraz uległ pokusie chwili wytchnienia.

Wracając do auta, zauważył, że nie jest sam. Jakiś mężczyzna opierał się o maskę i z posępną miną patrzył na zbliżającego się kierowcę. Towarzyszył mu chłopiec mający jakieś szesnaście lat. Wyglądał na młodszego brata tego pierwszego. Miał szlachetniejsze rysy, a jego twarz wyrażała gwałtowny bunt.

- Czy mogę w czymś pomóc? - zapytał Mike.

- Może tak, może nie - odparł butnie mężczyzna. - Chciałem ci się najpierw dobrze przyjrzeć.

- Nie sądzę, byśmy spotkali się przedtem.

- Ludzie mówią o tobie. Wszyscy wiemy, kim jesteś.

- Czego nie mogę powiedzieć o panu - powiedział twardo Mike. - Z kim mam przyjemność?

- Abe Mullery. - Wskazał skinieniem głowy chłopca. - A to mój brat, David. Mieliśmy jeszcze jednego, Petera, ale ona go zabiła.

- Jeśli chodzi o panią Trennon...

- Pani Trennon! - Abe splunął. - Dobrze sobie. Tak naprawdę wcale nie była żoną Jacka Trennona. Sprowadziła na niego nieszczęście, tak jak i na mojego brata. Sprowadza nieszczęście na każdego, kto się jej nawinie.

- Ona jest zła - odezwał się po raz pierwszy mały David. - Jest czarownicą. Kiedyś palono czarownice...

- Jesteś za młody, by czuć do ludzi taką nienawiść - powiedział mu

poważnie Mike.

- Wiem, co to sprawiedliwość. Nie jest sprawiedliwe, że jej uszło na sucho to, co zrobiła.

- Ona nic nie zrobiła.

- A skąd wiesz! - krzyczał chłopiec. - Oszukuje cię, tak jak oszukiwała Petera i Jacka, a teraz obaj nie żyją.

- Przepadał za Peterem - wyjaśnił Abe, wskazując na brata. - Zresztą wszyscy za nim przepadali i nie ma dla nas wystarczającej kary dla kobiety, która go zabiła. Przyszedłem więc ostrzec cię po dobroci, byś wyjechał stąd na zawsze i zostawił ją nam.

- Ja też chciałem cię ostrzec. Odsuń się od samochodu i zejź mi z drogi - powiedział Mike spokojnym tonem, w którym pobrzmiwał jednak gniew.

- Ładny wozik - zauważył Abe, nie ruszając się z miejsca. - Byłoby szkoda, gdyby coś się z nim stało... albo z tobą.

- Mnie nic nie będzie - odparł twardo Mike. - Ale jeśli ty się nie odsuniesz, to naprawdę będziesz żałować...

- Ja będę żałować? - Abe roześmiał się. - Co mi zrobisz tymi wypieszczonymi rączkami? Gadać to może potrafisz, ale nie więcej. No, co mi zrobisz?

- To! - powiedział Mike i starannie wymierzył cios. W chwilę później Abe siedział na ziemi i wypluwał wybity ząb. - Widzisz? Nie kieruj się pozorami - poradził Mike. - Spędziłem wiele lat na budowach, rok w więzieniu był też niezłą szkołą. Nie próbuj mnie jeszcze kiedyś denerwować, bo nie starczy ci zębów. A ty, młodzieńcze - zwrócił się do Davida - nie słuchaj tych bzdur, które mówią. Żyj własnym życiem.

Z twardego, nieustępliwego spojrzenia Davida wywnioskował jednak, że jego rady nie trafiają do chłopca. David pomógł bratu podnieść się i powtórzył dobitnie:

- Kiedyś palono czarownice. Ale nie teraz.

Mike odwrócił się ze zgrozą, uruchomił silnik i odjechał. Jadąc do domu, rozważał groźby Abe'a, jego namowy, by zostawił Kirsty. Nie, to nie ma sensu. Prędzej czy później ta dziewczyna musi zmądrzeć i zamieszkać z nim w Londynie. To tylko kwestia czasu.

Poprawił mu się humor. Poczul się, jakby coś zostało postanowione, jakby nabrał praw do Kirsty przez sam fakt obrony jej przed zarzutami.

Dostrzegłszy go z oddali, Kirsty czekała już na podwórku. Po pierwszym uścisku wykrzyknęła:

- Masz porwaną koszulę! Co się z tobą działo?

Spojrzał na miejsce, gdzie naderwał się rękaw.

- Cóż... Ta koszula nie została uszyta po to, by się w niej bić - stwierdził żartobliwie.

- Bić się?

W swej euforii nie zwrócił uwagi na jej niepokój.

- Właściwie to była tylko mała utarczka. Uderzyłem go, ale mam nadzieję, że następnym razem zastanowi się, zanim zacznie mnie zaczepiać.

- Mike, kto to był?

- Abe Mullery. Razem z małym Davidem, który wygadywał, że jesteś czarownicą i takie tam bzdury... Abe'owi nie podobało się, że tu przyjeżdżam, by być z tobą. i cię chronić, więc dałem mu nauczkę. - Objął Kirsty ramieniem. - Jesteś teraz moja, kobieto - naśladował głos nieokrzesanego prostaka. - To stare prawo. Mężczyzna; który walczy o kobietę i który wygra, ma do niej prawo. - Pocałował ją śpiesznie. - Wiesz co? Oni mają jednak rację. Naprawdę jesteś czarownicą. Rzuciłaś na mnie taki urok, że gotów jestem na wszystko, byle cię mieć.

Wzmocnił uścisk, chcąc pocałować ją namiętniej, ale ona nagle zeszywniała w jego objęciach. Cofnął się, spojrzał na nią i ze zdumieniem zauważył, że Kirsty ma w oczach lęk. Przeklął swój brak taktu, ale było już za późno.

- Jak to, gotów na wszystko? - szepnęła.

- Kirsty, przepraszam, ja żartowałem. Nie miałem zamiaru... do diabła, właściwie sam nie wiem, jakie miałem zamiary.

- Ale podobało ci się to, że się o mnie biłeś.

- Zawsze lubiłem się bić. - Podszedł do niej i znów ją objął.

- Nie, Mike, pozwól mi odejść - powiedziała, zaczynając szarpać się w jego ramionach.

- Wolałbym, żebyś została. Nie możemy pocałować się i pogodzić?

- Nie musimy się godzić. O nic się nie pokłóciliśmy. Ja po prostu... chcę być przez chwilę sama.

- Żeby rozpamiętywać moje niezręczne słowa i swoją nieszczęsną przeszłość? Zrozum wreszcie... Ich śmierci nie mają nic wspólnego z tobą.

- Nic o tym nie wiesz. Ani ja. I nigdy się nie dowiem. Nigdy do końca nie dowiem się, czego jestem winna.

- Nie jesteś niczego winna. To nie grzech, że jesteś piękna i że budzisz pożądanie. To dar, kochanie...

- Nie - krzyknęła - to przekleństwo, które będę nosić przez całe życie. Mike, proszę, daj mi odejść.

- Kirsty...

- Proszę!

Zdumiony jej krzykiem, opuścił ręce i szybko się cofnął.

- Przepraszam.

- Ja też przepraszam. Chyba samym swoim istnieniem wyrządzam innym krzywdę. Mike, dlaczego nie uciekniesz ode mnie, póki jesteś jeszcze bezpieczny? - Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i pobiegła na górę.

- Dobry Boże -jęknął Mike i opuścił bezradnie ręce.

Eksplozja barw zwiastowała nadejście lata. Kirsty zlecała większość prac na roli Fredowi i Frankowi, a sama zajmowała się podawaniem herbaty turystom. Cięża nie odebrała jej ruchliwości. Wiedziała, że dopóki z dzieckiem wszystko jest w porządku, nie ma się na co skarżyć.

Po spotkaniu z Abem i Davidem Mike nalegał, by Frank albo Fred spali w domu, gdyby on musiał wyjechać. Jego wyprawy do Londynu stały się jednak rzadsze. Tłumaczył sobie, że dzieje się tak dlatego, bo Kirsty go potrzebuje, ale w głębi duszy wiedział, że zaczyna go coraz bardziej przygnębiać zgiełk wielkiego miasta. Dni schodziły mu na targowaniu się z ludźmi, którzy nigdy nie mówili wprost tego, co myśleli, i wtedy z utęsknieniem wspominał bezpośredniość i prostolinijność Kirsty. Nawet garnitury systematycznie niszczone przez Tarna stanowiły cenę, jaką warto było zapłacić za radosne powitanie. Mike wyciągnął jednak wnioski i zaczął przebierać się w dzinsy przed ostatnim etapem podróży.

Pewnego popołudnia zastał Kirsty ze świniami. Nie karmiła ich, tylko z radością drapała za uszami Corę którą niedawno zaszczycił wizytą knur.

- Obie jesteśmy matkami - wyjaśniła Kirsty. - Mamy urodzić mniej więcej w tym samym czasie.

- Chyba nie będziesz miała siedmiorga? - zapytał niespokojnie, co zostało przyjęte wesołym chichotem.

- Dawniej nigdy byś tak nie żartował - zauważyła.

- Dawniej nie miałem wielu tematów do żartów. Teraz mam wszystko i zawdzięczam to wyłącznie tobie. - Przyciągał ku sobie stojącą tyłem Kirsty, muskając ustami jej szyję. - Dwa miesiące - mruknął. - To cały wiek. Czy nie możesz urodzić jutro?

- Kto wie? - odparła pogodnie. - Ja byłam właśnie siedmiomiesięcznym dzieckiem.



- W takim razie musimy omówić pewną sprawę - powiedział stanowczo.

- Rozumiem. Ty i twoje wielkie plany umieszczeniem nie w komfortowej, prywatnej klinice! - Zrobiła kwaśną minę. - No dobrze, mów, jeśli ci to potrzebne do szczęścia.

- Mówisz serio? Chcesz mnie wysłuchać? To słuchaj, mogę cię zapisać do Kliniki Położniczej Bellingham...

- I tak wiem, przebrzydły oszuście, że już mnie tam zapisałeś. Napisali do mnie, nie mając pojęcia, że jeszcze o niczym nie wiem - roześmiała się. - O co chodzi, Mike? Wyglądasz, jakbyś czuł się winny.

- Nie jesteś na mnie wściekła?

- Wybaczam ci. - Pocałowała go.

- Właściwie jest jeszcze coś, o czym powinniśmy porozmawiać - podjął Mike.

Tak, trzeba wykorzystać chwilę, gdy jest łagodnie usposobiona, myślał, i ponownie poprosić ją o rękę. Właśnie starannie dobierał słowa, gdy usłyszeli czyjeś wołanie z zewnątrz. Mike westchnął i odłożył sprawę na później.

- Oho, znam ten głos - powiedziała i wyszła na podwórko. Po chwili Mike usłyszał jej okrzyk: - Ach, więc to znowu ty! - w głosie Kirsty pobrzmiwało zarówno rozbawienie, jak i gniew.

Męski głos odpowiedział:

- No cóż, zawsze pojawiają się wtedy, gdy nikt się mnie nie spodziewa. A ty, czyż nie wybaczasz mi moich przewinień?

W tym głosie było coś, co napełniło Mike'a przerażeniem. Nie wiedział dokładnie, skąd zna ten głos, ale z lękiem go rozpoznawał. Wyrzwał i zeszywniał na widok Caleba, obejmującego ramieniem Kirsty.

- Nie powinnam wybaczyć ci tego, że zostawiłeś mnie w opałach - powiedziała do niego z uśmiechem.

- Kochanie, byłem naprawdę niepokieszony, ale gdybym został,

wpadłbym w poważne kłopoty i na nic bym ci się nie przydał.

- Nie mów może nic więcej. Im mniej wiem o twoich wyczynach, tym lepiej. - Kirsty roześmiała się. Podnosząc wzrok, ujrzała Mike'a stojącego w progu i przyglądającego się im z groźną miną. Caleb na jego widok od razu cofnął się z przestachem.

- Nie mam złych zamiarów, przysięgam - powiedział do Mike'a pojednawczo. - Boże, ależ ty masz straszny cios. Bolało mnie przez cały tydzień.

- Szkoda, że jedna nauczka ci nie wystarczyła - odparł sucho Mike. - Jakim prawem, u licha, śmiesz się tu znów pokazywać?

- Mike - wtrąciła pośpiesznie Kirsty - wszystko w porządku. Caleb przeprosił mnie za...

- To by się w ogóle nie zdarzyło, gdybym nie był pijany

- potwierdził Caleb z miną niewiniątka.

- Przysiągł, że to się więcej nie powtórzy i dotrzymał słowa - ciągnęła Kirsty. - Nie poradziłabym sobie bez niego po twoim odejściu... Bez niego i Jenny, oni są parą

- dodała, próbując rozchmurzyć Mike'a. - Razem dla mnie pracowali.

- Nigdy ich tu nie widziałem.

- No cóż, musiałem... hm... szybko pakować manatki

- wytłumaczył Caleb. - Ale teraz wszystko jest już wyjaśnione. Wróciłem, by zobaczyć, czy Kirsty nie potrzebuje mojej pomocy...

- Nie potrzebuje - uciał Mike.

- Chwileczkę - wtrąciła się Kirsty, oburzona jego władcym tonem.

Mike obrócił się w jej stronę.

- Czy masz nadal zamiar brać jego stronę? Po tym, co się wydarzyło? Caleb dyskretnie wycofał się parę kroków na bok, aby mogli rozmawiać swobodniej, nie zrezygnował jednak z przysłuchiwania się tej wymianie zdań.

- Caleb to moja rodzina - powiedziała stanowczo Kirsty. - Jest kuzynem

Jacka. Był przy mnie, kiedy go potrzebowałam, i nie wyprę się go tylko dlatego, że raz nadwreżył swoją reputację. Tak się nie postępuje w rodzinie.

- Teraz ja jestem dla ciebie rodziną - powiedział wzburzony Mike. - Przynajmniej powinienem być. Gdyby nie twój upór, już byśmy się pobrali.

- I uważasz, że wtedy miałbyś prawo do wyrzucania precz mych przyjaciół? Zastanów się.

- Osobliwych masz przyjaciół - warknął Mike. - Czy pójdziesz wreszcie po rozum do głowy i pobierzemy się?

- To dopiero słowa godne przyszłego męża! Ile w nich czułości! Ile taktu! Któż teraz zdoła ci się oprzeć?

Kątem oka Mike dostrzegł, że Caleb chichocze, obserwując tę burzliwą scenę. Zaklął bezgłośnie, wściekły, że Kirsty broni człowieka, którego on uznał za niegodziwca, a następnie odwrócił się gwałtownie i wszedł do domu. Miał oczywiście nadzieję, że Kirsty podąży za nim. Ku jego uldze pojawiła się prawie natychmiast.

- Jak możesz ujmować się za nim? - wybuchnął,

- Sama nie wiem. Jest łobuzem, ale ma dobre serce i nie raz przychodził mi z pomocą.

- Nie raz też do ciebie się przystawiał.

- Mike, zrozum, proszę. Mężczyźni traktują mnie w ten sposób, odkąd skończyłam piętnaście lat. Nie podoba mi się to, ale nic nie zmienię. Mogę tylko podzielić mężczyzn na tych, którzy wpadają w szal, gdy ich odrzucam, i tych, którzy przepraszają i wycofują się grzecznie. Caleb przeprosił. - Spojrzała znacząco na Mike'a. - I nie zadawał niepotrzebnych pytań co do twego pobytu tamtej nocy w tym domu. Gdyby chciał, mógłby napsuć mi wiele krwi, a był dyskretny...

Mike wziął głęboki oddech.

- Rozumiem - powiedział - przywykłaś uważać się za samotną kobietę, która musi iść na kompromisy z takimi typami, ponieważ potrzebuje ich

pomocy. Rozumiem to i nie winiecie...

- Dziękuję ci bardzo - wtrącała z ironią.

- Nie winię cię - powtórzył - ale teraz nie jesteś już sama. Masz mnie. Nie potrzebujesz Caleba. Poradzę sobie i z nim, i z pozostałymi problemami.

- Kiedy Caleb nie jest problemem. Jest moim przyjacielem.

- Kirsty! Dlaczego powtarzasz to z uporem, skoro wiesz, że denerwuje mnie to?

- A czy zostało ustanowione jakieś prawo, zabraniające mówienia rzeczy, które cię denerwują? - teraz ona wybuchnęła gniewem. - Dziwne, że o nim nie słyszałam. Domyślam się, że twoi pracownicy zawsze siedzą cicho, zanim ty wyrazisz oficjalny pogląd, pod którym wszyscy od razu się podpiszą. I pewnie tego samego oczekiwałbyś od żony, gdybyś ją miał. Jakie to szczęście, że jestem nadal wolną kobietą i w swoim domu mogę mówić to, na co mam ochotę.

Mike spiorunował ją wzrokiem.

- Dlaczego musisz brać wszystko, co mówię, za złą monetę?

- Bo nie mam pewności, jak traktować to, co mówisz. Zawsze jesteś przekonany, że wiesz najlepiej.

- Ale... a zresztą, do diabła z tym wszystkim! - powiedział ostro Mike i wyszedł. Po chwili jechał już samochodem, oddalając się od Everdene.

Myśl o tym, że nie mógł sobie poradzić w dyskusji, choć miał proste i logiczne argumenty, doprowadzała go do szału. Na ogół nie dawał się nikomu zagadać.

Tylko z Kirsty było inaczej. Ta kobieta kierowała się w życiu zasadami, które były mu obce, mógł co najwyżej niejasno

przeczuwać ich sens. Ilekroć myślał, że już rozumie jej sposób patrzenia na świat, wszystko się waliło i wracał do punktu wyjścia.

Życie z Kirsty nauczyło go już, że Dartmoor to nie tylko miejsce na mapie, ale także stan umysłu, w którym obcy mogą zupełnie stracić orientację. Gdyby tylko zdołał zabrać ją stąd do świata, który nadal uważał za cywilizowany, wtedy wszystko z pewnością wróciłoby do normy.

Jechał pół godziny, oddalając się od farmy, a potem pół godziny z powrotem. Po godzinie jazdy czuł się już znacznie spokojniejszy.

Spokój jednak znów go opuścił, gdy zobaczył Caleba siedzącego na poboczu obok drogi. Zobaczywszy nadjeżdżający samochód, powstał i celowo stanął na środku asfaltowej szosy. Mike gwałtownie zahamował.

- Zdażyłeś w ostatniej chwili - zauważył Caleb, śmiejąc się pod nosem. - Z przyjemnością byś mnie rozjechał, co? No, ale wtedy nasza Kirsty nie darzyłaby cię już taką sympatią.

- Jeśli nie zejdziesz z drogi, wystawisz się na ciężką próbę - odparł Mike ostrzegawczym tonem.

- Jaki z ciebie gwałtowny człowiek... - powiedział miękko Caleb. - Widzisz bracie, popełniasz błąd. Kirsty, która doświadczyła w życiu tyle gwałtu, nienawidzi go. Gdybyś rozumiał ją tak dobrze, jak ja, zdawałbyś sobie z tego sprawę. - Uśmiechnął się, widząc, że Mike zaciska pięści, byle tylko nie dać się sprowokować. - No i jesteś niewdzięczny. Gdybym poszedł na policję i opowiedział, co widziałem tamtej nocy, siedziałbyś teraz z powrotem w więzieniu. Trzymałem język za zębami. Powinieneś mi za to podziękować, a nie wściekać się na mnie.

- Nie rób ze mnie głupca, a z siebie bohatera - powiedział chłodno Mike. - Gdybyś domyślił się, kim jestem, wydałbyś mnie przy pierwszej sposobności.

- Domyśliłem się bez trudu. - Caleb wzruszył ramionami. - Wydałbym cię, gdyby chodziło tylko o to. Nie chciałem jednak, by policja weszła w domu mojej słodkiej Kirsty. Poza tym - zmrużył oczy - liczyłem na jakąś zapłatę z jej strony. Choćby skromną, niekoniecznie musiały być pieniądze...

- Co masz na myśli?

- Nie wiesz, bracie? - Uśmiechnął się znacząco. - Kirsty w okazywaniu wdzięczności nie ma sobie równych. Obaj wiemy to równie dobrze.

Mike spojrzał na Caleba, jakby był on jakimś ohydny robakiem, który właśnie wypełził spod ziemi. Jak ten włóczęga śmie twierdzić, że Kirsty przepała się z

nim, by kupić jego milczenie? Przecież ledwie parę godzin wcześniej leżała w ramionach jego, Mike'a.

- Kłamiesz - zdołał powiedzieć. - Kirsty nigdy by...

- Kirsty była gotowa na wszystko, by chronić ciebie - przerwał Caleb. -

Na wszystko. Taka jest prawda. Nie ma natomiast pewności, kto z nas jest sprawcą tej ciąży. Nie winię jej za to, że wybrała ciebie. Możesz dać jej więcej niż biedny Cygan, ale...

- Mój Boże, i pomyśleć, że ona nazywa cię swoim przyjacielem -

westchnął Mike. - Czy naprawdę uważasz, że tacy jak ty mogą poróżnić mnie z Kirsty? Kłamstwa wyczuwam na kilometr. Ostrzegam po raz ostatni: wynoś się stąd i niech cię więcej nie widzę w pobliżu Everdene.

Caleb zaśmiał się cicho i odsunął na bok.

- I tak miałem się wynieść - powiedział. - Ale wrócę. Kiedyś znudzi ci się odgrywanie roli pana na włościach, opuścisz Dartmoor, a wtedy Kirsty będzie znów mnie potrzebować. Teraz, gdy przyjechałeś uprzyjemnić jej życie, budzi jeszcze większą nienawiść ludzi z okolicy. Widzisz, oni nigdy nie zgodzą się, by wszystko uszło jej na sucho. Gdy odjedziesz, osaczają. Ale wtedy ja ją obronię i dostanę wreszcie, co mi się należy. Mogę poczekać. Tyle się naczekałem, że jeszcze trochę wytrzymam.

Mike zapalił silnik. Nie spojrzawszy nawet w stronę Caleba, który zręcznie uskoczył mu z drogi, skierował się ku Everdene. Jego twarz wyrażała spokój, a dłonie pewnie obejmowały kierownicę. Mając jeszcze jakiś kilometr do celu, skręcił jednak gwałtownie w bok i zapuścił się w pola. Jechał prosto przed siebie i gdy się w końcu zatrzymał, nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Uświadomił sobie za to, że słowa Caleba wzbudziły w nim burzę sprzecznych uczuć.

To nieprawda. To nie może być prawda.

Piękna i szczerą twarz Kirsty, jaśniejąca rankiem na poduszce, nie może być zasłoną dla kłamstwa. Gdyby tak było, nie miałby już po co żyć.

Słyszał przeróżne głosy: „przynosi nieszczęście każdemu, kto się jej nawinie... oszukuje cię, jak oszukiwała przedtem Petera i Jacka... oczekiwałem na zapłatę... w okazywaniu wdzięczności nie ma sobie równych... jest czarownicą...”

Nigdy nie zadawał sobie pytania, czy kocha Kirsty, ale teraz wiedział, że nie wyobraża sobie życia bez niej. Jeśli jej nie można ufać, nie zaufa więcej nikomu i niczemu.

Tylko że ufność nie przychodziła łatwo. Ufać komuś to nie tylko wierzyć w to, co robi, ale i w to, że ma dobre intencje; nie tracić wiary w niego nawet wtedy, gdy wszystko wskazuje na to, że postąpił źle.

Kirsty chroniła go na wszelkie sposoby. Jeśli była zmuszona iść do łóżka z Calebem, to czy miał prawo ją obwiniać? Uratowała mu życie, pomogła odzyskać twarz. Czegóż jeszcze mógł od niej żądać?

Usiłował przypomnieć sobie, czy Kirsty mówiła kiedykolwiek, że to dziecko jest jego, ale na próżno. Od pierwszej chwili uznał to za coś oczywistego, a ona nie zaprzeczała. Może jednak sama nie była tego pewna, a jedynie skapitulowała wobec jego pewności.

Rozejrzał się wokół. Musiał spędzić tu sporo czasu, bo podczas gdy rozmyślał, niebo pociemniało i zaszło już słońce. Przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył w stronę domu. W zapadających ciemnościach jechał ostrożnie i upłynęło niemało czasu, zanim wrócił do drogi i dotarł do Everdene. Światła były zapalone, a Kirsty stała przed domem i z niepokojem spoglądała na wrzosowiska.

- Już myślałam, że się zgubiłeś - powiedziała z przejęciem.

- O mały włos, ale w końcu odnalazłem drogę do domu. - Pocałował ją. - Chodźmy się ogrzać.

- Chciałeś o czymś ze mną pomówić, zanim pojawił się Caleb - przypomniała mu Kirsty. - O co chodziło?

Teraz, pomyślał, nadeszła właściwa chwila, by poprosić ją o rękę. Właśnie teraz,

po wszystkim, co usłyszał od Caleba. Właśnie teraz, by udowodnić, że jego oszczerstwa nie wywarły na nim żadnego wrażenia, że nie wierzy im i że ufa przede wszystkim jej, Kirsty. Gdyby jej nie ufał, to wszystko nie miałoby sensu.

- O nic takiego - powiedział jednak po chwili. - To znaczy, sam nie pamiętam. Z pewnością nie było to nic ważnego.

Gardził sobą, ale mimo to nie zdobył się na odwagę.

Kirsty nie urodziła dziecka w siódmym miesiącu. Wy tłumaczyła Mike'owi, że jest to jej na rękę, bo inaczej poród zakłóciłby przebieg żniw.

Gdy nadszedł czas zbierania plonów, Mike stoczył wewnętrzną walkę. Słabe żniwa mogły dopomóc w akcji zwabiania Kirsty do Londynu. Z drugiej strony, słabe żniwa byłyby dla niej bolesnym ciosem, a tego pragnął jej za wszelką cenę oszczędzić. Przeklinając w duchu własne szaleństwo, postawił Kirsty przed faktem dokonanym i kupił kombajn, najnowszy, najlepszy model. Trochę się przed tym broniła, ale nie za długo. Mike z satysfakcją odnotował, jak wielką sprawił jej radość tym prezentem.

Radość była jeszcze większa, gdy zebrali rekordowe plony. Widok rozpromienionej twarzy Kirsty był dla niego najwspanialszą nagrodą. Potem jednak poszli razem na dożynkowe nabożeństwo w kościele i przywitały ją nienawistne spojrzenia sąsiadów. Poprosiła Mike'a, by wyszli wcześniej i nie odzywała się przez całą drogę do domu.

- Kirsty, zostawmy to - błagał. - Wyjedźmy stąd, zapomnij o nich. Nie otrzymał odpowiedzi. W parę chwil później dotknął jej policzka i zobaczył, że jest mokry.

Życie nie układało im się jak po maśle. Oboje byli porywczy i uparci, kłócili się, godzili i znowu kłócili. Surowe oskarżenia Caleba poszły w niepamięć, w każdym razie Mike robił wszystko, by tak było. A jednak czasami bez powodu przycichał, markotniał i szukał samotności. Nie wiedział, jak Kirsty odbiera te zmiany nastroju, ale czuł, że jest rozdrażniona. Schodził



wtedy jej z drogi, nie chcąc, by dyskusje urastały do miary awantur.

Czasami mówił sobie, że trzeba powiedzieć „żegnaj”. Nigdy się jednak na to nie zdobył. Wystarczyło, że raz spojrzął na Kirsty, i już zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie mógł od niej odejść. Potrzebowała go. Była zapewne zbyt dumna, by się do tego przyznać, ale on wiedział i to stanowiło dla niego pocieszenie.

Pewnego wieczora, gdy w powietrzu czuć już było jesień, wyjechał z domu pełen irytacji, pragnąc znaleźć się z dala od Kirsty. Po przejechaniu paru mil zatrzymał samochód i wysiadł. Zapadał zmierzch, a po turystach nie było już śladu. Naokoło rozciągały się wrzosowiska. Wyglądały o tej porze wspaniale, a ponieważ w zasięgu wzroku nie było żywej duszy, Mike miał dziwne uczucie, jakby ten cudowny pejzaż został ofiarowany jemu jedynemu. Zganił się za marzycielstwo, lecz myśl ta nie dawała mu spokoju, postanowił więc, że zwierzy się z niej Kirsty, gdy tylko wróci. Z pewnością sprawi jej to przyjemność.

Gdy tak stał, w pewnej chwili na ramieniu poczuł pierwsze krople deszczu. Podniósł się wiatr, zaszeleściły wysokie trawy, zaczęło padać coraz gęściej.

Zupełnie nieoczekiwanie poczuł w tym momencie jakiś niewytłumaczalny strach. Nie powinien był zostawiać Kirsty samej, kołatało mu się w głowie. Usiłował przywołać się do rozsądku. Powtarzał sobie, że jest bezpieczna, że dziecko przyjdzie na świat nie wcześniej niż za miesiąc, to jednak nie pomagało. Opanowało go gwałtowne pragnienie powrotu. Z jakiego powodu chciał znaleźć się przy niej czym prędzej, nie umiał powiedzieć, ale strach narastał.

W ciągu dziesięciu minut był z powrotem. Wbiegł do domu i zawołał Kirsty, lecz odpowiedziała mu głucha cisza. Przed jego wyjazdem wspominała, że musi zająć się stadem, wybiegł więc z powrotem na podwórko i zobaczył, że nie ma traktora.

Wszystko w porządku, próbował się uspokoić. Wystarczy poczekać parę minut,

a wróci i będzie tylko śmiać się z jego obaw. Mówił to sobie cały czas, gdy wsiadał do samochodu i ruszał w stronę wzgórz.

Gdy do nich dojechał, wiatr przerodził się już nieomal w huragan. Na tle wiszących nisko chmur drzewa gięły się i podnosiły w jakimś szalonym tańcu. Od razu zobaczył traktor - stał porzucony na skraju pola, ale nie było śladu ani jej, ani psa.

- Kirsty!!! - zawołał na cały głos, lecz jego krzyk został stłumiony przez zacinający deszcz.

W chwilę później usłyszał szczekanie i w progu starej pasterskiej chatki, przytulonej do pochyłości wzgórza, pojawił się Tarn. Nie popędził w stronę Mike'a, jak miał to w zwyczaju, lecz pozostał na miejscu i ujadł coraz głośniej. Zły znak, przebiegło Mike'owi przez głowę. Puścił się pędem w stronę drewnianej szopy.

Kirsty siedziała na podłodze, oparta plecami o ścianę. Oddychała z najwyższym trudem. Zobaczywszy go, uśmiechnęła się z radością, a jemu serce zmiękło jak wosk.

- Kochanie - powiedział, nieświadom, że zwraca się do niej w ten sposób po raz pierwszy - co się stało?

- Dziecko... będę rodzic. Wszystko było w porządku, a potem nagle... zaczęło się.

- To niemożliwe - powiedział stanowczo, choć wcale nie czuł się pewnie.

- Jeszcze nie pora. Ma dopiero osiem miesięcy.

Ostatkiem sił zdobyła się na łobuzerski uśmiech i wyszeptała:

- Źle liczysz... -Jęknęła boleśnie i zamknęła oczy.

- Chodź szybko, musimy... do szpitala.

- Nie... - Chwyciła go za rękaw. - Nie ma... czasu... parę minut.

- Ale ja nie wiem, co mam robić - powiedział przerażony.

Na jej twarzy znów pojawił się uśmiech. Poklepała się po brzuchu.

- Nie martw się. My wiemy... - Znów jęknęła i zacisnęła dłoń na jego

ramieniu.

Gdy nadszedł następny skurcz, chwycił ją za rękę. Instynktownie objął ją wolnym ramieniem, przyciągając ku sobie, co okazało się właściwym posunięciem: Kirsty odetchnęła z ulgą. Potem miał poczucie, że zapomniała o nim, skupiwszy całą uwagę na dziecku, które walczyło ze wszystkich sił, żeby pomóc mamie, i przyjść na świat cało i zdrowo. Jedynie uścisk dłoni Kirsty, szukającej ukojenia i zarazem je ofiarowującej, świadczył o tym, że w jej świadomości nadal jest miejsce dla Mike'a.

Słyszał, jak deszcz wściekle wali o ściany chatki, a przez otwarte drzwi widział chmury gnane po niebie.

Gdyby tylko mógł jej zapewnić bezpieczeństwo w szpitalu, stosownym miejscu do przyjmowania porodów... Uświadomił sobie jednak, że Kirsty nie podziela jego obaw. To dzikie, niegościnne miejsce było jej domem, w którym wcale nie czuła się zagrożona i gdzie niczego się nie bała. Przez chwilę zdołał się pocieszyć jej spokojem. Ona wie, co robi, a więc wszystko będzie dobrze.

A jednak zaraz potem opanował go paniczny lęk, że coś może się nie udać.

Może tu umrzeć na jego rękach, bezradnego ignoranta, który nawet nie wie, jak się nią zająć. Może umrzeć w każdej chwili, a on nie będzie wiedział, co robić...

- Mike... Mike...

- Tak, kochanie... co się dzieje?

- Już... idzie... szybko...

Ułożył ją na plecach i zajął taką pozycję, by móc pomóc dziecku w najtrudniejszej chwili. Kirsty przyśpieszyła oddech, spięła się, zbladła, potem wciągnęła w płuca powietrze i zatrzymała je w sobie... Po chwili wypuściła je ze świstem, zdawało się, że odpocznie choć chwilę, lecz zaraz potem znów jej ciało się napięło, znów zaczęła przec i nagle z jej gardła wyrwał się krzyk. Był zupełnie inny od wszelkich odgłosów, jakie wydobywały się z niego przedtem. Był to krzyk bólu, ale przede wszystkim triumfu. Zdobyła się na wysiłek potrzebny do ostatniego pchnięcia i po chwili dziecko przyszło na świat, wprost

w ręce ojca. Od razu zaczęło zawodzić w cichym proteście.

- Chłopiec... czy dziewczynka? - zapytała Kirsty.

- Chłopiec...

Chciewie wyciągnęła ręce do dziecka. Mike zerwał z siebie koszulę, otulił nią noworodka i położył małe zawiniątko na piersiach matki. Kirsty czule spojrzała na syna, a jej twarz rozbłysła takim blaskiem, że Mike wstrzymał oddech, wzruszony jak nigdy w życiu. Po chwili podniosła wzrok i obdarzyła go szerokim uśmiechem, zapraszającym jakby do magicznego kręgu, w którym życie jest darem, cudem, radością i tajemnicą.

Opanowało go szaleńcze szczęście. Chciał wybiec na deszcz i obwieścić szalejącej burzy, że żadne groźby już mu niestraszne, że oto narodził się jego syn i nic innego nie ma znaczenia. Nie zrobił jednak tego. Powiedział tylko spokojnie: - Teraz pojedziemy do kliniki - i pozwolił, by resztę wyczytała z delikatnego muśnięcia jej policzka.

Po trosze doprowadził, po trosze doniósł ją do oddalonego o kilkadziesiąt metrów samochodu i wygodnie usadził na tylnym siedzeniu. Serce podchodziło mu do gardła, gdy ostrożnie zjeżdżał po zboczu do ubitej drogi. Przy każdym wyboju bladł i nerwowo zerkał do tyłu, ale Kirsty zapewniała go:

- Nie martw się. Dobrze nam tutaj.

Żeby się uspokoić, sam zaczął cicho powtarzać:

- Dobrze nam... dobrze nam... nam obojgu... nam trojgu...

Boże, było ich troje, choć jeszcze przed chwilą byli tylko on i ona!

Był to cud i on stał się po trosze jego częścią, jego świadkiem i jego sprawcą.

Dziękował Bogu, że dane mu było dożyć tej chwili. Był pionierem, pierwszym mężczyzną, który dokonał takiego odkrycia. Wprawdzie byli przed nim inni ojcowie, tysiące, miliony, tyle pokoleń, ale żaden

z nich nie mógł doświadczyć cudu w tym samym stopniu co on. Czy to możliwe bowiem, żeby cuda zdarzały się codziennie? Co godzinę? Co parę minut? Cały czas przecież ktoś się rodzi!

Z tyłu dobiegł go senny, ale wesoły głos Kirsty:

- Czy masz świadomość, że śmiejesz się do siebie, jakbyś wygrał na loterii?

- Nie śmieję się - odparł półprzytomnie.

- Śmiejesz. Widzę w lusterku. - Wychyliła się wprzód i położyła dłoń na jego ramieniu. - Teraz wiesz, prawda?

- Tak, wiem - odpowiedział cicho.

Po pół godzinie dojechali do szpitala. Zadzwoił wcześniej z samochodu, by przygotować personel na ich przybycie, i gdy tylko się tam pojawili, Kirsty wraz z dzieckiem dostała się w objęcia pielęgniarek w wykrochmalonych fartuchach i po chwili znikła w lśniących białych pomieszczeniach, do których on nie miał wstępu.

Stało się to, czego chciał, ale teraz zorientował się, że wcale mu się to nie podoba. Ulga, z którą oddał Kirsty w kompetentne ręce, ustąpiła uczuciu przykrego rozczarowania. Cóż ci sprawni nieznajomi z ich aparatami mogą wiedzieć o narodzinach dziecka? Jego dziecka!

Pojawiła się przy nim pielęgniarka z długopisem w dłoni.

- Chciałabym prosić o dane dotyczące pańskiej żony -powiedziała.

- To nie jest moja żona. Nazywam się Mike Stallard.

- Czy jest pan krewnym?

Przez ułamek sekundy Mike widział przed oczyma kpiącą twarz Caleba. Szybko odegnał ten obraz. - Tak-odparł stanowczo-jestem ojcem dziecka.

Z początku Kirsty nie mogła znieść myśli o pobycie w drogiej, prywatnej klinice, ale po narodzinach Roba była wdzięczna Mike'owi, że obstawał przy

tym pomyśle. Nie spodziewała się, że od pierwszej chwili, gdy weźmie dziecko w ramiona, ogarnie ją fala czułości. Uwolniona od innych obowiązków, mogła teraz oddać się tym błogosławionym porywom i cały czas cieszyć się maleństwem.

Był przy niej cały czas. Spał obok w dzieciennym łóżeczku i gdy przebudził się w nocy, od razu zaspokajała jego głód. Nie było dla Kirsty milszego doznania niż czuć dotyk jego małych ustek, ssących mleko, które szczęśliwie płynęło obfitą strugą. Pielęgniarka dostarczyła jej butelkę w razie gdyby nie mogła bądź nie chciała karmić piersią, ale Kirsty nie musiała i nie zamierzała z niej korzystać. Gdy czuła pokarm, wzbierający w piersi, i dziecko, które zależne było teraz tylko od niej, odnajdywała swoje powołanie i odkrywała, jak wielkie pokłady sił w niej drzemiały. Obejmowanie ukochanego i karmienie dziecka były dla niej teraz jakby dwiema stronami jednego aktu miłości.

Narodziny dziecka i obecność Mike'a przy porodzie, to było przeżycie, którego nie dało się opisać. Wiedziała jedynie, że w tamtej chwili czuła mu się bliższa niż kiedykolwiek przedtem. Nawet siła ich namiętności bladła przy poczuciu całkowitej jedności, jakiej doświadczyła, gdy razem z nim pomagali dziecku wydostać się na świat.

Pragnęła przekonać się, czy i on czuł to samo. Była niemal pewna, że tak było - jego oczy nigdy przedtem nie miały takiego wyrazu. Wiedziała jednak, że nie będzie mieć stuprocentowej pewności, dopóki nie zobaczą się ponownie, oczekiwała więc na pierwszą wizytę Mike'a z bijącym sercem.

Kiedy przyjechał, drzemała, i gdy się przebudziła, siedział obok. Pochylał się nad łóżeczkiem Roba i przyglądał mu się z tą samą miną, którą powitał jego narodziny. Ogarnęło ją uczucie głębokiego szczęścia. Westchnęła z radością. Mike podniósł oczy, zauważył, że Kirsty nie śpi i już po chwili obejmowali się nawzajem.

- Dobrze się czujesz? - takie było jego pierwsze pytanie.

- Dobrze. Jestem taka szczęśliwa. Mike, powiedz mi, że ty też jesteś szczęśliwy.

- Czy naprawdę musisz o to pytać? - Spojrzał na nią, a ona pokręciła przecząco głową. - Zacząłem się z nim poznawać - powiedział Mike. - Jest taki... doskonały.

Były to słowa, które wypowiedziały już miliony ojców, ale zdawały się brzmieć odkrywczo, gdy słyszała, jak wypowiada je ten właśnie mężczyzna.

- Jak zareagowali twoi rodzice, gdy im powiedziałeś o dziecku? - zapytała niecierpliwie. - Czy wybierają się w odwiedziny?

Mike nie odpowiedział, wstał tylko i podszedł do okna.

Kirsty czekała, nie mogąc uwierzyć w to, co zwiastowało jego milczenie.

- Mike, zadzwoniłeś chyba do nich?

- Nie - odparł ze wzrokiem utkwionym w drzewo za oknem.

- Ale... są przecież twoimi rodzicami. Mają teraz wnuka. To ich pierwszy wnuk, prawda?

- Tak, pierwszy - odparł spokojnie Mike. Odwrócił się do niej z dziwnie zmienionym wyrazem twarzy. - Proszę cię, nie naciskaj na mnie w tej sprawie. Wyciągnęła do niego rękę.

- O co chodzi, Mike? Wzruszył ramionami.

- To bardzo proste. Nie podobam im się od chwili, gdy dorosłem. Jeśli pytasz, nie mam do nich o to żalu.

- Wcale tak nie myślisz - powiedziała łagodnie Kirsty.

- Co by między wami nie było, to twój ojciec i twoja matka. Popatrz - czule musnęła palcami policzek Roba

- czy mógłbyś go kiedykolwiek nie lubić?

- To co innego. - Mike potrząsnął głową.

- Nie dla nich. My przez całe życie będziemy pamiętać, jak wyglądał Rob w chwili narodzin, co czuliśmy, jaka była pogoda... Nawet po trzydziestu latach. Tak samo jest z nimi. Oni nadal cię kochają. Na pewno tak jest, Mike.

Zawahał się. Z jednej strony pragnął jej uwierzyć, z drugiej wolał nie wracać do bolesnych spraw, które, jak sądził, rozstrzygnął raz na zawsze.

- Może i kochają mnie - rzekł z wolna - ale nie podobam się im. Boją się człowieka, który ze mnie wyrósł, choć nie mogłem być kimś innym niż jestem. Myślą zapewne, że cały postęp to wymysł szatana i że życie powinno wyglądać tak jak dawniej. Czasami ty mi ich przypominasz. Pamiętasz wojny, jakie toczyliśmy tylko dlatego, że chciałem unowocześnić Everdene, podczas gdy ty wolałabyś zakonserwować je w obecnym stanie?

- To nieprawda - odparła pośpiesznie. - Nie o to mi chodzi. Po prostu warto zachować część dorobku przeszłości.

- No widzisz? Jakbym słyszał matkę, z jedną różnicą. Ona powiedziałaby, że trzeba zachować całą przeszłość.

- Zastanawiam się, czy naprawdę by tak powiedziała, czy to nie jest czasem twoja fałszywa interpretacja. - Kirsty uśmiechnęła się i dotknęła jego policzka, powtarzając gest, jaki wykonała przed chwilą w stosunku do dziecka.

- Gdy ludzie nie zgadzają się z tobą, reagujesz nieco chorobliwie - powiedziała z czułością, która złagodziła ostrość słów.

- Kirsty, nie rozumiesz mnie. Oni... - dokończenie zdania wiele go kosztowało, ale zdobył się na ten wysiłek

- oni wstydzą się mnie. Zawsze, gdy gościłem w domu, widziałem wyrzut w ich oczach, jakby sukces był zbrodnią. Nie wiem dlaczego, ale oni tak na to patrzą. Chciałem kupić im dom w lepszej okolicy, ale nie byli tym zainteresowani.

- Może jest im dobrze tam, gdzie mieszkają.

- Jak może im być dobrze? Zawsze byli tacy biedni...

- Och, Mike - powiedziała Kirsty bezradnie i pokręciła głową. - Och, Mike...

- Trzeba stoczyć walkę, by cokolwiek im dać - mówił, nie zwracając uwagi na jej pobłażliwe spojrzenie. - Nie



chcieli przyjmować pieniędzy ode mnie, więc w końcu zacząłem wpłacać je na ich konto w banku. Leżą tam, mogą je w każdej chwili podjąć, ale zapewne uważają, że lepiej ich nie dotykać, bo mogą być zatrute. Próbowałem dzielić się z rodzicami moim sukcesem, ale oni tego nie chcieli.

- Może chcą raczej tego, czego te sukcesy ich pozbawiły? - zasugerowała Kirsty.

- Na przykład czego? - spojrzał na nią zdumiony.

- Ciebie. Może chcą syna. Nie potentata, który pragnie odciągnąć ich od znajomych, wyrwać ze środowiska, w którym żyją od lat, ale po prostu kochającego syna.

- Ale przecież ja ich kocham! - wykrzyknął. - To dla nich starałem się robić wszystko jak najlepiej. Chciałem, by mogli być ze mnie dumni, a oni po prostu odwrócili się plecami. Z trudem dali namówić się na to, by przyjechać na mój ślub. A gdy zostałem postawiony przed sądem, uznali mnie za winnego... Od początku założyli, że źle skończę, i oto ich najgorsze obawy spełniły się.

- Naprawdę to powiedzieli? - zapytała z przestraszeniem Kirsty.

- Nie musieli mówić - odparł twardo.

- Mike, myślę, że całkowicie błędnie odczytywałeś ich intencje, tak jak oni źle rozumieli twoje. Daj im szansę. Powiedz im, że mają wnuka. To może wiele zmienić między wami.

- Dobrze. Jak tylko wrócę do domu - obiecał.

Kirsty znacząco spojrzała na telefon stojący przy jej łóżku.

- A nie mógłbyś od razu?

Patrzył na nią przez długą chwilę, potem podniósł słuchawkę i pośpiesznie wykręcił numer, jakby chciał skończyć, zanim zmieni zdanie. Kirsty usłyszała długi sygnał, drugi, a potem krótki trzask i jakiś męski głos po drugiej stronie linii. Mike odezwał się do słuchawki, powiedział „tato” i zanim otrzymał odpowiedź, nastąpiła chwila ciszy.

Nasłuchiwała w napięciu. Nie docierało do niej, co mówił ojciec Mike'a,

ale wyraźnie wyczuwała pauzy w rozmowie i pewną nieustępliwość w tonie starszego pana.

On boi się Mike'a, pomyślała, tak jak Mike, na swój sposób, boi się jego. I obaj przybierają postawy obronne. Gdyby tylko mogła doprowadzić do ich spotkania... Może kiedy rodzice przyjadą zobaczyć dziecko? A przyjadą na pewno.

- Wiesz, tato - mówił Mike. - Zadzwoń, żeby ci powiedzieć, że... że mam syna. Urodził się wczoraj. Mamy zamiar dać mu imię Rob. - Przez chwilę słychać było stłumiony głos na drugim końcu linii, po czym Mike powiedział szorstko: - Nie, nie jestem żonaty... A cóż to ma za znaczenie? Pomyślałem tylko, że chcielibyście wiedzieć o dziecku. To wszystko... dobrze... powiedz mamie. To do widzenia. - Odłożył słuchawkę, usiadł i utkwiał w niej wzrok. - No i sama widzisz. Wiesz, od czego zaczął? Od stwierdzenia: „Nie wiedziałem, że jesteś żonaty”. To były jego pierwsze słowa. Nie powiedział „to wspaniale” ani nic takiego...

- Myślę, że po prostu czuliby się urażeni, gdybyś ożenił się, nie wspominając im nawet o tym - pocieszyła go Kirsty.

- Nie, Kirsty. Nie próbuj mi niczego wmawiać. To była klęska. Wiedziałem, że tak będzie. Nie powinienem był słuchać się ciebie.

- Mike, to starzy ludzie. Potrzebują czasu, by otrząsnąć się z szoku. Ostatni rok był trudny także dla nich. Pomyśl, co musieli czuć, widząc cię za kratkami.

- Nigdy mnie tam nie widzieli.

- Nie odwiedzili cię ani razu?

- Ojciec przyszedł raz. Odmówiłem widzenia. Teraz jest mi przykro z tego powodu, ale wówczas czułem się tak upokorzony, że nie mogłem się na to zdobyć. Ojciec najwyraźniej nie zapomniał mi tego.

- Niestety, wygląda na to, że jego dumę równie łatwo urazić jak twoją - zauważyła Kirsty.

Mike popatrzył na nią przez chwilę, zaczerwienił się, ale nic nie odpowiedział.

Kirsty nie popełniła błędu i nie ciągnęła dalej rozmowy. Mike'owi niełatwo przychodziło zagłębianie się we własne uczucia, a dzisiaj powiedział jej o sobie i tak bardzo dużo, i to w większości przykrych rzeczy. Pomyślała, że czas będzie działał na jej korzyść.

Tej nocy, przytulając dziecko do swego boku, rozmyślała o własnej rodzinie, w której nie brakowało miłości i gdzie nikt nie krył się z uczuciami. To właśnie dało jej siłę, umożliwiającą przetrwanie wszystkiego, co nastąpiło później. Jakże odmienny był przypadek Mike'a, dla którego rodzice stali się tak obcy, że odgradził ich murem od swego cierpienia. Teraz zdawał się odgradzać ich także murem od swej radości.

- Ale my zmienimy to wszystko - szepnęła do Roba. - Potrzebujesz dziadków, a ja nie mogę ci ich dać. Czekaj cierpliwie. Jakoś uporam się z tym problemem.

W parę dni później Mike odebrał Kirsty z kliniki. Po drodze do domu wspomniął o oczekującej ją niespodziance, ale nie chciał zdradzić więcej szczegółów.

- Zaczekaj - powtarzał, najwyraźniej znajdując w tym przyjemność. Gdy samochód zatrzymał się na podwórku, na progu domu ujrzała kobietę w średnim wieku. Miała twarde rysy, ale przyjazną twarz. Podeszła i delikatnie wzięła dziecko na ręce, by ułatwić Kirsty wysiadanie z auta.

- Przedstawiam ci Mabel - powiedział Mike. - To jest niespodzianka, o której mówiłem. Mabel zaopiekuje się Robem.

Kirsty nie zdołała opanować zdumienia.

- Ale to przecież moje dziecko, ja chcę się nim zajmować. Przepraszam - zwróciła się od razu do Mabel - nie chciałam pani urazić, ale...

- Posłuchaj - odezwał się Mike, ujmując Kirsty pod ramię i odciągając nieco na bok. - Rozejrzyj się wokół. Everdene jest twoim drugim dzieckiem.

Uważasz, że niczego się jeszcze nie nauczyłem? Matka nie powinna wyróżniać żadnego z dzieci. Everdene jak dawniej potrzebuje twojej opieki.

Kirsty spojrzała na Mike'a, zaskoczona niezwykłym jak na niego wyczuciem. Zanim zdążyła jakoś zareagować, Mabel podała jej dziecko.

- Pewnie zechce pani pokazać mu jego dom - powiedziała z nieznacznym szkockim akcentem.

Kirsty uspokoiła się nieco. Mabel utrafiła we właściwy ton, nie porwała od razu malca dla siebie, nie wniosła go sama do domu, lecz pozwoliła zrobić to matce. Przyciskając Roba do piersi, Kirsty weszła do środka. Czajnik gwizdał na kuchence, wszystko lśniło czystością. Mabel poprosiła ją, by usiadła, a ona w tym czasie poda herbatę. Wyjmując serwis, opowiedziała Kirsty o sobie. Lista jej byłych pracodawców robiła imponujące wrażenie, a Mike potakiwał na znak, że sprawdził każdą informację.

- Czy Everdene nie okaże się zbyt nudne, skoro pracowała pani w tak fascynujących miejscach? - zapytała Kirsty, lekko przytłoczona tym wszystkim.

- Urodziłam się na farmie, proszę pani - odparła spokojnie Mabel. - Mówiono, że w promieniu wielu mil nikt nie dorówna mi w dojeniu krów. Znam trudy takiego życia, ale i jego uroki.

Kirsty spodobała się ta wypowiedź. Spodobał się jej też zdrowy, tak typowy dla ludzi, którzy wychowali się z dala od miast, stosunek do dziecka. Troskliwość, czułość, miłość, lecz bez popadania za każdym razem w histerię czy czułościową przesadę. W sumie już po paru godzinach Mabel okazała się jej bratnią duszą i Kirsty poczuła z tego powodu znaczną ulgę.

Wieczorem, przyglądając się, jak Kirsty karmi dziecko, Mike powiedział łagodnie:

- Więc jak? Choć bywam apodyktyczny, to czasami mam jednak rację? Pieszczotliwie dotknęła jego policzka i popatrzyła na niego z miłością. Gdyby w tej chwili poprosił ją o rękę, z całego serca powiedziałaaby mu „tak”. Mike jednak zagadnął tylko zwyczajnie:

- Poza kwaciarnią nigdy jeszcze nie widziałem tylu kwiatów naraz. Skąd się wzięły?

- Czerwone róże są od ciebie, dobrze wiesz - odparła z uśmiechem. - Polne kwiaty dostałam od Freda i Franka. A chryzantemy, to Caleb. Nie patrz tak. Wiem, że go nie lubisz, ale miło, że o mnie pomyślał.

- Czy dołączył coś do bukietu?

- Tak, to.

Rozwinął kartkę i odczytał pośpiesznie nagryzmolone słowa: „Na cześć najmłodszego członka rodziny”. Zapadła cisza, po chwili Mike zapytał zdławionym głosem:

- Cóż to ma znaczyć?

- O co ci chodzi?

- O tego „członka rodziny”. Rob nie należy chyba do ich rodziny?

- Cyganie mają bardzo rodzinne usposobienie - powiedziała spokojnie Kirsty. - Jack był kuzynem Caleba, więc ja też jestem jego kuzynką, a zatem mały Rob należy do rodziny Caleba. Im wydaje się to zupełnie oczywiste, nam zresztą też, prawda, skarbie? - Kirsty zwróciła się do dziecka, przypatrującego się matce z powagą. - Chcesz mieć przecież jak największą rodzinę.

- Nie zgadzam się - powiedział zimno Mike.

- Mike, proszę cię. Cyganie wkrótce stąd odjadą. Nie kłóćmy się o to.

- Zgoda - powiedział spokojnie - nie będziemy się o to kłócić. W ogóle o tym nie porozmawiamy. Muszę wyjechać w interesach.

- Będzie mi ciebie brakować. Ale mam przecież synka, prawda? - Kirsty zwróciła się do Roba. - Dotrzymamy sobie nawzajem towarzystwa.

Mike przez długą chwilę przyglądał się obojgu. Gdyby poprosiła go, żeby został, natychmiast zmieniłby swe plany. Matka i dziecko byli jednak tak bardzo zajęci sobą, jakby istnieli w osobnym świecie. Mike poczuł się całkowi cię zapomniany i po chwili wyszedł z pokoju.

Podczas nieobecności Mike'a Kirsty prędko doszła do wniosku, że życie na

farmie toczy się normalnie wyłącznie dzięki Mabel. Była ona prawdziwą opoką, której nie naruszał żaden kryzys. Dzięki niej Rob był zupełnie bezpieczny i szczęśliwy, a Kirsty mogła ze spokojną głową zajmować się i nim, i farmą. Mabel wyzbyta była przy tym uczucia zazdrości, które często się zdarza wynajętym niańkom, i za każdym razem gdy Kirsty brała malca w ramiona, przyglądała się temu ze szczerym, życzliwym uśmiechem.

Miała niewielkie auto, którym jeździła do wsi, wkrótce więc usłyszała, co mówi się o jej pracodawczyni, Mabel uwielbiała plotkować, ale była też niezależna w sądach. Już pierwszego dnia zaakceptowała Kirsty i nic, czego dowiedziała się później, nie zmieniło ani na jotę oceny jej osoby. Gdy Kirsty powiedziała z rozmarzeniem, że dobrze byłoby zabierać Roba ze sobą w pole, to Mabel uszyła dla malca wygodne i bezpieczne nosidełko. Od tej pory Kirsty nie rozstawała się z dzieckiem, chyba że jechała daleko od domu.

Zauważyła, że inaczej niż przedtem odczuwa samotność. Oczekiwała na powrót Mike'a, ale nie doskwierała jej już tak bardzo jego nieobecność. Zostawił przecież w Everdene część siebie. Przytulać syna Mike'a, widzieć w twarzy dziecka rysy ukochanego mężczyzny, to było więcej niż szczęście. To było całkowite spełnienie.

Gdy wróciła do domu pewnego popołudnia, ujrzała syna na rękach Caleba. Mabel przyglądała się przybyszowi z przyjaznym uśmiechem, z czego Kirsty odgadła, że jego urok zrobił już swoje. Jenna stała pod ścianą, nie kryjąc zazdrości.

- Wkrótce wyjeżdżamy - powiedział Caleb, a miał na myśli rodziny cygańskie, obozujące na wrzosowisku. -Przyszedłem poprosić cię, żebyś odwiedziła nas z Robem któregoś wieczora. Babcia bardzo chciałaby go poznać.

- Wspaniały pomysł, ale Rob nie może wieczorem przebywać na powietrzu. Jest za zimno.

- Ubierz go ciepło.

- Nie - odparła stanowczo Kirsty. - Przeprowadź babcie tutaj.

- Dobrze. Zatem jutro. - Oddał Roba w ręce Mabel, złożył całusa na policzku Kirsty i objął ramieniem Jennę. - Do zobaczenia.

- Przygotujmy lepiej jedzenie dla setki osób - powiedziała ze śmiechem Kirsty, kiedy poszli. - Na pewno nie przyjdzie z samą tylko babcią. Nazajutrz Caleb potwierdził, że Kirsty zna go dobrze. Przyprowadził ze sobą babcię, trzy ciotki, czterech wujków i całą gromadę kuzynów. Wszyscy stłoczyli się w kuchni, z zachwytem oglądali dziecko i wypili do dna przygotowany przez Kirsty poncz owocowy. Gościła ich z radością. Mike wyjechał miesiąc temu, wciąż nie miała wiadomości, kiedy wróci, a od tak dawna nie była na żadnym przyjęciu.

Trochę potańczyła, a potem usiadła na ławie obok babci, która dzielnie niańczyła jej synka. Staruszka dobiegała chyba setki, ale miała nadal dobry wzrok i pewnie trzymała dziecko na kolanach. Mały Rob spał, obojętny na to, co się wokół niego dzieje, ale w rączce trzymał gałązkę, symbol błogosławieństwa natury. Dostał ją od babci.

- Jest bez wątpienia jednym z nas - powiedziała Cyganka, śmiejąc się z tego, że tak kurczowo trzyma gałązkę.

- Tak, tu jest jego dom - odparła poważnie Kirsty. - Nauczę go kochać i chronić Dartmoor.

- Ja miałam na myśli coś więcej - dodała staruszka, świdrując ją oczami.

- Naprawdę? - Kirsty spochmurniała. - Niby co takiego?

- Och, jesteś bystrą dziewczyną. Nic już nie powiem. Przyjdzie jeszcze na to czas, no nie?

Kirsty chciała dopytywać się dalej, ale usłyszała, że muzyka cichnie, i zaciekawiona przeniosła spojrzenie na pokój. Tańczący zatrzymali się i wszyscy skierowali oczy w jedną stronę. Kirsty podążyła za nimi wzrokiem.

Na progu stał Mike. Powstała i uśmiechnęła się do niego na powitanie, ale zmroził ją wyraz jego twarzy, na której malowała się nienawiść.

- Moi przyjaciele przyszli uczcić narodziny syna - wyjaśniła.

- Właśnie widzę. Tylko że to trochę późna pora jak na małe dziecko - odparł chłodno Mike.

- Właśnie miałam kłaść go spać. - Kirsty odwróciła się, by zabrać synka od babci, ale staruszka już go nie miała.

Rob odnalazł się w ramionach Caleba, który uniósł dziecko do góry, trzymając je pewnie nad głową. Uśmiechał się do Mike'a jakoś dziwnie i Kirsty wyczuła, że szykuje się kolejna awantura. Szybko odebrała malca i podała go Mabel, która chciała pójść z nim na górę. Mike zatrzymał ją jednak.

- A po co dziecku to zielsko w dłoni? - zapytał.

- To cygańskie błogosławieństwo - wyjaśniła szybko. - Żeby rósł w jedności z naturą. Na Dartmoor to szczęśliwa przepowiednia.

Mike pobladł, wyrwał gałązkę z rączki Roba, połamał ją i cisnął na podłogę.

- Obejdzie się bez błogosławieństwa - mruknął. Wśród zgromadzonych zapadła cisza. Zbezczeszczono

ich świętość, toteż spoglądali teraz po sobie niespokojnie i powoli wycofywali się w stronę drzwi. W końcu został tylko Caleb.

- To, co zrobiłeś, było głupie - powiedział z lisim uśmiechem.

- Nie twoja sprawa. Wynoś się - nakazał Mike grobowym głosem.

Caleb wzruszył ramionami i podszedł do drzwi. Zanim wyszedł, posłał Kirsty całusa. Gdy zostali sami, zmroziła Mike'a spojrzeniem.

- Wiem, że jesteś wyczerpany po długiej podróży, ale czy to było naprawdę konieczne?

- Wyczerpany? Ty naprawdę uważasz, że to wszystko jest spowodowane moim zmęczeniem?

- W takim razie czym jeszcze?

- Nie domyślasz się? A może to chodzi o mnie? A konkretnie o to, jakim byłem głupcem, jak bardzo ci wierzyłem, jak nigdy nie zadawałem żadnych pytań, nawet jeśli zadreślały mnie na śmierć... Nadszedł chyba czas, by



wreszcie je zadać.

- Jakie pytania? - krzyknęła Kirsty. - O czym ty mówisz?

- Nie wiesz, Kirsty? Czy to takie dziwne, że nabrałem podejrzeń, widząc, jak traktujesz tego łotra, mimo że wiesz, co o nim myślę? Gdy kobieta broni mężczyzny z takim uporem, zwykle jest jakiś powód.

- Wiesz, jaki to powód - odparła gwałtownie.

- Wiem, jaki powód ty mi podałaś, i wiem, jaki powód podał on. Nie mówimy o jednym i tym samym.

- On podał powód? Caleb powiedział ci... co takiego? Nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi. Kiedy z nim rozmawiałaś?

- Gdy wrócił i kłóciliśmy się o niego. Wyjechałem z Everdene, a gdy wracałem, czekał na mnie. - Mike spuścił głowę. Starał się być spokojny, nie zdenerwować jej, bo przecież karmi, bo dziecko... Był jednak o krok od powiedzenia tego, co przysiągł sobie zachować w tajemnicy, i z tego powodu robiło mu się coraz bardziej gorąco. - Wiesz, co mi powiedział? - zapytał cicho.  
- O naszym dziecku?

- Nie mam pojęcia - szepnęła Kirsty.

Gdy było już za późno, by wszystko cofnąć, stwierdził, że niepotrzebnie poruszył ten temat. Przecież jej ufał. Wiedział, że to Kirsty mówi prawdę, a nie jakiś marny oszust w podartych portkach.

- To nie ma znaczenia. - Machnął ręką.

- Oczywiście, że ma znaczenie. Mike, co Caleb powiedział ci o Robie?

- Powiedziałem, że to bez znaczenia - powtórzył z naciskiem. - I tak nigdy w to nie wierzyłem.

Kirsty przypomniała sobie chytrą twarz babci, jakby zapraszającą ją do uczestnictwa w jakiejś zмовie.

„Jest jednym z nas... bez wątplenia... jesteś bystrą dziewczyną...” Zadrżała na wspomnienie tych słów. To było absurdalne, niemożliwe.

- Jeśli nigdy w to nie wierzyłeś, nie zaszkodzi mi powiedzieć - usłyszała

swój zbolący głos.

- Proszę, Kirsty. Po prostu doznałem szoku, gdy przyjechałem do domu i... Zostawmy to.

- Nie można tego zostawić, dobrze wiesz. Co ci powiedział?

- Powiedział, że spałaś z nim, żeby mnie nie wydał. I że teraz nie wiadomo, kto z nas dwóch jest ojcem - powiedział Mike, zupełnie zrozpaczony. Czekał na jej wybuch, na awanturę, ale zamiast niej zapadła straszna, grobowa cisza. Twarz Kirsty poszarzała tak bardzo, jakby jego słowa miały śmiertelną moc. Teraz było za późno. Zrobił nieodwracalny krok i jak głupiec brnął dalej, chcąc naprawić błąd.

- Powiedziałem mu, żeby wynosił się do diabła i dał nam spokój ze swymi oszczerstwami.

Kirsty jakby go nie słyszała.

- I to zdarzyło się tego dnia - mówiła powoli - gdy przyjechał Caleb. Dwa miesiące temu. Przez cały ten czas myślałeś...

- Powiedziałem ci, że mu nie uwierzyłem! - przerwał jej gwałtownie.

- Nigdy nie powtórzyłeś mi, co powiedział, nie dałeś szansy obrony.

- Jak mogłem to zrobić? To by zabrzmiało jak oskarżenie.

- Oskarżenie? - Zaśmiała się gorzko. - Wolę już otwarte oskarżenie niż te skrywane wątpliwości. Dla mnie to rodzaj zdrady. Gdy przekroczyłeś próg domu dziś wieczorem, podejrzewałeś najgorsze. Nie zaprzeczysz temu.

- Nie mogłem znieść, że zawsze usprawiedliwiasz Caleba, jakbyś czuła do niego słabość.

- Czuję słabość, był przecież moim przyjacielem. Ale to wszystko. Skoro okazał się kłamcą, nasza przyjaźń jest skończona. Aż nie mogę w to uwierzyć... Caleb...?

Zawsze wiedziała, że Caleb z innymi postępuje jak łotr, ale uparcie wierzyła, że w gruncie rzeczy jest dobry i życzliwy. Ufała mu i sądziła, że i on jest wobec niej uczciwy. Teraz przypomniła sobie pożądliwe błyski w jego

oczach, przymilność wobec Mike'a, gdy ten go pobił. Czy jakkolwiek mężczyzna zachowywałby się tak przymilnie... A on wtedy knuł już pewnie subtelną zemstę, planował, jak ich skłócić, jak zasiać niepewność. No i to przekonanie babci, że Rob jest jednym z nich. Ją także Caleb okłamał.

- Nigdy mu tego nie wybaczę - powiedziała twardo. Spojrzała Mike'owi prosto w oczy. - Nigdy z nim nie spałam. To wszystko kłamstwa. Ale gdyby nie przesadził dziś wieczorem, jego plan mógłby się powieść.

- Nie. Nie wierzyłem mu.

Z tego jak Kirsty na niego patrzy, Mike wnioskował, że niezbyt serio traktuje jego zapewnienia.

- A ja teraz nie wierzę tobie. Zwątpiłeś we mnie. Myślałam, że wreszcie zbliżamy się do siebie, ale chyba nie poznałam cię dobrze. Ty zresztą też mnie chyba nie znasz. Dla twego dobra i z nim byłabym skłonna się przespać. Ale nigdy nie oszukiwałabym cię w takiej sprawie.

- Wiedziałem o tym - powiedział z desperacją.

- Nie wiedziałeś - potrząsnęła głową - powinieneś był wiedzieć, ale nie wiedziałeś.

Nie umiał na to odpowiedzieć. Patrzył, jak Kirsty odwraca się i idzie na górę. Słyszał jej kroki cichnące w głębi korytarza.

Został sam. Cały się trząsł, pokój wypełnił się widmami. Oto Kirsty wciąż patrzyła na niego z wyrzutem, że w nią zwątpił. Za nią stali jego rodzice, którzy odwrócili się od syna, ponieważ czuli się przez niego zlekceważeni i odrzuceni. To właśnie usiłowała wytłumaczyć mu Kirsty, ale w swoim głupim zaślepieniu nie chciał jej słuchać. Teraz wszystko się powtarza. I jak zawsze jest już za późno. Tak, za późno. Chyba za późno...

A może jednak nie?

Powoli wchodził po schodach. Bał się, co przyniosą następne minuty. Mogło od nich zależeć całe jego życie. Naciskając na kłamkę, obawiał się, że pokój będzie zamknięty, drzwi uchylły się jednak.

Kirsty siedziała na łóżku, odwrócona do niego plecami. Nocna lampka rzucała przyćmione światło. Prawie cały pokój pogrążony był w mroku. Gdy się zbliżył, podniosła na niego oczy i ujrzał w jej twarzy taki smutek, że zaraz padł na kolana i objął ją w talii. Po chwili poczuł, że gładzi jego włosy. Przyjął to z ulgą. A więc jeszcze go nie odrzuciła!

- Miałem ci tego nie mówić - powiedział stłumionym głosem i wzmacnił uścisk.

- Lepiej, że stało się tak, niż gdyby to tkwiło między nami jak cierń.

- Musisz zrozumieć...

- Rozumiem - przerwała mu. - Nie mów już nic. Byłam dla ciebie zbyt surowa. Popatrz, - Pokazała mu dokument, który trzymała w dłoni. Było to świadectwo urodzin Roba. W rubryce „ojciec” widniało nazwisko Mike'a. - To ty im powiedziałaś, prawda?

- Ja - odparł pośpiesznie - W głębi serca zawsze wiedziałem, że nie oszukałabyś mnie. Tego powinienem był się trzymać, ale nie łatwo przychodzi mi ufać ludziom,

- A ja byłam zbyt ufna - westchnęła. Po chwili jej głos znów stwardniał. - Caleb nie będzie już miał tutaj wstępu. Obiecuję. Koniec z nim.

Wiedział, że należy to przyjąć dosłownie. Pod piękną powłoką kryła się natura równie twarda jak granit. Spojrzał jej w oczy i przyciągnął do siebie.

- Kirsty, pobierzmy się - poprosił. - Najlepiej od razu. Potrzebuję cię. Ty i Rob jesteście sensem mego życia. Bez was schodzę na manowce.

Ona jednak pokręciła powoli głową.

- Nie jesteśmy jeszcze gotowi do małżeństwa. Czasami myślę, że nigdy nie będziemy - dodała ze smutkiem.

- Kirsty, ja ciebie potrzebuję i ty mnie też. Zwłaszcza teraz, gdy nie możesz już polegać na Calebie.

- Nie chcę wychodzić za mąż po to, by mieć ochronę.

- A co z Everdene? Jak sobie ze wszystkim poradzisz?

- Nie wiem. Wiem tylko, że nie należymy do tego samego świata.

- Mylisz się- odparł. - Jest taki świat, do którego oboje należymy.

Przyciągnął jej twarz, aż ich usta spotkały się w pocałunku. - Ten świat - szeptał jej w usta - sami stworzyliśmy... To świat, gdzie oprócz nas nie ma nikogo.

Świat naszej miłości. Zobacz, jaką ona ma noc. To przez nią stał się cud. Mamy Roba...

Westchnęła i z rozkoszą oddała mu pocałunek. Było w niej wzruszenie i pożądanie jednocześnie. Jej młode, silne ciało dochodziło już do dawnej formy po porodzie i było niemal gotowe oddać się namiętności. Czuł to w słodkich pieściznach jej warg, w drzeniu gorącego ciała, w kurczowym uścisku palców, które zacisnęła na jego ramionach.

- Mike, może nie powinniśmy tego robić - szepnęła. - To tylko skomplikuje wszystko.

- Co skomplikuje? Nasze rozstanie?

- Może? Jeśli będzie trzeba...

- W takim razie mam zamiar skomplikować to, jak tylko się da - powiedział stanowczo i wyłączył nocną lampkę. ~ Czy sądzisz, że ułatwiłbym ci odejście?

Jego palce rozpięły guziki u koszuli Kirsty. Dotykając jej nagich piersi, jęknął z rozkoszy, której tak długo był pozbawiony. Ona też jęknęła, zanurzyła dłonie we włosach Mike'a i poddała się z lubością jego pieściztom.

Wiedział, jak sprawić jej przyjemność. Trudno byłoby uwierzyć, że dopiero kilka miesięcy temu w tym pokoju po raz pierwszy poznawali się wzajemnie.

Ich ciała były ze sobą zestrojone tak harmonijnie, że nic, żadne rozstanie, niedola czy otwarta wrogość, nie mogły popsuć tej harmonii. Kirsty czule obejmowała jego ciało, z przyjemnością dotykała długich, umięśnionych ud, sprężystych pośladków i mocnych, wąskich bioder. Każdy centymetr jego ciała za każdym razem był dla niej cudownym odkryciem.

Mike obserwował ją spod na wpół przymkniętych powiek, czując się trochę

nieswojo, bo w przeszłości to on z reguły był aktywną stroną. Teraz Kirsty zaczęła pobudzać go takimi sposobami, o jakich nawet nie śnił. Ona zresztą też nie wiedziała, skąd je zna. W pierwszej chwili był zaskoczony, ale potem pozwolił jej prowadzić tę grę. Zrozumiał, że i ona pragnie móc decydować, i że warto czasem poddać się jej woli. Ona zaś pojęła, że bez Mike'a, bez jego tak bardzo pobudzającej wyobraźni i zmysły bliskości, nigdy nie byłoby ją stać na taką otwartość, taką swobodę, taką namiętność i - taką miłość.

Odnalazła w nim swoje przeznaczenie. On znalazł w Kirsty swój dom. Całując ją namiętnie, z radością powitał dotyk miękkich ud zaciskających się wokół jego pośladków. Na jej otwartość odpowiedział z równą otwartością, zanurzając się w niej z siłą, jaką przedtem uważał za przesadną. Wydała z siebie okrzyk zachwytu, który tylko go pobudził.

- Powiedz, że mnie nigdy nie opuścisz.

- Nigdy - odparła bez zastanowienia.

- Musisz być zawsze moja. Obiecuj.

- Obiecuję... Och, tak... - szepnęła mu wprost do ucha i rozplynęła się w rozkoszy.

Świtało, gdy w końcu nasycili się sobą i wyczerpani leżeli w objęciach. Mike zasnął pierwszy. Kirsty zaś patrzyła, jak za oknem wstaje dzień, i rozmyślała nad tym, czego się dowiedziała tej nocy o Mike'u, ale głównie o sobie. To co zaczęło się ponuro, skończyło się w radosnym nastroju. Stało się to nie po raz pierwszy. Tak więc, jak mówił Michael, istniało coś, co bez wątpienia łączyło ich i koło ich cierpienia. Czy jednak namiętność mogła rozwiązać wszelkie wątpliwości? Przecież wiele rzeczy wciąż pozostało bez zmian. Patrząc w przyszłość, widziała, że może nadejść czas, kiedy nie będą mieli innego wyboru niż powiedzieć sobie: „żegnaj”. Mimo to objęła go jeszcze mocniej, a jej serce wołało: „jeszcze nie teraz”.

Następnego dnia Kirsty poszła do miejsca na wrzosowisku, gdzie koczowali Cyganie, ale już ich tam nie było. Musieli odejść o brzasku, ponieważ nie zostawili po sobie śladu. Wróciła do domu, czując chwilową ulgę. Przez moment rozważała, czy powiedzieć Mabel, żeby już nigdy nie wpuszczała Caleba do domu, ale ostatecznie zdecydowała się tego nie robić. Mimo wszystko Mabel była plotkarą, a Kirsty nie chciała, by rozpowiadano o tym, co zaszło między nimi. Caleb odszedł i niech tak pozostanie.

Zbliżało się Boże Narodzenie, a ona wracała myślą do dwóch poprzednich, zastanawiając się, jakie niespodzianki przyniesie to nadchodzące. Miała dziecko, swego mężczyznę i wszystko układało się niemal doskonale. A jednak było coś, co stało na drodze do pełni szczęścia. Gdy któregoś dnia robiła zakupy, przypomniało jej o tym spotkanie z panią Mullery. Matka Petera spojrzała na nią bez dawnej nienawiści, raczej z melancholijnym znużeniem.

- Słyszałam, że masz dziecko - powiedziała.

- Tak, chłopczyka - odparła żywo Kirsty z nadzieją na ugodę.

Lecz pani Mullery tylko przyjrzała się jej przez dłuższą chwilę i powiedziała cicho:

- Teraz już wiesz... Teraz wiesz.

Nie mówiąc nic więcej, zostawiła bladą Kirsty przed sklepem i odeszła. Słowa te wniknęły głęboko w jej serce. To prawda. Rozumiała i czuła teraz więcej niż kiedyś. Za sprawą dziecka odkryła taką miłość, jakiej jeszcze nie знаła.

Jakakolwiek myśl, że coś mogłoby się stać Robowi, przeszywała ją bólem nie do zniesienia. A co czuła tamta matka, widząc swego martwego syna ostatni raz nad grobem?

Dotarła do domu i wyjęła Roba z łóżeczka. Zasypała dziecko pocałunkami, zanosząc gorące modlitwy o jego zdrowie i bezpieczeństwo. Instykt podpowiadał jej, że musi się modlić, że tamta sprawa nie jest jeszcze zakończona i że prędzej czy później powróci. Opanował ją przemożny strach.

Bała się, że cykl nieszczęść dopełni się i że teraz krzywda spotka jej syna. Przygotowania do świąt ograniczyła do upieczenia ciasta według starego przepisu, którego nauczyła się jeszcze od babki. Zabierało to sporo czasu i wymagało długiego ucierania, lecz Kirsty umiała być cierpliwa. Ucierała ciasto, orzechy, owoce i mówiła do dziecka, leżącego w swoim łóżeczku w kuchni i obserwującego ją szeroko otwartymi oczami.

- Twoje pierwsze święta, synku, to ważne wydarzenie. Twoja pierwsza choinka, pierwsze prezenty... Niestety, nie spróbujesz ani tego ciasta, ani indyka. Byłyby dla ciebie za ciężkie, ale może za rok dostaniesz jakiś kasek... Ustała na chwilę w swojej pracy i pochyliwszy się nad nim, uśmiechnęła się, a on odpowiedział tym samym. Rozbawiona połaskotała go w brzusek i po chwili śmiali się już oboje.

Nagle wyczuła w kuchni jeszcze czyjąś obecność. Podniosła wzrok i ujrzała w drzwiach młodą kobietę, która obserwowała ją zapewne od jakiegoś czasu. Kirsty uniosła się, lęk ogarnął jej serce, знаła bowiem tę czarującą twarz, tę smukłą sylwetkę i fryzurę, która sprawiała, że kobieta ta wyglądała tak, jakby właśnie zeszła z okładki żurnala. Tak naprawdę zstąpiła jednak nie z żurnala, lecz z fotografii, którą miał przy sobie Mike. To jej imię wypowiedział przez sen.

Przyszła więc po niego. W głębi duszy Kirsty zawsze przeczuwała nieuchronność tego spotkania. I może właśnie dlatego odmawiała ślubu, bojąc się pewnego, jak jej się zdawało, rozstania.

Istota uśmiechnęła się do niej słabo.

- Przepraszam, że weszłam bez pukania. Nazywam się Lois Denver - głos miała zachrypnięty i drżący. Kirsty zauważyła, że ubrana jest nie w elegancki kostium, lecz w wytarte dżinsy i sweter.

- Myślałam, że nazywa się pani Severham. Lois uśmiechnęła się.

- Kiedyś rzeczywiście tak się nazywałam. Czy pozwoli pani, że usiądę?

- Ach tak, proszę - Kirsty przypomniała sobie o dobrych manierach. - Ja



jestem Kirsty Trennon - powiedziała, podsuwając jej krzesło i biorąc od niej płaszcz.

Lois spojrzała na nią błyszczącymi oczami.

- Wiem o tobie wszystko, wybawicielko Mike'a - powiedziała łagodnie. - Jestem bardzo szczęśliwa, że wreszcie cię poznałam i że mogę ci podziękować w imieniu jego przyjaciół. Przysięgam ci, w naszym gronie uchodzisz za bohaterkę.

Kirsty odwróciła się szybko, żeby powiesić płaszcz. Starła się ukryć niesmak i zażenowanie, jakie czuła, patrząc na kobietę, która najpierw zapomniała o Mike'u, a kiedy było jej to na rękę, nagle sobie o nim przypomniała.

- Nie musi pani dziękować. To, że sprawiedliwości stało się zadość, jak napisali w gazetach, to zasługa samego Mike'a - rzekła, uspokoiwszy się nieco.

- Nie wątpię - prychnęła Lois. - Mike jest człowiekiem, który ma silne poczucie obowiązku. Musiał tę sprawę doprowadzić do końca. To poczucie obowiązku jest chyba jednak czasem u niego zbyt silne. Daje się wtedy... ponieść.

- Czy człowiek może mieć zbyt silne poczucie obowiązku? - spytała chłodno Kirsty.

- Możliwe, że nie, ale sytuacja staje się niezręczna, jeśli ludzie zaczynają... no, powiedzmy - za dużo od siebie wymagać.

- Myślę, że nie powinna się pani tym przejmować - odparła Kirsty. - Wydaje mi się, że Mike daje dość jasno do zrozumienia, o co mu chodzi. Osobiście nie miałam żadnych problemów ze zrozumieniem go.

Lois uśmiechnęła się jak ugłaskana kotka.

- To dobrze. W takim razie wszystko jest w porządku. - Rozejrzała się. - Nie masz pojęcia, jak bardzo pragnęłam zobaczyć twój dom. Jest dokładnie taki, jak opisywał mi Mike. I to twoje śliczne dzieciątko. - Pochyliła się nad łóżeczkiem, gaworząc do Roba, a on bacznie się jej przyglądał bez drgnięcia

powiek. - Jaki słodki chłopiec. Teraz wiem, czemu Mike nie mógł się od niego oderwać.

Kirsty zachowała zewnętrzny spokój, ale zdenerwowało ją to, że Mike, jak widać, rozmawiał z tą kobietą o niej, a nawet o dziecku. Właściwie nie było powodu, dla którego miałby tego nie robić, lecz Kirsty odczuła to jako swego rodzaju zdradę.

Irytowała się, miała mu za złe, nie przypuszczała jednak, że Lois może po prostu blefować. Kirsty dorastała wśród prostych ludzi, którzy zawsze mówili, co myśleli, wszelkie intrygi i podstępny były więc jej obce. Nie rozpoznała zatem, że ów gość z wielkiego świata początkowo zdumiał się, widząc to wszystko - dom, ją, ich wspólne z Mike'em dziecko - a potem cynicznie postanowił odegrać swą komedię, aby łatwiej było osiągnąć mu to, co sobie zamierzył.

- Przykro mi, ale minęłaś się z Mike'em - powiedziała Kirsty, nalewając herbatę. - Pojechał wczoraj do Londynu, żeby załatwić wszystko w firmie przed świętami. - Nagle dodała z odrobiną złości. - Właściwie powinnaś chyba o tym wiedzieć.

- Wiedziałam - odparła Lois - ale nie przyjechałam tu specjalnie po to, żeby zobaczyć się z Mike'em. Postanowiłam... to znaczy, postanowiliśmy oboje, że lepiej będzie rozstać się na okres świąt. Nie wszystko jest jeszcze do końca ustalone.

- To znaczy, że wciąż jesteście małżeństwem?

- Teoretycznie tak, ale to już nie potrwa długo. On zamierzał nie zgodzić się na rozwód, ale zmienił zdanie i wkrótce powinno być po wszystkim. Jak na razie... -wzruszyła ramionami. - Oboje mamy teraz mnóstwo spraw do załatwienia. Spędzam święta z przyjaciółmi w Konwalii. Musiałam przejeżdżać przez Dartmoor, więc pomyślałam, że wpadnę i poznam kobietę, która ocaliła Mike'owi życie. Zastanawiałam się... - cień czegoś, co mogło zostać uznane za wstyd, przemknął przez oczy Lois

- zastanawiałam się, czy nie dałabyś mu tego. - Wyjęła zapieczętowaną kopertę i podała ją Kirsty. Koperta pachniała eleganckimi perfumami, lecz Kirsty wzięła ją w palce z uczuciem odrazy. Oczywiście nie dała po sobie poznać, co naprawdę czuje. - Dopilnujesz, żeby ją dostał, dobrze?

- nalegała Lois.

- Dobrze. Oddam mu ją - odpowiedziała bezbarwnym tonem.

- Dziękuję ci więc. Pójdę już. - Wstała i owinęła futro wokół ramion. - Dowiedziałam się wszystkiego, co mnie interesowało. - Kirsty milczała, więc Lois uśmiechnęła się do niej miło. - Tylko nie zapomnij, proszę cię. Ten list jest dla mnie bardzo ważny.

- Dałam słowo i dotrzymam go - oświadczyła sucho Kirsty.

- W takim razie dogadałyśmy się. Muszę pocałować twoje maleństwo na pożegnanie.

Kirsty natychmiast zagroziła dostęp do łóżeczka Roba.

- Lepiej nie - powiedziała uprzejmie. - Nie jest przyzwyczajony do obcych.

- A ty obawiasz się, że przejdą na niego wszystkie zarazki świata? - roześmiała się Lois. - Cóż, pewnie masz rację. Chcesz go uchronić przed kontaktem ze straszną rzeczywistością, ale pamiętaj, że każda idylla niestety ma swój koniec. Do zobaczenia.

Trzasnęły drzwi i po chwili Lois odjechała z jej zabłoconego podwórka. Kirsty wciąż trzymała kopertę w ręku. Sztywny papier koloru lawendy zdawał się parzyć jej dłoń, a zapach perfum przyprawiał ją o mdłości. Popatrzyła na list. Zaprażyła przeniknąć go wzrokiem, żeby odczytać, co mogło być aż tak ważne dla Mike'a - i dla niej.

W ciągu kilku chwil Lois udało się zdobyć pełną pogardę Kirsty, ale też i przestraszyć ją nie na żarty. Było coś przygnębiającego i dekadentckiego w całej jej postaci. Kirsty nie знаła tych uczuć i nastrojów. Musiała jednak przyznać, że w jednym Lois miała rację - ich życie w Everdene było idyllą, a każda idylla się

kończy. Świat Mike'a wyglądał inaczej niż jej i oboje o tym wiedzieli. Przypomniała sobie, że chciał się z nią ożenić i zabrać ją do siebie. Czy jednak nie proponował jej tego tylko po to, by mieć przy sobie Roba? Bo po cóż też byłaby mu ona, dziwaczka z samotnej farmy, gdy na miejscu, w Londynie, miał wokół siebie kobiety co najmniej tak piękne jak Lois? Musiał się z nimi spotykać, w przeciwnym razie Lois nie byłaby tak pewna, że dostanie rozwód. Tej nocy myślała o nim długo. Raz z wyrzutem, raz z życzliwością. Musiała jakoś ściągnąć tym dumanie jego myśli, bo choć było późno, zadzwonił do niej. Po zwyczajowym powitaniu, Kirsty powiedziała:

- Była tu dzisiaj twoja przyjaciółka.
- Przyjaciółka? Jaka przyjaciółka?
- Lois Severham, czy też Lois Denver, jak teraz woli się nazywać.

Po drugiej stronie zapanowała cisza.

- Mike?
- Jestem, jestem... Posłuchaj, przykro mi, że Lois cię niepokoiła.

Powiedziała coś ciekawego? - w jego głosie zabrzmiał niepokój.

- Powiedziała, że wkrótce nastąpi rozwód. I dała mi list dla ciebie.

Mówiłeś chyba, że nie będzie cię do Wigilii, tak?

- Nie. Postaram się być wcześniej. Wolałbym uniknąć korków w Wigilię.

Dam ci znać.

Przyjechał nazajutrz po południu. Wytłumaczył się, że ze względu na święta było mniej pracy, ale Kirsty wiedziała, że chciał bezzwłocznie przeczytać list od Lois.

Nie patrzyła na niego, kiedy przebiegał wzrokiem zapisane strony. Nie chciała widzieć reakcji, jaka odmaluje się na jego twarzy. Odwróciła się dopiero, gdy usłyszała, że chrząka z zakłopotaniem i składa kartki.

- Skąd ona się tu wzięła? - zapytał ze zdziwieniem.
- Powiedziała, że spędza święta z przyjaciółmi w Kornwalii.
- Nie wiedziałem, że ma tu jakichś przyjaciół.

- Ja też nie sędzę, żeby tak było - odparła sucho Kirsty. - Po prostu chciała zrobić trochę zamieszania.

- I dopięła swego? - Przyjrzał się jej badawczo.

- Nie wiem. Ile zamieszania jest w stanie zrobić, Mike? Może ty powinienes mi powiedzieć.

- Niewiele, o ile uda się jej w tym przeszkodzić. Skończyłem z nią, jeżeli o to ci chodzi.

- Ale widzisz się z nią w Londynie.

- Nic na to nie poradzę. Hugh dał jej sporo imiennych udziałów, a potem stanowisko w spółce i tytuł, które nadal posiada. Z prawnego punktu widzenia sprawa jest dość skomplikowana. Ale prywatnie między nami nic nie ma, Kirsty. Tylko ty się liczysz, wierz mi. Zadrzała lekko.

- Oczywiście, że ci wierzę. Przyciągnął ją do siebie.

- Chociaż z drugiej strony miło pomyśleć, że mogłabyś być zazdrosna.

- Co za bzdura, wcale nie jestem zazdrosna.

- Skoro tak mówisz.

Pocałowała go desperacko, żeby zagłuszyć złe myśli, przecucia i obawy.

- Będziemy mieć cudowne święta.

- Pewnie, że tak. Czy były do mnie jeszcze jakieś listy?

- Przyszło parę, tam leżą.

Patrzyła, jak nerwowo przebiera pakiet. Wyraźnie czegoś szukał, nie znalazł jednak żadnej korespondencji wartiej dłuższej uwagi.

- A może były jakieś telefony?

- Nie. Powiedz, Mike - zapytała poważnie - spodziewasz się czegoś?

- Nieszczególnie. Tak pytam... - powiedział z ledwo słyszalnym westchnieniem.

Przez resztę wieczoru Kirsty obserwowała u Mike'a pewne skrępowanie, nie usiłowała go jednak przypisać pojawieniu się Lois. Gdy nadeszła pora spoczynku, Mike pierwszy udał się na górę, ale gdy Kirsty poszła za nim, nie

zastała go w sypialni. Wiedziona instynktem, otworzyła drzwi do pokoju dzieciennego i tu go znalazła. Mike stał nad łóżeczkiem syna i troskliwie poprawiał jego kołderkę. Malutka rączka chłopca obejmowała duży męski palec.

- Ma uścisk jak zawodowy pięściarz - szepnął, gdy podeszła.

- Ma ręce budowlańca - powiedziała, wiedząc, że sprawi mu tym przyjemność. Rzeczywiście, uśmiechnął się, ale tylko przelotnie, pozostawiając wrażenie, że wciąż coś go gryzie.

- Mike - zaczęła, kiedy leżeli już w łóżku - czy chcesz mi coś powiedzieć? Upłynęło trochę czasu, zanim się wreszcie odezwał.

- Napisałem do rodziców.

- To dobrze. Bardzo się cieszę! - ożywiła się Kirsty.

- To był taki list, jaki chciałaś, żebym napisał. Starłem się zbliżyć ich do ciebie i Roba. Ale nie odpisali.

- Są przecież święta, poczta zawsze przychodzi z opóźnieniem...

- Napisałem dziesięć dni temu. Gdyby mieli zamiar odpisać, już by to zrobili. Podałem im adres. Muszę się po prostu pogodzić z tym, że nie chcą mieć ze mną nic wspólnego.

- Mike, nieprawda. To twoi rodzice. Na pewno cię kochają.

- Może kiedyś tak było, zanim zraniłem ich w jakiś nieznany mi sposób.

Teraz zaczynam lepiej to rozumieć.

Chciało jej się płakać. Widocznie mądrość zawsze przychodzi za późno, pomyślała sentencjonalnie, ale nie była w nastroju ani do rezygnacji, ani do filozoficznych refleksji. Jej serce po prostu buntowało się przeciw temu, że miłość rodziców do Mike'a umarła. Sama była matką i nie wyobrażała sobie, że coś takiego w ogóle jest możliwe.

Objęła go mocnym, czułym uściskiem, jakby w ten sposób mogła wynagrodzić mu brak rodzicielskiej czułości. W końcu z zadowoleniem poczuła, że zasnął z głową na jej piersi. Sama nie mogła zasnąć do późna. Przez ostatnie kilka dni przed Bożym Narodzeniem, żeby nie robić jej

przykrości, starał się okazywać radość z powodu świątecznych przygotowań. Gdy jednak widziała, jak wbrew sobie stara się być pogodny, było jej tym bardziej przykro.

Któregoś razu Mike wspomniał o jarmarku, który miał się odbyć na krańcu wrzosowiska, i zaproponował, żeby wspólnie się tam wybrali. Zgodziła się bardziej ze względu na niego, niż dla własnej przyjemności. Był to tradycyjny jarmark, lecz Mike wydawał się wszystkim naprawdę podekscytowany. Wygrał dla Roba na loterii ogromnego misia, potem przeszli przez gabinet krzywych luster, zanosząc się od śmiechu, kupili też cukierki dla Kirsty. Ich beztroski nastrój był jednak sztuczny i wymuszony i oboje o tym wiedzieli.

Kirsty pociągnęła nosem i powiedziała:

- Za chwilę spadnie śnieg.

- W takim razie i my spadamy. Nie mam dobrych wspomnień, jeśli chodzi o wrzosowiska zasypane śniegiem.

Kiedy wracali do domu, z nieba rzeczywiście spadły pierwsze płatki. Zajechawszy do Everdene, spostrzegli na podwórku jakiś samochód, a z domu wybiegła podekscytowana Mabel.

- Dzięki Bogu, że jesteście - powiedziała i było w jej głosie coś takiego, że serce Kirsty przeszło lodowaty powiew.

- Co mu się stało? - krzyknęła.

- Z Robem w porządku, przynajmniej tak sędzę, ale ona go nie wypuszcza ani na chwilę.

- Jaka ona? - zawołał Mike.

Kirsty nie musiała pytać. Lois wróciła, by zabrać Mike'a. A jeśli Mike'a, to także i dziecko.

Złość dodała jej odwagi. Wysiadła i pobiegła do domu, gotowa wydrzeć syna nawet najbardziej niebezpiecznemu wrogowi. Wpadła do kuchni i zdyszana zatrzymała się w drzwiach.

Kobieta, która trzymała w ramionach Roba, to nie była Lois. Była od niej znacznie starsza, miała siwe włosy, pomarszczoną twarz i jasne niebieskie oczy. Siedziała, trzymając dziecko na ręku, a nad nią pochylał się starszy mężczyzna. Kiedy Kirsty weszła, oboje spojrzeli w jej stronę, a mężczyzna wyprostował się. Teraz przyjrzała się lepiej jego twarzy, charakterystycznym gęstym brwiom, tworzącymi prawie linię prostą, i już wiedziała, kto to jest.

- Pan jest... ojcem Mike'a - zaczęła niepewnie. - A pani z pewnością jego matką. - Uczuła nieoczekiwany przyływ radości. - Tak się cieszę, że przyjechaliście! - Podeszła do nich z wyciągniętymi ramionami. Wzruszyli się, widząc tak serdeczne powitanie. - To będzie wielki dzień dla Mike'a - powiedziała Kirsty z zachwytem.

Wymienili krótkie spojrzenia.

- Może - odparł mężczyzna niezręcznie. Zanim zdążyła odpowiedzieć, w drzwiach pojawił się Mike. Kirsty wpatrywała się w niego z napięciem, myśląc tylko, żeby nie hamował swoich prawdziwych uczuć, nie kierował się urażoną dumą, jak to już nieraz czynił w podobnych sytuacjach.

Przez długą chwilę nikt się nie poruszył. Nagle starszy mężczyzna wstał i pierwszy wyciągnął do Mike'a rękę.

- Dzień dobry, synu.

Mike również wyciągnął dłoń, ale nie podał jej ojcu. Jego wielką postacią wstrząsnął dreszcz i za moment drobny starszy pan został ogarnięty niedźwiedzim uściskiem swego potężnego syna. Pani Staliard obserwowała scenę ze łzami w oczach. Potem zerknęła na Kirsty. Wymieniły spojrzenia.

- Dostaliśmy twój list, synu - powiedziała ostrożnie i oddała Roba w ręce matki. - Nie wiedzieliśmy, jak na niego odpowiedzieć, więc...

W tej chwili i ona znalazła się w ramionach syna. Jej mała figurka całkowicie w nich zginęła. Głowa Mike'a znalazła się tak nisko, że Kirsty nie widziała jego twarzy, ale była pewna, że jest bardzo wzruszony. Wypowiedziała z ulgą ciche dziękczynienie. Może skończą się wreszcie jego kłopoty.



Gdy pierwsze emocje opadły, nikt nie wiedział, jak się dalej zachować. Pani Staliard przyglądała się synowi i w końcu zwróciła się do niego:

- Wyglądasz znacznie lepiej.

- Lepiej niż w sądzie? - spytał z kwaśną miną.

- Nie, myślałam o wcześniejszym okresie. Wyglądasz jakoś tak...

prawdziwie. - Ostatnie słowo zabrzmiało jak odkrycie.

Mike potrząsnął głową, jakby rozumiał, o co chodzi matce.

- Szkoda, że nie napisaliście, że przyjeżdżacie. Wyszlibyśmy po was - odezwał się.

- Zdecydowaliśmy się w ostatniej chwili, prawda, Martusiu?

Matka Mike'a skinęła głową.

- Nie byliśmy przekonani, czy to jest najlepszy pomysł, głównie ze względu na długą drogę. Dopiero od niedawna oboje mamy prawo jazdy.

- Prawo jazdy? - powtórzył Mike. - Uczyliście się jeździć w waszym... - urwał w porę.

- Tak, w naszym wieku - dokończyła za niego matka. - Kupiliśmy mały samochód. To duże udogodnienie.

- Parę lat temu chciałem wam kupić wielką limuzynę, ale wtedy nawet nie chcieliście słyszeć o kursie na prawo jazdy.

- Robimy teraz wiele rzeczy, które kiedyś nie przyszły-by nam do głowy - odpowiedział ojciec. - Twoja matka była chora - ujął ją za rękę - i lekarze nie dawali jej szans. Kiedy z tego wyszła, postanowiliśmy wykorzystywać każdą chwilę, która nam została.

Mike zeszywniał.

- Mama chora? Kiedy? Dlaczego nikt mnie nie zawiadomił?

- Byłeś w więzieniu - wyjaśnił ojciec. - Zamierzałem powiedzieć ci przy odwiedzinach, ale... - urwał i wzruszył ramionami.

- Boże jedyny, mam... Mogłem cię już nie zobaczyć! Marta dotknęła ramienia syna.

- To przecież ty mnie uratowałeś. Wciąż jeszcze mamy sporo pieniędzy, które wciąż nam przysyłałeś.

- Tak. Dzięki nim załatwiłem najskuteczniejsze leczenie i najlepszą opiekę - powiedział ojciec.

Mike milczał i tylko wpatrywał się w matkę.

- A jednak - powiedział w końcu powoli - wcześniej nie chcieliście niczego, co miało jakikolwiek związek ze mną lub z moimi pieniędzmi.

- To ty nie chciałeś mieć nic wspólnego z nami - odparła matka.

- Przecież wiesz, że to nieprawda! - Mike zaprzeczył impulsywnie. - To wy...

- Mike - powiedziała Kirsty tonem łagodnego ostrzeżenia.

Przerwał, spojrzał na nią i zobaczył, że się uśmiecha. To go jakby uspokoiło.

Wziął głęboki oddech.

- Dobrze. Zdażymy jeszcze o tym porozmawiać - powiedział.

Kirsty i Mabel poszły z dzieckiem na górę. Chcąc dać im jak najwięcej czasu na wyjaśnienie sobie bolesnych spraw, zostały na górze nieco dłużej niż było trzeba. Kiedy wreszcie Kirsty zeszła z powrotem, George i Marta byli sami.

- Mike pojechał po nasze rzeczy do zajazdu - wyjaśniła Marta. - Mówi, że koniecznie musimy tu zostać. Czy masz coś przeciw temu? To w końcu twój dom.

- Miałabym mu za złe, gdyby uważał inaczej. Marta wzięła ją za rękę.

- Zostań i porozmawiaj z nami. Mike powiedział, że zaopiekowałaś się nim, kiedy uciekł.

- Tak... - Kirsty opowiedziała całą historię, a oni wymieniali uśmiechy i spojrzenia. W końcu usłyszała, że Mike wrócił i przygotowuje pokój dla rodziców, wstała więc i zajęła się robieniem kolacji.

Następnego ranka ze zdumieniem stwierdziła, że Marta chce towarzyszyć jej w codziennych porannych zajęciach. Szczelnie opatulona przyszła za nią do stodoły.

- Nie mogę długo spać - wytłumaczyła.

- Czy powinna pani wychodzić?

- Znakomicie się czuję, poza tym przyda ci się pomoc. Czy mój Mike zostawia cię samą z tym wszystkim?

- Nie, wynajął dwóch ludzi do pomocy, ale dałam im wolne na święta. Lubię zajmować się świniami sama, zwłaszcza od kiedy Cora znów ma małe. Przysługuje jej teraz najbardziej luksusowy chlew, widzi pani? To prawdziwe osiągnięcie myśli architektonicznej.

- Czy to mój syn zrobił to wszystko? - spytała Marta z niedowierzaniem.

- To jego wiekopomne dzieło - potwierdziła Kirsty. Marta pokręciła głową.

- Nie mogę się nadziwić, jak się zmienił, odkąd jest z tobą. Nie poznaję go. A może właśnie dopiero teraz go rozpoznaję? Kiedyś upodabniał się do budynków, które stawiał, zimnych, olbrzymich, bezosobowych. Teraz zaczynam wierzyć, że wszystkie te cierpienia, których doświadczył, były coś warte. Przemieniły go, spotkał ciebie, mieszka tu i jest szczęśliwy... Tak, cierpienie nigdy nie jest bez sensu.

- No tak, ale... Mike ma swoje życie w Londynie, a ja swoje tutaj. - Kirsty nie mogła być nieszczerą wobec jego matki.

- Ale niedługo będziecie chyba razem - powiedziała z nadzieją Marta.

- Nie wiem. Jesteśmy bardzo różni. Jest nam ze sobą dobrze tak jak jest, ale gdyby któreś z nas usiłowało za bardzo zbliżyć się do drugiego, mogłoby dojść do rozstania.

- Nie ufasz mu zbyt, prawda? - zauważyła bystro Marta.

- Powiedzmy, że nie jestem go za bardzo pewna.

- To pod twoim wpływem napisał ten list.

- Dowiedziałam się o nim potem.

- Co nie zmienia faktu, że napisał go pod twoim wpływem. - Marta włożyła dłonie w ręce Kirsty. - Dziękuję, że przywróciłaś mi syna.

Odeszła, nie czekając na odpowiedź, a gdy Kirsty wróciła do domu, zastała ją przygotowującą śniadanie na węglowej kuchni.

- Da pani radę? To stara kuchnia.

- Przypomina tę, którą mieliśmy, kiedy się pobraliśmy. Pamiętasz, George? - odezwała się Marta.

Jej mąż uśmiechnął się i skinął głową, a Kirsty uświadomiła sobie, jak wiele w tym małżeństwie miłości, mimo tylu przeciwności losu. Mike natomiast patrzył tylko w milczeniu na rodziców, jak gdyby nie chciał przegapić ani jednej wspólnie spędzonej chwili.

Przy śniadaniu Marta usiadła z Robem na rękach.

- Nie mogę się nim nacieszyć. Jest taki jak ty, gdy byłeś mały.

- Naprawdę? - Mike przyjrzał się dziecku.

- Nie z wyglądu, ale z zachowania. Zobacz, jak sięga, ty też wyciągałeś rączki tak daleko, jakbyś od początku chciał wszystko, zaraz, natychmiast. - Zawahała się, spojrzała mu w oczy. - Może nie byliśmy dla ciebie wystarczająco wyrozumiali. Mike nie odrzekł nic, Kirsty wiedziała, że wzruszenie ścisnęło mu gardło.

Po śniadaniu Marta zaofiarowała się, że przygotuje także lunch.

- Pomogę ci - powiedział Mike.

- O Boże! - jęknęła Kirsty cicho, ale i tak usłyszeli to oboje i roześmieli się.

- Czyżbyś już próbowała jego kuchni? - spytała Marta z iską w oku.

- Właściwie nie powinnam na niego narzekać. Byłam szczęśliwa, że ma się czym zająć, bo po tej ucieczce nie mógł wychodzić na zewnątrz. Wspaniale się o mnie troszczył. Ścieli łóżka lepiej ode mnie. - Spojrzała na Mike'a z uśmiechem.

- Tam docenia moją kuchnię, nawet jeśli ty nie - odpowiedział.

Po lunchu Marta poszła z małym na górę, a Kirsty zaczęła ubierać się do wyjścia.

- Dokąd idziesz? - zdziwił się Mike. - Chyba wszystko zrobione?  
- Nie nakarmiłam kucyków.  
- Nie można z tym poczekać do jutra?  
- Powinnam była to zrobić wczoraj. O tej porze roku bez pomocy jest im dość ciężko.

- Każ pójść Frankowi albo Fredowi.  
- Dałam im wolne. Poza tym konie ich nie znają. Czekają specjalnie na mnie.

- Nie słyszałem niczego równie zwariowanego.  
- No cóż, wiesz przecież, że jestem wariatką i czarownicą - zażartowała, owijając szal wokół szyi. - I pewnie już się nie zmienię. Nie martw się. Za godzinę będę z powrotem.

Mike usiłował dalej protestować, ale zauważył stojącą za nimi matkę.

- Idź, moja droga, jeśli cię potrzebują - zwróciła się do Kirsty, a ta uśmiechnęła się z wdzięcznością i wyszła.

- Mamo...  
- O co ci chodzi, synu? Jeśli nie chcesz puszczać jej samej, idź z nią.  
- Pewnie, że pójdę. - Mike chwycił szybko kurtkę i do-pędził Kirsty, kiedy wsiadała do traktora.

- Nie musisz jechać.  
- Właśnie że muszę. Mama mi każe.

Płatki śniegu opadały miękko, okrywając świat białą kołdrą. Kirsty ostrożnie prowadziła ciągnik, który zostawiał w kopnym śniegu głębokie ślady. Po kilkunastu minutach jazdy dojrzeli kucyki, zbite w trwającą nieruchomo gromadę. Ich cienka sierść była mizernym zabezpieczeniem przed zimnem. Gdy podjechali bliżej, Mike wyskoczył z wozu i zaczął wyładowywać siano, Kirsty zaś wyjęła kostki cukru i ze śmiechem zaczęła częstować nimi swoich podopiecznych.

- One też mają święta - powiedziała otwarcie, ujrawszy zdziwiony wyraz

jego twarzy.

- Naturalnie - odpowiedział z powagą.

Niektórzy uznaliby zapewne tą śnieżną scenerię za bajkową, ale Mike'owi kojarzyła się wyłącznie z tamtą zimą, kiedy o mały włos nie zginął.

Nie zginął. Ona go ocaliła. Gdziekolwiek się znalazła, wraz z nią pojawiała się życie, ciepło i prawdziwe piękno. Wszystko się do niej garnęło, kochało ją i odradzało się dzięki niej. Tak jak te kucyki.

Jej twarz jaśniała miłością, kiedy głaskała ocierające się o nią ciężkie łby. Mike nagle uświadomił sobie, że tak samo wygląda, gdy trzyma dziecko czy też patrzy na niego. Przez ułamek sekundy miał odczucie, że nie robi jej to różnicy. Po prostu całą sobą obejmuje życie, niezależnie od tego, czy jest to życie mężczyzny, dziecka, zwierzęcia czy urodzajnej ziemi. Mogła kochać lub nienawidzić, ale nie była złośliwa ani małostkowa. Nawet nieprzychylni jej sąsiedzi widzieli tę inność jej natury. Dlatego się jej bali. Nazwali ją czarownicą, a przecież była aniołem...

Ujął z zaskoczenia jej twarz w dłonie i zasypał ją pocałunkami.

- Jesteś cudowna! Cudowna, ty mój aniele...

Roześmiała się i zaczęła oddawać pocałunki.

Mike ucieszył się, a zaraz potem przestraszył. Był o krok od tego, by obiecać jej wszystko i zrobić, co tylko zechce.

W następnej chwili zreflektował się jednak - nie był jeszcze gotów poświęcić dla niej tego, co uważał za swoje osiągnięcia, a co zapewne zechciałaby, żeby poświęcił - bogactwo, sławę, luksusy, zaszczyty...

Odsunął się od niej. Gardził sobą, ale nie był zdolny do innego gestu.

Rodzice zostali u nich przez tydzień i dopiero kiedy Mike wyjeżdżał do Londynu, pojechali wraz z nim. Zostali jeszcze jeden dzień u niego i wreszcie wyruszyli w drogę do domu.

- Nigdy nie sądziłam, że spotkasz taką kobietę jak Kirsty - powiedziała do niego matka przy rozstaniu. - Prawdziwą kobietę, a nie jakieś bezmyślne,

wypacykowane stworzenie, jak te poprzednie. Nie zginiesz, dopóki z nią będziesz.

- Mamo, ona mnie nie kocha. Marta uśmiechnęła się.

- Jak widzę, synku, wciąż jeszcze mało wiesz o świecie - odparła z uśmiechem i pogłaskała go uspokajająco po dłoni.

## 11

Kirsty znajdowała się w dziwnym miejscu. Wyglądało jak wrzosowisko, ale w jakiś tajemniczy sposób odmienione. Wszystko było albo wyolbrzymione, albo skarlałe, a niebo miało przerażający, czerwony kolor. Zawładnęła nią myśl, że zaraz stanie się coś potwornego, coś nieuniknionego. Tarn tulił się do jej kolan, cały zjeżony i niespokojny. Nagle zaczął szczekać przeraźliwie, ale jego głos dobiegał jakby z bardzo daleka. Szczekał i szczekał, aż wreszcie Kirsty spojrzała w stronę, w którą zwracał swój psi pysk, i krzyknęła przeraźliwie ... Przebudziła się zлана potem. To tylko senny koszmar, pomyślała z ulgą. Znajdowała się w łóżku z Mike'em przy boku. Po chwili jednak znów usłyszała ujadanie Tarna, tak samo wściekłe jak we śnie. Podniosła się, pełna złych przeczuć, podeszła do okna i zamarła, ujrzawszy czerwony płomień ze swego snu.

- Mike, obudź się! - krzyknęła, potrząsając nim. - Na miłość Boską, obudź się!

Mruknął coś. Miał za sobą długą, ciężką jazdę powrotną i niełatwo mu było dojść do siebie. Kirsty podbiegła do okna i otworzyła je. Fala gorąca docierała aż tutaj. Paliła się stodoła i chlew, a wiatr zawiewał iskry w stronę domu. Co gorsza, pokój dziecka znajdował się dokładnie na drodze szalejącego piekła. Kirsty pobiegła

do niego natychmiast. Rob jeszcze się nie zbudził i spał mocnym, spokojnym snem. Ściągnęła pościel z Mabel, która poderwała się na nogi i zrobiła zdziwione oczy.

- Pali się! Zanieś Roba do domku Franka i Freda. Powiedz im, że są nam potrzebni - powiedziała Kirsty.

Mabel wstała i zaczęła szybko się ubierać, Kirsty zaś owinęła dziecko ciepłymi kocami. Na wpół rozbudzony, Rob wydał cichy jęk. Przycisnęła go do siebie w nagłym przyplywie lęku i czułości.

- Nic mu się nie stanie - rzekła stanowczo Mabel. -Może pani być spokojna. Zadbam o to.

- Dzięki - powiedziała tylko Kirsty i pobiegła na dół. Mike telefonował już po straż pożarną.

- Zaraz tu będą - oświadczył, odkładając słuchawkę.

- Boże, w środku są zwierzęta! Trzeba je stamtąd zabrać - krzyknęła do niego Kirsty.

Tam wciąż czekał, a z szopy dobywały się piski świnek. Ostatnio dwie z nich miały młode, więc Kirsty wydało się, że ich przerażający kwik ma jakąś szczególnie tragiczną nutę.

Pobiegli w stronę chlewa. Mike ostrożnie otworzył drzwi. Dach już zżerały płomienie, lecz ściany i podłoga były jeszcze nie tknięte. W każdej jednak chwili ogień mógł dosięgnąć siana, zamieniając to miejsce w palenisko. Kirsty zaczęła wyłapywać prosiaki.

- Wynieś je, maciory same pójdą za nimi - krzyknęła do Mike'a.

Stało się dokładnie tak, jak powiedziała; po jakimś czasie w szopie została tylko Etta, która nie miała młodych mogących nią pokierować, a sama była tak przerażona, że nie dała ruszyć się z miejsca. Mike wziął ją z trudem na ręce i zataczając się pod jej ciężarem, wyniósł na zewnątrz.

Wszystkie maciory pilnowały swoich młodych na podwórku, wydając dźwięki ukontentowania. Jedyne Cora wydawała się wciąż czymś zaniepokojona i



biegała w tę i z powrotem. Domyślając się przyczyny, Mike rzucił się znów w kierunku chlewa.

- Mike - rozległ się głos Kirsty - co ty wyprawiasz? Ta stodoła zaraz runie!

- Nie widzisz, że jednego brakuje? - odkrzyknął i zniknął w środku. Zlokalizował prosiaka natychmiast - małe, drżące ciało skuliło się w najdalszym kącie. Ruszył w jego stronę, nie zważając na niebezpieczeństwo i na Kirsty, która pojawiła się w drzwiach i zaczęła wołać z przerażeniem:

- Mike, gdzie jesteś?

- Wyjdź stąd! - krzyknął do niej, pchnął ją i sam rzucił się do wyjścia dokładnie w momencie, gdy belka podtrzymująca dach zawaliła się i upadła obok niego na siano, zamieniając wszystko wokół w morze ognia. Już na zewnątrz z ulgą wciągnął w płuca chłodne powietrze. Usłyszał dźwięk syreny i w chwilę później na podwórko zajechał strażacki wóz. Mężczyźni wyskakiwali, biegali, wyciągali liny. Dał się słyszeć syk wody spadającej na płomień.

Przyszli Fred i Frank, zajęli się zwierzętami.

- Widzieliście Mabel? - zapytała z niepokojem Kirsty.

- Jest u nas. Dziecko też - odparł lakonicznie Fred.

Przez jakiś czas w milczeniu obserwowali pracę strażaków. Na widok płomieni sięgających coraz bliżej domu, Kirsty załamała ręce, jakby zaklinając ogień, by nie posuwał się dalej. Strażacy nie przerywali pracy, aż wreszcie ostatnie płomyki wygasły i przed ich oczami ukazał się tylko czarny, wypalony szkielet budynku.

- Mielicie szczęście. Gdybyście nie zauważyli ognia w porę, rozprzestrzeniłby się dalej - rzekł dowódca. - Byłoby po domu. Kto pierwszy zauważył pożar?

- Pies - Mike podrapał Tarna za uchem.

- Ma pan jakieś podejrzenia, jak to się mogło stać? Niedopałek?

- Nikt tu nie pali - wtrąciła Kirsty.

Strażacy zaczęli badać teren, przyświecając sobie latarkami. Jeden z nich wynurzył się nagle z ciemności i powiedział:

- Na dokładne oględziny jest za ciemno, ale od razu mogę powiedzieć, że zaczęło się od dachu.

- Jak to możliwe? - spytała zmieszana Kirsty. Dowódca spojrzał na nią uważnie. Pochodził z tych stron i wiedział, co o niej mówiono.

- Niektórzy chcą się pani stąd pozbyć, prawda? Jak pani myśli, czy mogliby się do tego posunąć?

- Do czego? Do podpalenia? Chyba nie sądzi pan...

- Może i nie. Ale proszę o tym pomyśleć. Teraz musimy się zbierać. Kiedy jechali po Mabel, Kirsty wciąż miała rozbiegane myśli.

- On zmyśla, prawda, Mike? Kto mógłby dopuścić się czegoś takiego?

- David Mullery - powiedział krótko Mike. - Mówi, że jesteś czarownicą, a czarownice powinno się palić. Jak kiedyś.

- Daj spokój, przecież to dziecko. Po co to głupie gadanie? Poza tym, czemu dopiero teraz, a nie rok temu?

- Rok temu byłaś samotną bankrutką. Teraz masz mnie, dziecko i dość pieniędzy, żeby utrzymać Everdene. Właśnie teraz są do ciebie wrogo nastawieni, bardziej niż kiedykolwiek. To zazdrość.

- Ale żeby aż... - pokręciła z niedowierzaniem głową - przecież mamy dziecko...

Ogarnęła ją fala gniewu. Znosiła z godnością wszystko, co zgotował jej los, skoro jednak teraz życie dziecka było zagrożone, owładnął ją najprymitywniejszy, okrutny i nie znający miłosierdzia instynkt matki chroniącej młode. W swym sercu poczuła nienawiść do tego, kto podniósł na nie rękę.

Następnego dnia podczas śniadania zadzwonił telefon. Odebrał Mike i po zwięzłej wymianie zdań powiedział Kirsty, że mają wezwanie na posterunek

policji i że jest świadek, który widział wczoraj Davida Mullera w pobliżu Everdene.

- Bardzo dobrze - powiedziała Kirsty z zaciętym wyrazem twarzy. Od momentu pożaru miała poczucie, że jest inną osobą, mściwą, pozbawioną litości, zdolną do rzeczy najokrutniejszych. Była zdecydowana na wszystko, byle tylko wsadzić swoich wrogów za kratki.

Kiedy weszli na posterunek, zobaczyli Neda Wilsona, farmera, jednego z najzagorzalszych przeciwników Kirsty. W tej chwili był świadkiem przeciw Davidowi.

- Byłem jakieś pół kilometra od Everdene, kiedy przeleciał obok mnie, jakby go kto gonił. - Zwrócił się do Kirsty. - Nie zdziwiło mnie to, dopóki nie usłyszałem o pożarze.

- Tak, spalił się budynek stojący najbliżej domu - potwierdziła takim tonem, że aż Mike spojrzał na nią, zaniepokojony nienawistnym tonem w jej głosie.

Ned chrząknął.

- Z tego co słyszałem, ulubionym tematem małego są od jakiegoś czasu całopalenia czarownic. Każdy wie, co Mullerowie o was myślą. Cóż, zdaje się, że na jakiś czas będziecie mieli ich z głowy.

- Nie!

Żadne z nich nie zauważyło dotąd stojącej za nimi pani Mullery. Dopiero na jej krzyk odwrócili się za siebie. Jej włosy, zazwyczaj upięte starannie z tyłu, zwisały teraz w beładzie, a oczy miały przerażający wyraz.

- To nieprawda. On nic nie zrobił!

- Widziałem go, o tam - wskazał Ned przez okno.

- Widziałeś go na wrzosowisku. Nie widziałeś, żeby coś robił! -

powtarzała desperacko pani Mullery. Zwróciła się do Kirsty. - Nie może pani powiedzieć, że to on. Skąd pani wie? Nie ma nic złego w chodzeniu nocą po wrzosowisku.

- Mój syn mógł umrzeć - odparła chłodno Kirsty. - Jeśli to pani dziecko...

- To nie on, to nie on, naprawdę... On nic o tym nie wie. Boże, Boże... - zaczęła zawodzić. - Zznałam już przecież, że to nie był mój David, on by nie mógł tego zrobić. Ale nikt mi nie uwierzy, wiem... Jak mam was przekonać? Boże... zamkną go, a to jeszcze dziecko, o Boże, Boże... Nie, nie, nie... - wybuchnęła przerywanym płaczem.

Kirsty patrzyła na nią z kamiennym sercem. Co ją obchodzi ta kobieta, co ją obchodzi David Mullery, skoro jej ukochane dziecko mogło stracić życie? Pomyślała o synu i ogarnęło ją wzruszenie. Jak dobrze było trzymać go przy piersi, czuć ciężar jego główki, słodkie rączki w swoich. Nie przeżyłaby, gdyby miała go stracić. Czy matka mogłaby otrząsnąć się po takiej stracie? Nie, każda matka zrozumiałaby, dlaczego nie może być litości dla prześladowców jej dziecka. Każda.

Spojrzała na panią Mullery, która zgięła się wpół pod ciężarem cierpienia i płakała bezgłośnie. Spojrzała w jej oczy i przypomniała sobie, jak kiedyś patrzyły na nią z nienawiścią. Spojrzała i przypomniała sobie scenę na cmentarzu, grób Petera Mullery'ego, wrogie okrzyki: „morderczyni, wiedźma, czarownica!”, wznoszone przez żałobników, a najgłośniejsze przez matkę. Czy ona sama zachowałaby się podobnie, gdyby jej syn...? To niedokończone pytanie trafiło w czuły punkt. Nagle serce Kirsty zaczęło topnieć, a pani Mullery nie była już wrogiem tylko nieszczęśliwą matką, która najpierw utraciła jednego syna, a teraz miała stracić drugiego. Czy to jej wina, że tak się stało? Ona kochała tylko swe dzieci, chciała je bronić. A przecież obroniła także i Kirsty, wtedy, przed sklepem, z uszanowania dla jej ciąży i przyszłego macierzyństwa. Tak, teraz zrozumiała, czym naprawdę jest macierzyństwo. Rozmyślenia Kirsty przerwał sierżant.

- Młody David został aresztowany dziś rano - powiedział. - Formułujemy właśnie zarzuty. Proszę pani, to nie pomoże - ostatnie słowa skierowane były do pani Mullery, która opadła na krzesło bez sił.

- O co jest oskarżony? - spytała Kirsty.

- O podpalenie. Mnóstwo ludzi słyszało, jak mówił, że zasługuje pani na stos.

- Czy nierozsądna chłopięca paplanina wystarczy, żeby go oskarżyć? - w głosie Kirsty zabrzmiało zdziwienie. Potem dodała: - Przecież nigdy wcześniej nie pojawiał się w pobliżu Everdene.

Zapanowała konsternacja. Ned popatrzył na wszystkich i powiedział ostrym tonem:

- Widziałem go.

- Mógł biec od głównej drogi. Ja też go wczoraj widziałam, ale daleko od farmy. Księżyc świecił jasno, to był na pewno on. Pewnie włóczył się po nocy po wrzosowiskach. To typowe dla tego wieku... - Ned wytrzeszczył oczy. Sierżant patrzył na Kirsty spod zmrużonych powiek, ale ona czuła na sobie tylko niedowierzający wzrok pani Mullery. - Poza tym - ciągnęła pewnie - kiedy się nad tym zastanowię, widzę, że mogłam sama zaproszyć ogień. Latarka upadła mi w siano i zapaliłam zapałkę. Zdmuchnęłam ją zaraz, ale może tliła się jeszcze jakiś czas. Może tak właśnie zaczął się pożar.

- Co za nieprawdopodobna bujda - zaczął Ned.

Rzeczywiście, historia była zupełnie nieprawdopodobna i twarz sierżanta wyrażała zrozumiały sceptycyzm. Poszedł po wyższego rangą oficera, który zaprowadził Kirsty w głąb posterunku. Mike uparł się, że pójdzie z nią, odpechnął usiłującego go powstrzymać policjanta i wczepił się w jej ramię. Od czasu do czasu dotykała jego palców i pewnie stawiała czoło wrogim pytaniom. Stanowczo odmawiała zmiany zeznań.

- Nie wierzę ani jednemu pani słowu - powiedział wreszcie ze złością oficer. - Ale jeżeli chce pani za wszelką cenę kryć tego chuligana, nie mogę nic zrobić. Wynoście się wszyscy i dajcie mi spokój.

Gdy wychodzili, pani Mullery wciąż czekała w recepcji na wynik przesłuchania. Dowiedziała się wkrótce, że David został wypuszczony i że za chwilę będzie

mogła go zabrać. Przyjęła to z niedowierzaniem, ale przede wszystkim z ogromną radością. Rzeczywiście, przyprowadzono go zaraz. Wyglądał na mocno przestraszonego całą sprawą.

Sierżant posłał Kirsty końcowe ostrzeżenie.

- Mam nadzieję, że pani wie, co robi. Będzie pani dźwigała ciężkie brzemie, jeśli następnym razem kogoś zabije.

- Nie będzie następnego razu - powiedziała Kirsty, patrząc wymownie na panią Mullery. Wydało jej się, że tamta niedostrzegalnie skinęła głową, ale trudno było o pewność.

Na zewnątrz Ned dopadł Kirsty.

- Wie pani tak samo jak ja, że to on. O co chodzi?

- Chcę wreszcie położyć temu kres.

Ned wzruszył tylko ramionami i odszedł, Mike zaś ujął Kirsty pod ramię i zaprowadził do samochodu. Obserwował całą scenę na posterunku w milczeniu i z coraz większym zdumieniem, ale wiedział, że nie powinien się wtrącać. Zastanawiał się nad tym przez całą drogę, w końcu, gdy byli już przed domem, zapytał:

- Czy cokolwiek z tego, co powiedziałaś, było prawdą?

- Ani słowo. Nie widziałam Davida. I nigdy w życiu nie wyrzuciłam zapalniczki w stodole.

- Wiem. Dlatego nie wierzyłem własnym oczom. W jednej sekundzie pałasz chęcią zemsty, a w następnej dajesz się zapominać, że w grę wchodziło życie dziecka.

- Nie zapomniałam, Mike. Ale Robowi nic się nie stało, a jej jeden syn już nie żyje. Nie żyje i nigdy nie wróci. Teraz wiem, co ona czuje - zasłoniła spływające po twarzy łzy, a on otoczył ją ramieniem. - Zabiłam go. Nie wiem jak, ale zabiłam jej syna, rozumiesz? Jestem i pozostanę winna. Och, Mike, co ja mam począć?

Po wypadku Kirsty wciąż chciała być z Robem. Frankowi i Fredowi

zostawiła urządzenie jakiegoś schronienia dla zwierząt, a Mabel dała wychodne. Mike sam usunął się na bok, widząc jej potrzebę kontaktu z dzieckiem.

Całymi dniami wysiadywała w ciepłej kuchni z synkiem w ramionach. Myślami często była przy pani Mullery i jej serce współczuło jej szczerze. Wspominała tamtą scenę na ulicy, kiedy usłyszała z jej ust: „Teraz wiesz, teraz wiesz...”

Myślała o tym tak często, że gdy pewnego dnia podniosła oczy i nagle ujrzała panią Mullery przed sobą, patrzącą z uwagą, pomyślała, że to jej myśli musiały się zmaterializować. Jednak wizja nabrała ostrzejszych konturów i teraz Kirsty wiedziała już, że prawdziwa pani Mullery przyszła do niej do domu i oto stoi przed nią w jej kuchni.

- Pukałam, ale nikt nie słyszał. Drzwi były ledwo zasunięte, więc weszłam

- Kirsty nigdy nie słyszała pani Mullery mówiącej tak niepewnie. Spojrzała na nią.

- Spodziewałam się pani - mówiąc to, uwierzyła, że tak właśnie było.

- Tak. Musimy porozmawiać.

- Proszę usiąść. Zrobię herbaty. - Kirsty wstała i odłożyła dziecko do łóżeczka.

- Czy mogę potrzymać pani chłopczyka... - zaczęła pani Mullery. - Nie, nie mam prawa - zreflektowała się.

- Dlaczego? Proszę go wziąć. - Kirsty wsunęła Roba w ramiona zdumionej pani Mullery.

- Jest ślicznym dzieckiem.

- I znaczy dla mnie wszystko. Powiedziała pani kiedyś, że teraz już wiem. Tak, wiem, rozumiem. I nie winię pani za nienawiść do mnie.

- Pani też nienawidziła Davida za podpalenie, a jednak uwolniła go pani. Dlaczego?

- Wie pani, dlaczego. Już wtedy pani wiedziała.

- Ze względu na mnie?

- Tak.

- Mimo że to ja nastawiłam ludzi przeciw pani?

- Chcę, żeby to się skończyło. Nic nie wskrzesi Petera, ale przysięgam, nigdy nie chciałam uczynić mu żadnej krzywdy. Jeśli nawet doprowadziłam do tego, zrobiłam to bezwiednie.

Cisza, jaka zapadła po tych słowach, trwała długo. Wreszcie pani Mullery wymówiła z trudem:

- Wiem. To nie pani wina.

- Wierzy mi pani?

- Tak. Zrozumiałam to w ciągu ostatnich trzech tygodni.

- Trzech tygodni? Nie rozumiem.

- Przeglądałam rzeczy Petera. Przedtem nie mogłam się na to zdobyć, spakowałam je więc i nie ruszałam. Trzy tygodnie temu zajrzałam do nich i znalazłam ten dziennik.

- Wspomina w nim o mnie?

- Cały dziennik jest poświęcony pani, nie tylko z tamtego okresu, ale i z wcześniejszego. Szalał za panią, ale nie dał tego po sobie poznać, prawdę ujawniał tylko w tym dzienniku. Pisał takie rzeczy, że...

- Jakie?

- Na przykład wiersze. Połowy nie zrozumiałam. On żył marzeniami, nie rzeczywistością. Proszę zresztą zobaczyć. .. - ruchem głowy wskazała leżącą na podłodze torbę

- przyniosłam to pani do przeczytania.

Kirsty wyciągnęła dziennik. Był to duży zeszyt. Każdą stronę stanowił jeden dzień.

- Proszę przeczytać pod datą trzeci grudnia.

Kirsty odnalazła stronę i zaczęła czytać. Rzeczywiście, Peter miał poetyckie zacięcie, a Kirsty widział niczym średniowieczny rycerz swoją ukochaną. „Od dwóch lat uwielbiam w skrytości moją panią...”

- Dwa lata? Miał wtedy szesnaście lat. Nic nie wiedziałam.



- Nikt nie wiedział. Był bardzo skryty. Proszę czytać dalej.

Czytała. „Choć jest moją Panią Piękną to także Okrutną

- pisał w swoim dzienniku Peter - mimo to jestem szczęśliwy. Czy jednak człowiek długo potrafi żyć tylko marzeniami? Nie. Nadszedł czas, żeby Ona mnie zauważyła. Wrócę więc na święta do domu i poproszę Ją, żeby dała mi pracę.

Będę blisko Niej, będziemy rozmawiać i może wtedy odważę się wyznać Jej miłość."

Kirsty niespiesznie przewracała kartki, odnajdując na nich wszystkie incydenty, które pamiętała, przedstawione jednak w świetle chłopięcej wyobraźni Petera.

„Rozmawiamy o sztuce i poezji. Nikt z Nią nigdy o tym nie rozmawiał. Jest dla mnie miła, ale nic poza tym. Nade wszystko jest wierna swojemu mężowi, on jednak jest dla Niej niedobry. To czyni Ją jeszcze bardziej doskonałą, świętą." I dalej: „Jestem pewien, że musiała zauważyć, jak na Nią patrzę, wyczytać miłość i pragnienie w moich błędnych oczach. Ale nie zmieniła się wobec mnie. Jest chyba z lodu, piękna i zimna jak lodowa rzeźba. Jej obojętność rozognia mnie tylko i pobudza do czynu. Tak, Ona jest damą, a ja wiernym Jej rycerzem. Muszę dokonać czegoś bohaterskiego, dowieść męstwa i odwagi. Gdybym tylko mógł uczynić coś takiego dla Niej."

Kirsty znów opuściła większy fragment i kilka stron dalej czytała: „Jack wyrzucił mnie dzisiaj z pracy. Zabronił zbliżać się do Niej", a potem, na następnej stronie: „Trzy dni upłynęły, od Niej ani słowa. Nie mogę tego znieść. Muszę Jej powiedzieć, co czuję..."

Wreszcie, pod tą samą datą, Kirsty odnalazła słowa, które do głębi nią wstrząsnęły: „Czekałem na Nią w stodole i próbowałem Ją pocałować. Ale była zła. Odepchnęła mnie i powiedziała, że nikogo nie kocha. Powiedziała to jakoś tak, jakby była nieszczęśliwa. Wtedy wszedł Jack i groził, że zrobi mi coś złego, ale co mi zależy? Wiem już, że Ona nigdy nie zwróci się do mnie. Będzie

wierna temu brutalowi. O, Kirsty, moja Niezdobyta Miłości, moja Pani, piękna i dumna! Z rozkoszą umarłbym dla ciebie..."

- Biedny chłopiec - szepnęła Kirsty - biedny, niewinny głuptas.

- Pani też była niewinna - powiedziała pani Mullery smutno. - To naprawdę nie pani wina.

- Naprawdę tak pani myśli? Przecież mogłam...

- Naprawdę- nie pozwoliła jej skończyć matka Petera. - Kiedy pierwszy raz przeczytałam ten dziennik, nie mogłam pogodzić się z tym, że to nie pani ponosi odpowiedzialność za tę śmierć. Nie powiedziałam zresztą o tym nikomu. Ale w głębi duszy wiem, że to prawda. Powinnam była powiedzieć Davidowi, zanim zrobił tę straszną rzecz.

Kirsty podsunęła jej filiżankę mocnej herbaty i wzięła Roba na rękę.

- Pani też nie powinna się obwiniać - powiedziała wolno. - Nawet gdyby pani mu powiedziała, niewiele by to zmieniło. Ma szesnaście lat, kieruje się uczuciami, nie rozumem.

- Jest pani dla mnie bardziej łaskawa, niż ja byłam dla pani. Zawsze myślałam, że jest pani inna, niż sobie wyobrażałam. Ale od śmierci Petera... - urwała, jej oczy zaszyły łzami.

- Wiem - powiedziała łagodnie Kirsty. Pani Mullery wzięła do ręki dziennik syna.

- Powiem wszystkim - obiecała - teraz wszyscy się dowiedzą, że nie można pani winić. - Wstała i ze spuszczoną głową pożegnała się z Kirsty. Wyszła.

Do kuchni wszedł Mike.

- Słyszałeś? - spytała.

- Tak, bezczelnie podsłuchiwałem. Cieszę się, że już po wszystkim.

- Nie będzie po wszystkim, dopóki nie dowiem się, jak umarł Peter. Ale i tak czuję się, jakby zdjęto ze mnie wielki ciężar. - Westchnęła i znów ułożyła Roba w łóżeczku, po czym oparła się o Mike'a i zanurzyła w jego otwartych

ramionach. - Tak tu przyjemnie i spokojnie - powiedział--

Parę dni później Mike oznajmił:

- Jadę do Londynu i może mnie nie być przez kilka tygodni.

Jej serce zamarło na myśl o tym, że zostanie sama, ale powiedziała pogodnie:

- No tak, New World Properties musiało się ostatni<sup>0</sup> Hugo obywać bez ciebie. Zaczynało mnie to już dziwić-- Uśmiechnęła się do niego, ale nie odpowiedział na jej uśmiech. Miała wrażenie, że chce jej coś powiedzieć najwyraźniej jednak zmienił zamiar. - Będę miała co robić - ciągnęła więc - niedługo zaroi się tu od agentów ubezpieczeniowych, trzeba uprzętać pogorzelsko, przebudować chlew i stodołę.

Spojrzał na nią przelotnie.

- Chyba nie ma takiego pośpiechu? Świnie mają schronienie.

- Tak, ale nie chcę, żeby te zgliszczą tak stały. Poza tym to niebezpieczne.

- No dobrze, rozbierz to, ale wstrzymaj się z przebudową do mojego powrotu.

- Po co? - zapytała zbita z tropu.

- Żebyśmy mogli ją omówić.

- Omówić? Negocjacje na szczeblu ministerialnym? Czy powinnam zaprosić do udziału Ettę?

- Lepiej Corę - zauważył z uśmiechem - jest mi winna przysługę za tego prosiaka. - *A propos*, jak to możliwe, że wtedy go nie zauważyłaś?

- Jak to możliwe, że ty go zauważyłaś?

Mimo żartobliwego tonu Mike myślami wyraźnie był gdzieś daleko, może w Londynie? Było oczywiste, że wzywa go jego dawne życie, a on odpowiada na ten zew przeszłości. Niesprecyzowana data jego powrotu wydała się Kirsty złowieszczą oznaką. Usiłowała nie dopuszczać do siebie złych myśli, ale same cisnęły się do głowy, gdy Mike się pakował. Nie umknęło jej uwadze, że zabiera ze sobą więcej rzeczy niż zazwyczaj.

Pocałował ją serdecznie i obiecał zadzwonić zaraz po przyjeździe, a

Kirsty pograżyła się w pracy, usiłując o niczym nie myśleć. Na próżno. Zdawało się jej, że oto zbliżają się do rozstajnych dróg i że niedługo coś się stanie - coś musi się stać, żeby nadać inny kierunek biegowi rzeczy.

Wiedziała już, ile zajmuje jazda do Londynu i kiedy może oczekiwać dzwonka telefonu. Czas jednak mijał, a Mike nie dawał znaku życia. Po kolejnej godzinie ciszy nie wytrzymała i wykręciła numer jego apartamentu. Długo nie podnosił słuchawki, a kiedy to zrobił, wydawał się poirytowany.

- Martwiłam się o ciebie - powiedziała. - Myślałam, że coś mogło się stać.

- Nie, nic - powiedział pospiesznie. - Przepraszam, wiem, że powinienem zadzwonić, ale jestem zawałony robotą i będę musiał posiedzieć w nocy.

- W takim razie nie przeszkadzam - powiedziała cicho.

- Dobranoc, Mike.

Odłożyła słuchawkę i wpatrzyła się w telefon. W jego apartamencie rozbrzmiewał jakiś głos, słyszała go wyraźnie i nie mogła nie rozpoznać w nim głosu Lois. Tego samego, który słyszała w koszmarnych snach.

Po paru dniach zauważyła w swym życiu pewną odmianę - ludzie, którzy mijali ją dotąd w milczeniu, teraz uśmiechali się do niej. A więc pani Mullery dotrzymała słowa, pomyślała Kirsty z radością. Mimo to za owymi uśmiechami wciąż wyczuwało się nieznaczną rezerwę. Faktem było, że Peter nie żyje, a Jacka nadal obwiniano o jego śmierć.

Mike przez ten czas dzwonił dwa razy, ale ich rozmowy były konkretne i niemal pozbawione emocji. Kirsty nie mogła zapomnieć głosu Lois, słyszanego u niego późną nocą, poza tym zawsze odnosiła wrażenie, że Mike gdzieś się spieszy. Zniechęcało ją to do tych rozmów.

Któregoś popołudnia, szukając pocieszenia w bliskości natury, wybrała się na spacer. Towarzyszył jej tylko z Tarn. Jakies pięć kilometrów od domu natknęła się na dwóch nieznajomych mężczyzn. Byli tak pochłonięci tym, co robili, że nie zwrócili na nią uwagi, miała więc czas, żeby im się przyjrzeć. Jeden miał przyrząd podobny do statywu, z tym że nie było na nim kamery. Drugi

sporządzał jakieś notatki. Zbliżyła się do nich.

- Panowie, to moja farma. Nie sędzę, żebyśmy się znali
- zauważyła grzecznie.

Młodszy z nich obrzucił ją znudzonym spojrzeniem.

- Też tak myślę - odpowiedział, wracając do notatek.
- Wspomniałam o tym, bo znajdujecie się na terenie prywatnym.
- Doprawdy? - Tym razem nawet nie spojrział.
- Chciałabym wiedzieć, co tu robicie.
- Proszę się nie martwić. Robimy tylko pomiary.
- Pomiary? Na moim terenie? Bez zezwolenia?
- Proszę pani, robię tylko, co mi każą, a kazali zrobić pomiary tego

gruntu.

- Aha. Przypuszczam, że jesteście od Colleya?
- W pewnym sensie. Jeśli coś się pani nie podoba, to proszę porozmawiać

z szefem.

- Tak właśnie zrobię - powiedziała stanowczo i czym prędzej zawróciła w stronę domu.

Nie minęła godzina, gdy Mabel ze zdumieniem ujrzała, jak Kirsty wpada do kuchni niczym huragan i kieruje się prosto do telefonu. Usłyszała, że zamawia taksówkę do dworca w Plymouth. Zanim zdążyła otworzyć usta, Kirsty była już na górze, po chwili zjawiała się znowu z małą torbą podróżną.

- Jadę do Londynu - oświadczyła.
- Wyglądasz, jakbyś zobaczyła diabła! - zawołała Mabel.
- Jeszcze nie teraz, ale zamierzam się z nim zobaczyć. A kiedy to zrobię,

pożałuje, że mnie wywołał. Gdzie to jest, do licha? - mówiła, przetrząsając nerwowo szufladę.

- Co takiego? - spytała Mabel, usuwając się z drogi papierom wyrzucanym przez Kirsty.

- Ostatni list od Colleya, potrzebny mi jego adres. Najpierw próbowali

mnie zmusić, bym sprzedała Everdene, a w tej chwili mają czelność mierzyć moją ziemię, mimo że sto razy mówiłam, że nie sprzedam ani kamienia. Czy mogłabyś dowiedzieć się o rozkład pociągów do Londynu? Zanim Kirsty znalazła list, Mabel poinformowała ją, że pociąg do Londynu odjeżdża za godzinę.

- Ale to strasznie długa droga, kilka godzin - ostrzegła. - Zanim dojedziesz, będzie po północy. Nie lepiej zaczekać na Mike'a, żeby on się tym zajął?

- Mike zajmował się tym poprzednim razem - zauważyła Kirsty sucho. - Przysięgał, że nie będą mnie niepokoić, i masz, znowu się kręca. O, jest taksówka. To pa, leczę - zatrzymała się i uścisnęła Roba - życz mamusi powodzenia, kochanie.

Po pół godzinie znalazła się w Plymouth. Większość miast drażniło ją, to akurat leżało nad brzegiem morza, którego pusta nieskończoność przypominała wrzosowiska, akceptowała je więc. Nie było jednak czasu na podziwianie widoków. Kirsty poleciała jechać prosto na stację i ledwo zdążyła przed odjazdem pociągu.

Pociąg był zatłoczony, dotarła więc do Londynu zmęczona, głodna i zdrętwiała od długiego siedzenia. Była już północ. Kioski i budki z jedzeniem pozamykano, a nocne życie na stacji powoli zamierało. Bezdomni sadowili się na ławkach, sprzątacze sobie poszli, a po peronach kręciły się panie z Armii Zbawienia. Jedna z nich podeszła do Kirsty.

- Czy ktoś po panią wyjdzie?

- Nie. Właśnie się zastanawiałam, co począć. Przyjechałam się z kimś zobaczyć. Jutro wracam do domu - wyjaśniła Kirsty.

- Jestem sierżant Ann Mully. Pracuję dla Armii Zbawienia. Mamy tu niedaleko nasz hotel. Może tam się pani prześpi?

Kirsty skorzystała z zaproszenia. Do prowadzonego przez siostry hoteliku dojechała furgonetką wypełnioną kilkunastoletkami, zapewne uciekinierami z

domów, właściwie jeszcze dziećmi. Wzdrygnęła się na myśl o ich losie. Czuła się tak, jakby z czystego świata, gdzie zawsze świeci słońce, przeniosła się do brudnego, mrocznego lochu. Tym było dla niej miasto.

Zasypiając w hotelowym łóżku, pomyślała o Mike'u. Nie obudził w niej ciepłych wspomnień. Prześladowała ją nieśmiała propozycja z jego strony, żeby nie przebudowywała stodoły. We śnie nawiedzał natomiast głos Lois.

Następnego dnia przed wyjściem otrzymała od Ann wskazówki, jak trafić pod wskazany adres.

- Musi pani wsiąść w metro i wysiąść przy Oxford Circus.

Jak można żyć w mieście, zastanawiała się, pędząc zamknięta w blaszanym wagoniku przez czarne, podziemne tunele. To jak koszmar na jawie. Ale w tym właśnie świecie żyje Mike.

Dotarła do Oxford Circus i z ulgą wyszła na powietrze. Gazeciarz na rogu pokierował ją dalej i wkrótce stanęła przed ogromnym, ponurym budynkiem.

Pchnęła duże szklane drzwi, znalazła się w przestronnym holu. Był tam jedynie mężczyzna w mundurze, siedzący za biurkiem.

- Czy tu mieści się firma „Colley & Son”?

- Zgadza się. Jak nazwisko?

- Kirsty Trennon.

- Pani do kogo?

- Do dyrektora.

- Jest pani umówiona?

- Nie, ale przyjmie mnie.

- Wątpię. Jest zajęty.

- Ja też jestem zajęta, a mimo to przyjechałam specjalnie z Dartmoor, żeby mu powiedzieć, że srogo pożałuje, jeśli nie przestanie mnie gnębić.

- Może zechce pani usiąść? - powiedział ugodowo, chwytając za słuchawkę.

W tym samym momencie przyjechała winda, z której wysiadły dwie osoby.

- Proszę się nie fatygować - rzuciła Kirsty. Nie zwracając uwagi na wołania portiera, wsiadła szybko do windy i nacisnęła guzik, zanim ktokolwiek zdążył interweniować. Nie miała pojęcia, na którym piętrze może przyjmować dyrektor, ale postanowiła, że zacznie od ostatniego.

Sześć pięter wyżej winda zatrzymała się cicho. Drzwi się rozsunęły i natychmiast ukazała się sekretarka, która wycedziła:

- Nie można nachodzić dyrektora, jeśli nie ma się umówionej wizyty. Najwyraźniej było to właściwe piętro; portier musiał zadzwonić z dołu.

- Nie można? No to zobaczmy! - powiedziała Kirsty i ruszyła w jej stronę. Sekretarka stanęła na drodze do jednego z trzech korytarzy wiodących od windy. - Dziękuję, właśnie zastanawiałam się, którądy pójść - uśmiechnęła się Kirsty, wywinęła sekretarce i pobiegła, żeby zdążyć przed jej interwencją. Na końcu korytarza wpadła na dwie kolejne sekretarki, które na jej widok podniosły się, gotowe do walki.

Oczy Kirsty miały jednak taki wyraz, że opadły z powrotem na swoje siedzenia, a ona podeszła do dębowych drzwi, bez przeszkód pchnęła je i stanęła na progu gabinetu.

Teraz ona opadłaby na krzesło, gdyby tylko za nią stało. Na wprost wysokiego okna stała uśmiechnięta Lois, uwodzicielsko przyciskając swe ciało do mężczyzny i gładząc go po policzku. Mężczyzną tym był Mike.

Wszyscy troje stali przez chwilę jak posągi. Kirsty uświadomiła sobie nagle, że właściwie wie o wszystkim od dawna: nie znała wprawdzie szczegółów, ale czuła, że Mike daje jej jedynie małą część siebie, resztę ukrywając. Tak, ten moment był nieunikniony. Lois pierwsza odzyskała głos i



jej perlisty śmiech prze- rwał ciszę.

- O jak cudownie! - powiedziała.- Powinnaś była jednak uprzedzić nas, że przyjeżdżasz. Nie wydaje mi się, żeby Mike był przygotowany na taką... hm, niespodziankę, prawda, kochanie?

Mike był blady, ale mówił dość składnie.

- Lois, bądź tak dobra i zostaw nas samych.

- Oczywiście, misiu. - Strzepnęła niewidoczny pyłek z ramienia Mike'a i wypłynęła z gracją, rzucając po drodze złośliwe spojrzenie na niedbały ubiór i zmęczoną twarz Kirsty.

Gdy tylko zostali sami, Mike podszedł do Kirsty z wyciągniętymi ramionami.

- Kochanie, co się stało? Co cię tu sprowadza? Dlaczego nie zadzwoniłaś?

- Nie wiedziałam, że cię tu zastanę. Przyszłam do Colleya. Nie miałam pojęcia, że to ty.

- Sam o tym nie wiedziałem. New World Properties wchłonęło ich, kiedy byłem w więzieniu. Rada przegłosowała decyzję...

- A więc to tak - powiedziała wyzywająco. - Rozpoznałeś tę nazwę od razu, kiedy ci o niej wspomniałam, ale siedziałeś cicho. Wtedy o tym nie myślałam, ale teraz rozumiem, dlaczego.

- Rzeczywiście, rozpoznałem nazwę - zgodził się. -Zanim poszedłem do więzienia, mówiło się, żeby ich wykupić, ale po moim powrocie trzeba było dopilnować tylu bieżących spraw, że na później odłożyłem to, w jakie nowe przedsięwzięcia weszliśmy. Potem pokazałaś mi ten list, nie wiedziałem jeszcze wtedy, czy ich mamy, czy nie. Sprawdziłem to i kazałem im zostawić cię w spokoju.

- Tak się jednak dziwnie złożyło, że cię nie posłuchali, swojego nowego szefa - powiedziała złośliwie. - Masz mnie za idiotkę?

- Kirsty, przysięgam, mówię prawdę. Myślałem, że sprawa jest załatwiona, dopóki wtedy się nie pojawili. Powiedziałem, kim jestem, i dałem im do zrozumienia, żeby się wynieśli.

- Naprawdę? Czy to właśnie zrobiłeś?

- Myślisz, że kłamię? - Mike pobladł.

- Nie wiem, co myśleć. Wiem tylko, że bardzo przekonująco wyperswadowałeś mi zostanie w domu, tak że nawet nie słyszałam, co mówiłeś tamtym facetom.

- Nie chciałem jedynie, żebyś wiedziała, że mamy jakieś powiązania z tą firmą. To przyznaję. Widziałabyś mnie wtedy w gorszym świetle. Ale jakie to ma znaczenie? Pozbyłem się ich w końcu.

- Niestety, nie pozbyłeś się. Colley przysłał wczoraj dwóch ludzi, którzy robią pomiary na mojej ziemi. Dlatego tu jestem. Przyszłam do dyrektora tej firmy. Nie wiedziałam tylko, że to ty nim byłeś przez cały czas. - Przy ostatnich słowach jej głos załamał się, nagle zrozumiała w pełni, że oto pryskają wszystkie jej iluzje; że wali się wszystko, co było dla niej cenne. Mike zbliżył się do niej, ale cofnęła się. - Nie dotykaj mnie. Raz w życiu porozmawiajmy zupełnie szczerze.

- Kirsty, przysięgam, że nic nie wiedziałem o tych pomiarach.

- Oczywiście, że nie wiedziałeś. I oczywiście przypadkowo napomknąłeś, żebym nie przebudowywała stodoły. Ty i Colley macie jakieś plany co do tego miejsca, co?

- Rzeczywiście, mamy, ale nie takie, jak myślisz. Kirsty, musisz mi uwierzyć.

- Wcale nie muszę, Mike. Nie muszę ci wierzyć, ufać, nie muszę cię kochać. Kiedyś kochałam, ale to już przeszłość. Zwodziłeś mnie przez tyle miesięcy, już nawet nie chodzi o to wszystko, ale Lois...

- To było tylko pożegnanie... Zaśmiała się okrutnie.

- Tylko pożegnanie!

- Niestety - Mike zaczerwienił się - Lois trudno jest wytłumaczyć cokolwiek. Nie wierzy, że nigdy do niej nie wrócę.

- Nie musisz mi tego mówić, nie interesuje mnie to.

Powinam była jej posłuchać, kiedy przyjechała do Everdene, ale byłam tak naiwna, że posłuchałam ciebie.

- Naprawdę więc myślisz, że byłem wciąż z Lois, kiedy zaproponowałem ci małżeństwo?

- Myślę, że zależało ci jedynie na dziecku. Jak długo potrwałoby nasze małżeństwo, co? Mały szybki rozwodzik, sędzia przyznający ci prawo do opieki, bo ty oczywiście byłbyś w stanie zapewnić potomkowi pieniądze, luksus i świeżo upieczoną mamusię - i Rob jest twój. No bo ja mogłam mu ofiarować tylko drzewa, chmury, horyzont, wiosenne świty i jesienne wieczory. Wychowywałby się wśród koni i świń. Prymityw, prawda? Ale to właśnie jest życie. Moje życie, Mike. Piękne życie, o którym ty nic nie wiesz.

- Wiem sporo - powiedział. - I tego też dla niego pragnę.

- Och, przestań, Mike. Bądź chociaż wierny swoim przekonaniom. Już widzę, jak byś wychował naszego syna. Na pierwsze urodziny dostałby od ciebie komputer, żeby mógł wykreślić jakiś projekt i policzyć, ile zarobi na nim pieniędzy. Dzięki Bogu, że dowiedziałam się o wszystkim, póki jeszcze nie jest za późno.

- Kirsty...

- Nie musisz już wracać do tego błota. Przyślę tu twoje rzeczy. Nie chcę cię więcej widzieć w Everdene. To nie twoje miejsce.

- To moje jedyne miejsce - powiedział cicho - to mój dom.

Zbił ją z tropu tym spokojnym wyznaniem. Speszyla się nieco, nie przerwała jednak swej przemowy.

- Mike, ty nie wiesz, co to dom. Jedyne, co cię obchodzi, to własność. Rob i ja urządzimy sobie życie bez ciebie.

Zauważyła wyraz jego twarzy i przez moment zrobiło jej się go żal. Potem jednak przypomniała sobie, jak długo i systematycznie ją oszukiwał, i jej serce na powrót stwardniało.

- To wszystko - podsumowała już nieco ciszej. - Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Żegnaj, Mike.

Odwróciła się i wybiegła z biura, obawiając się, że mógłby ją zatrzymać. Od razu wchłonął ją chaos wielkiego miasta, znacznie gorszy teraz, gdy chodniki zapełniły się ludźmi. Przywołała taksówkę, chcąc uniknąć metra. Wszystko w niej skupiło się wokół jednej myśli - powrotu do Dartmoor, z jego czystym powietrzem i spokojem. Nienawidziła Mike'a za to, że naruszył ten spokój swoją gładką elokwencją, swoją zaborczością, nade wszystko jednak nie mogła mu darować jego zdrady.

Przez całą drogę powrotną była spięta i sztywna. Bała się, że jej serce tego nie wytrzyma i da upust swojemu nieszczęściu przy obcych. Zanim pociąg dojechał do Plymouth, cała była jednym wielkim bólem. Długo czekała na taksówkę, a droga do domu dłużyła się w nieskończoność. Ukoił ją nieco dopiero widok wrzosowisk. Tu może będzie miała odwagę pozbierać rozsypane kawałki swego życia.

Jakiś kilometr przed domem kazała się zatrzymać, zapłaciła i wysiadła. Resztę drogi przeszła pieszo, oddychając świeżym powietrzem i wystawiając twarz do słońca, które nieco ją pocieszyło.

Marzyła o przytuleniu Roba, osoby ważnej dla niej bez względu na to, że było dzieckiem mężczyzny, którego pragnęła zapomnieć. Zaczęła biec. Kiedy dobiegła do podwórka, zobaczyła, że samochód Mabel nie stoi, jak zwykle, na podwórzu. Jej serce zabiło gwałtownie. Drżącą ręką uchwyciła kłamkę. Dom wydawał się złowieszczo cichy. Zawołała:

- Mabel, jesteś tam?

Odwróciła się szybko na dźwięk zamykanych drzwi. Wstrzymała oddech. Przed nią stał Caleb. Wyglądał inaczej niż zwykle. Maskę uprzejmości opadła z niego i w tej chwili widać było, jak zimne są jego oczy.

- Cześć, kochanie - jego wargi rozciągnęły się w grymasie, który tylko przypominał uśmiech. - Coś mi się zdaje, że chyba nie mnie się spodziewałaś.

- Gdzie Mabel?  
- Poszła na zakupy.  
- Wzięła Roba?  
- Nie, powiedziałem jej, że ze mną będzie bezpieczny.  
- Gdzie on jest? Gdzie jest mój syn? - wykrzyknęła z desperacją w głosie.  
- Wszystko w swoim czasie. Najpierw pogadamy.  
- Oddaj mi dziecko i wynoś się stąd! Zaśmiał się, ale nie był to przyjemny śmiech.

- Za to cię właśnie uwielbiam, kochanie. Za twoją werwę. Taka właśnie będziesz w łóżku, ogień i walka. Długo na to czekałem. Wiesz, że jestem cierpliwy. Rzecz długo odkładana zawsze dużo bardziej cieszy, gdy wreszcie się spełnia. I oto cierpliwości nadszedł kres.

Poczuła do niego odrazę, znalazła jeszcze jednak na tyle siły, żeby powiedzieć:

- Prędzej prześpię się z diabłem.

Caleb rzucił się na nią zniemacka, złapał ją za włosy i przyciągnął mocno do siebie. Jego usta odcisnęły się na jej wargach w twardym pocałunku. Usiłowała się odwrócić, ale trzymał ją mocno za głowę, tak że nie mogła się ruszyć.

Całował ją ze śmiechem, a w niej wzrastało poczucie nienawiści i strachu wobec jego nieposkromionej siły.

Odsunął się nagle, nie wypuszczając jej z uścisku. Cały czas się śmiał.

- O właśnie! O to chodzi. Walcz ze mną. Będzie wspaniale.

Udało jej się uderzyć go i zaskoczyć na tyle, że ją wypuścił. Zaraz jednak podszedł do niej, złapał ponownie i rzucił na ławę. Następnie usiadł obok i przygniótł sobą, żeby nie mogła się podnieść. Zaczął przemawiać do niej tonem perswazji, który budził strach, choć nie był gwałtowny.

- Nigdy nie pozwoliłem kobiecie obchodzić się ze mną w taki sposób, Kirsty. Ale ty jesteś wyjątkowa. Ożeniłbym się z tobą, gdybym był z tych, co się żenią. Chciałem się zabezpieczyć od razu, jak umarł Jack, ale nie byłaś wtedy gotowa, to poczucie winy i w ogóle... Nie - wstrzymał ją, gdy chciała go

odepchnąć - nie rezygnuj teraz, kiedy właśnie zaczynamy się lepiej poznawać. - Poglaskał jej twarz, przez którą przepłynął cień obrzydzenia. Opętana była jedynie myślą o dziecku. - Odszedłem - mówił dalej Caleb - żebyś zobaczyła, jak to jest beze mnie. Zamierzałem wrócić latem, ale po drodze miałem małe problemy. No a jak wróciłem, on się tu kręcił, więc musiałem trochę zmienić plany.

- I opowiedziałeś mu tę bajeczkę o prawdziwym tatusiu

- wycedziła z pogardą. - Musiałeś być rozczarowany, że ci nie uwierzył.

- Nie uwierzył? To gdzie teraz jest? Nie tutaj? Kiedy wraca?

- Gdzie moje dziecko?! - wrzasnęła Kirsty.

- W bezpiecznym miejscu, słodka, na pewno nam nie przeszkodzi. Za długo czekałem na to, co mi się należy.

Przycisnął ją do siebie. Kirsty znalazła w sobie dość sił, by uderzyć go w twarz. Przechylił się, a ona wykorzystała moment i znów się wywinęła. Gdy doskoczył do niej, celnie ugodziła go kolanem. Zawył, ale prawie natychmiast odzyskał przewagę i powalił ją na ziemię.

Upadek oszołomił Kirsty. Spod niedomkniętych powiek obserwowała każdy ruch Caleba. Brak jej było sił, żeby się dalej bronić. Półprzytomnie dojrzała jeszcze, że sięga do kieszeni i wyjmuje nóż.

- W porządku - powiedział i upadł koło niej na kolana. Ostatnią rzeczą, jaką widziała, była majacząca postać Caleba i zbliżający się nóż.

Po wyjściu Kirsty Mike nie od razu ochłonął i nie od razu zaczął sprawnie myśleć. Sięgnął po telefon, żeby portier na dole ją zatrzymał, ale zawahał się w pół gestu. Cokolwiek by zrobił, Kirsty i tak go teraz nie posłucha.

Do pokoju wsunęła się uśmiechnięta Lois.

- I co? Poszła sobie?

- Na jakiś czas. Zaraz ją dogonię. - Jego głos stał się zimny i pełen zjadliwej ironii. - A tak w ogóle, dzięki za to małe przedstawienie. To było dokładnie w twoim stylu. Ale to i tak nic nie da. Od miesiący ci powtarzam, że

to koniec i to jest koniec. Nie jestem bezwzględny, choć może powinienem. Staram się zdobyć na uprzejmość. Moim błędem było, że zrobiłem z ciebie ofiarę. Ale tempo, z jakim puściłaś kantem Hugh'a i próbowałaś odnowić nasz związek, gdy tylko stanąłem na nogi, było przerażające. Prawie tak przerażające, jak wtedy, gdy w podobnych okolicznościach rozstałaś się ze mną.

- Nienawidziłeś mnie za to? - powiedziała głosem, w którym wyczuwało się napięcie.

- Kiedyś chyba tak, ale to już historia. Wtedy coś dla mnie znaczyłaś. Potem było mi ciebie żal, ale i to minęło, gdy tylko przekonałem się, do czego jesteś zdolna. To wszystko było żalosne: ten błahy list, który posłużył ci za pretekst, żeby niepokoić Kirsty i wywołać jej podejrzenia, twoje pojawienie się u mnie późno w nocy i teraz to ostatnie....

- Kochanie, zrobiłam to dla twojego dobra. Z nią nie byłbyś szczęśliwy. Po prostu zbyt dobrze cię znam.

- Nigdy mnie nie znałaś, Lois - ton jego głosu był poważny. - Nie winię cię za to, bo nawet ja siebie wtedy nie znałem, ale dzięki Bogu teraz wiem już o sobie znacznie więcej.

- Chyba nie myślisz, że uwierzę. Cóż to ma być? Jakieś nawrócenie? Na co? Ma miłość pośród krów? - Tak jak poprzednio podeszła do niego i pogłaskała go po policzku, starając się uwodzicielskim gestem wzbudzić jego przychylność. I tak jak poprzednio spotkała się tylko z chłodną obojętnością.

- Nie dbam o to, w co wierzysz, obchodzi mnie tylko Kirsty - powiedział po prostu i odsunął jej rękę. - Chcę, żebyś uprzątnęła swoje biurko i opuściła raz na zawsze ten budynek. - Nie czekając na odpowiedź, nacisnął przycisk. - Mario? Wychodzę już dzisiaj... Jeżeli są jakieś listy do podpisu, proszę je przynieść - powiedział sekretarce. Weszła za chwilę, a za nią młody mężczyzna w okularach, który wyglądał na bardzo zafrasowanego.

- Nie może pan teraz wyjść - zaprotestował. - W każdej chwili

spodziewamy się tych awanturników.

- Awanturników? - powtórzył chłodno Mike. - Jeśli chodzi panu o ekologów, proszę nazywać rzeczy po imieniu.

- Kiedyś sam pan ich tak określił.

- Na pewno nie ostatnio. Pan się z nimi spotka, Richard. Jest pan moim asystentem i najwyższy czas, żeby przyzwyczaił się pan do zarządzania firmą.

- Ale jeśli mamy im zamknąć usta, to właśnie pan jest w tym najlepszy - nalegał Richard. - Jest pan prawdziwym mistrzem.

Mike spojrzał na niego znad listów.

- Tak... Myślę, że zasłużyłem na to określenie - powiedział ponuro.

- Zawsze pan mawiał, że to pierwsza zasada biznesu.

- Niech mi pan nie przypomina, co mówiłem. Proszę słuchać, co do pana mówię w tej chwili - upomniał go Mike. - Może to i jest jakaś zasada, ale tej akurat nie chciałbym mieć wypisanej na nagrobku.

- Już są - oznajmiła sekretarka, zaglądając do pomieszczenia obok.

- Dobrze. Poproś ich - powiedział i do gabinetu zaczęli wchodzić przedstawiciele protestujących przeciw kolejnej inwestycji. - Dzień dobry wszystkim, proszę tutaj - zaczął komenderować. - To mój asystent, Richard. Niestety, muszę wyjść, ale proszę mu przekazać wszelkie zmiany i poprawki, na których wam zależy, a on dopilnuje, żeby zostały wprowadzone.

Richard złapał nerwowo powietrze.

- Poprą...

- Po prostu zrób, co ci powiedzą. - Mike podszedł do drzwi i zatrzymał się. - Kto teraz zarządza Colleyem?

- Stary Colley - odparł Richard. - Zostawiliśmy go.

- Wywalcie go więc. Wykupcie go. Cokolwiek. Po prostu się go pozbądźcie.

W drodze do Dartmoor Mike czuł dziwną lekkość. W Everdene Kirsty nie



będzie mogła zbyć go byle czym, a wtedy wszystko się wyjaśni.

Wiedział, że mogła złapać następny pociąg do Plymouth. Jadąc szybko, mógł być na miejscu nawet przed nią. Omijał wszystkie znane mu zatory, a jego myśli były już na zielonych polach i wrzosowiskach.

Niestety, mniej więcej w połowie drogi utkwiał w korku. Godzina zeszła mu na siedzeniu w kurzu i spalinach i był pewien, że nie będzie w Dartmoor przed Kirsty. Rzeczywiście, dojechał dopiero o zmierzchu. Był zmęczony, ale pełen nadziei.

Już kilometr przed Everdene wypatrywał świateł, ale nie mógł ich dostrzec. Zaniepokoił się. Przecież nie wyjechała?

Jego niepokój pogłębił się, gdy zobaczył otwarte drzwi, mimo że nie paliły się żadne światła. Opanował go lęk, gdy przypomniał sobie słowa matki o tym, że jak długo ma Kirsty, tak długo ma szansę na szczęśliwe życie i teraz ze strachem pomyślał, że mógłby ją stracić...

Wbiegł do środka i zawołał ze strachem, który mieszał się z nadzieją:

- Kirsty! Kirsty!

Odpowiedział mu stłumiony jęk. Spojrzał na podłogę, włączył światło i rozpoznał Kirsty, która z trudem usiłowała się podnieść.

- Boże! - krzyknął przerażony. Wziął ją w ramiona i pomógł wstać. Krew ścięła mu się w żyłach, gdy przyjrzał się jej ponownie. Jej wspaniałe włosy były pocięte, poszarpane, gdzieniegdzie wręcz powyrywane do krwi. - Kto ci to zrobił?

- Caleb - wysapała - ma Roba... Przyszedł tu... czekał na mnie. Musimy go złapać.

Pomógł jej się zebrać i wejść do samochodu. Zaczął myśleć gorączkowo o tym, jak działać najskuteczniej.

- Gdzie on może być?

- Nie wiem. Nie jestem pewna, czy jest sam, czy wrócili wszyscy. Mogę pokazać drogę do ich obozu - powiedziała i Mike natychmiast uruchomił silnik.

Gdy jechali, zaryzykował - zdjął rękę z kierownicy i uściskał jej dłoń. Kirsty odpowiedziała tym samym. A więc zgoda. Nieważne co było, teraz liczył się tylko ich wspólny syn - owoc ich miłości.

- Co on ci zrobił? - odważył się zapytać.

- Nie dał rady. Próbował, ale stawiałam opór. Wyjął nóż i obciął nim włosy, potem zemdlałam. Widocznie musiał się czegoś wystraszyć, bo uciekł. Ale ma Roba...

Po chwili ujrzeli w oddali światła. Zbliżali się do obozu cygańskiego, oświetlonego wielkimi ogniskami. Grupa Cyganów stała nieruchomo i patrzyła, jak podjeżdżają, kiedy zaś samochód wreszcie się zatrzymał, Caleb łokciami przepchnął się przez tłum i wysunął naprzód.

- Czekałem na ciebie - oświadczył.

- Przyjechałem po swojego syna - powiedział stanowczo Mike.

- Chodzi ci o mojego syna - poprawił go Caleb. - Myślałeś, że uda ci się mi go wykraść, tak jak ukradłeś mi kobietę, ale ja po nich wróciłem.

Kirsty z lękiem rozglądała się po obozie. W pewnym momencie dostrzegła Jenę, stojącą nieopodal z Robem na rękach. Rzuciła się w tę stronę, lecz dwie rosłe kobiety zagroziły jej drogę.

- Oddaj mi go - zażądała i odepchnęła je. Wydawało jej się, że Jenna posłucha, ale ona potrząsnęła głową i wymamrotała przestraszona:

- Nie odważę się. Zakazał mi.

- Przecież nie musisz robić wszystkiego, co ci każe.

- Muszę - oświadczyła Jenna - tylko wtedy ze mną zostanie.

- A ty chcesz być z kimś takim jak on? Kto cię obraża, wykorzystuje i nie dba o ciebie?

- Kocham go. Wiem, że to łajdak, ale nic nie poradzę. Przyjdzie dzień, że przestanie myśleć o tobie i pokocha mnie. - Zaciśnęła ramiona na zawiniętym w koc dziecku.

Kirsty myślała, żeby wyrwać jej syna, ale bała się, że w szarpaninie stanie się

mu coś złego. Spojrzała na Mike'a. Wyczytała z jego spojrzenia, że on też uważa to za zbyt

ryzykowne. Tymczasem Caleba najwyraźniej podniecała cała ta sytuacja.

- Gdybyś był jednym z nas, moglibyśmy to jakoś załatwić - powiedział wyzywająco.

- Mianowicie?

- Na noże. Prawdziwy ojciec zwycięży - oznajmił Caleb, a przez tłum przeszedł pomruk uznania.

- Dobry pomysł - powiedział spokojnie Mike. - Zgadzą się. Jeśli zwyciężę, oddasz mi syna. Zgoda?

- Zgoda - odparł Caleb z uśmiechem - ale jeśli cię pokonam, zrzekniesz się go.

Ku przerażeniu Kirsty Mike skinął głową.

- W porządku.

- Mike - szepnęła, ale on już jej nie słyszał. Całkowicie skoncentrował się na czekającej go walce,

nie spuszczał Caleba z oczu. Gdy zrzucił marynarkę, Kirsty zerknęła w stronę samochodu, gdzie był telefon, przez który można by wezwać policję.

Okupowało go jednak już kilku mężczyzn i Kirsty wiedziała, że nie może liczyć na żadną pomoc.

Caleb wyciągnął nóż. Dwóch mężczyzn stanęło naprzeciw siebie, Caleb, niewielki i krępy, i Mike - cięższy, potężny. Kirsty wstrzymała oddech.

Caleb poruszył się pierwszy. Doskoczył do Mike'a z doskonale wymierzonym ciosem, lecz ten odparował go i pchnął silnie przeciwnika w bok. Caleb upadł na ziemię, zdążył jednak jeszcze pociągnąć Mike'a za nogę i powalić go na ziemię.

Złapali się jak zapaśnicy i każdy z nich próbował teraz znaleźć się na rywalu.

Wreszcie Caleb wy dostał się na wierzch, lecz już po chwili Mike przerzucił go przez głowę. Caleb wpił się zębami w jego nadgarstek. Twarz Mike wykrzywił ból, próbował się uwolnić, lecz teraz palce Caleba zacisnęły się mocno na jego

ręce i, ku przerażeniu Kirsty, nóż wypadł mu z dłoni. Jeszcze chwila i Caleb trzymał oba noże przy gardle przeciwnika.

- Wygrałem! - krzyknął. - Dziecko jest moje. - Obrócił wilczą twarz ku Kirsty. - Zgodził się przy wszystkich. Teraz wezmę, co moje: dziecko i kobietę.  
- Wyciągnął ramiona, żeby chwycić Kirsty. Wyrwała się, ale przytrzymał ją mocno. - Moja - powtarzał. - Jeśli chcesz być z dzieckiem, musisz zostać ze mną.

- Nie! - przeraźliwy okrzyk zwrócił uwagę wszystkich na Jennę. - Nie będziesz jej mieć, nigdy ci na to nie pozwolę!

- Ty? - roześmiał się Caleb. - A kim ty jesteś, żeby mi mówić, co mogę, a czego nie?

- Mogę powiedzieć im wszystko, co mi zdradziłeś. Twarz Caleba zmieniła się, złośliwe rozbawienie zniknęło z niej w mgnieniu oka.

- Zamknij się, suko - syknął.

Kirsty skorzystała z okazji, wywinęła się i szybkim ruchem wyrwała Roba z objęć Jenny. Ta wciąż nie przestawała się odgrażać.

- Powiem im! Powiem, jak zginął Peter Mullery! Caleb usiłował to zbagatelizować.

- Zabił go Jack. Wszyscy o tym wiedzą.

- Nikt go nie zabił - ciągnęła z uporem Jenna. - To był wypadek. Wpadł do rzeki, bo osunął się pod nim kamień, a ty widziałeś to, ale nikomu nie powiedziałaś. Chciałaś, żeby Jack poszedł siedzieć. Chciałaś jej! - Wskazała palcem Kirsty. Teraz Jenna zwróciła się do zgromadzonego wokół niej tłumu: - Jednej nocy, gdy był tak zalany, że nie trzymał języka za zębami, powiedział mi, że pragnie tylko tej kobiety. I że chce się pozbyć Jacka, bo wtedy ona będzie jego. „Ta diablica jest lepsza od wszystkich”, tak właśnie mówił. Mówił to mi, choć wiedział, że go kocham. Nigdy nie zwracał na mnie uwagi, więc odpłacę mu tym samym.

- Tylko spróbuj - głos Caleba był niepewny. - Nawet nie waż się

powtarzać tej historii.

- Nie będzie musiała - odezwał się za nimi donośny głos. Caleb wydał gwałtowny okrzyk na widok dwóch policjantów, w jednej chwili porwał się z miejsca i pewnie udało by mu się uciec, gdyby nie grupa Cyganów, którzy zablokowali mu drogę.

- Puście! - wycharczał. - Jestem jednym z was.

- Tak jak Jack Trennon - powiedział ktoś z tłumu. Zanim Caleb zdążył odpowiedzieć, policjanci ujęli go pod rękę i poprowadzili w stronę radiowozu. Mike poszedł za nimi.

- Do oskarżenia o fałszywe zeznania możecie dodać porwanie. Zabrał mojego syna - powiedział z grobową miną. Jeden z policjantów skinął głową.

- Już nas o tym poinformowano. Dzwoniła opiekunka dziecka. Wtedy dopiero Kirsty zauważyła Mabel.

- Jak mogłaś wyjść i zostawić go z Calebem? - dopytywała się.

- Skąd mogłam wiedzieć? Był twoim znajomym, zaprosiłaś go wtedy na przyjęcie...

- Nieważne - Kirsty przytuliła do siebie najdroższe maleństwo - najważniejsze, że zadzwoniłaś po policję. Dziękuję. W samochodzie odezwała się tylko raz.

- Słyszeliście, co powiedziała? Śmierć Petera to był wypadek.

- Wiedział o tym cały czas i słówka nie pisnął - dodał Mike.

Kirsty nie wypuszczała Roba z objęć nawet w domu. Nie odstępowała go ani na krok, sama wykapała, nakarmiła i ułożyła do snu, a następnie ponad godzinę śpiewała kołysanki, choć chłopiec zasnął już po pięciu minutach. Kiedy wreszcie wyszła na korytarz, zobaczyła, że Mike czeka na nią na podeście schodów. Pilnie obserwował jej twarz, kiedy tylko się pojawiła. Wiedział, że słowa, które za chwilę padną, będą miały wielkie znaczenie dla nich obojga. Nie padły jednak żadne słowa. Kirsty pozostała w cieniu, wstydząc się swego

oszpecenia, i stała tak w zupełnej ciszy. Serce Mike'a wypełnił ból, kiedy patrzył tak na nią, pozbawioną pięknych loków, które zawsze budziły w nim taki zachwyty. Rozłożył ramiona, a ona dała się zamknąć w jego objęciach i zbędne stały się wszelkie słowa. Pociągnął ją do sypialni, usiedli razem na łóżku. Gdy Kirsty ujrzała swoje odbicie w sypialnianym lustrze, szybko odwróciła wzrok. W przeszłości przeklinała swoją urodę, bo utrudniała jej życie, teraz los sprawił, że straciła ją, gdy właśnie zaczęła doceniać własne piękno.

- Zwyciężył - powiedziała z wyrzutem do Mike'a.

- O co ci chodzi?

- Zwyciężył. Caleb. Nie dlatego że przystawił ci nóż do gardła, ale dlatego że zgodziłeś się na walkę. Wcale nie czułabym się lepiej, gdyby to z jego ręki wypadł nóż. Zgodziłeś się na walkę, bo przystałeś na jego warunki, bo nie jesteś pewien, że Rob to twój syn, i chciałeś to rozstrzygnąć. .. Udało mu się sprawić, że nie wierzysz mi...

- Przestań. Od początku nie wierzyłem ani jednemu jego słowu. Wstyd mi, że pogryzł mnie i pokopał, w uczciwej walce byłoby inaczej, poniosło mnie i dlatego był górą. Jeśli jednak sądzisz, że podważył moją wiarę w ciebie, w Roba i w nas, to wiedz, że się mylisz. Wierzę ci i dlatego tu jestem w parę godzin po naszym spotkaniu w Londynie. Tylko ty się liczysz i nasza rodzina. To dla niej jestem gotów na wszystko! Nawet pojedynkować się na noże z Cyganami na wrzosowiskach! Nie widzisz tego?

Spuściła wzrok. Krzywdziła go, oskarżając o obojętność i niewiarę. Mike uniósł jej twarz ku swojej, nie pozwalając jej się schować.

- Widzisz, dawno temu postanowiłem ci ufać, ale chciałem, żebyś czuła to samo do mnie. Nie jestem taki zły, jak myślisz. Nie zdradzałem cię z Lois. Ten związek zakończył się dawno temu. Poza tym wiesz przecież, że jeśli już ktoś cię kocha, nie chce nawet spojrzeć na inną kobietę.

- Kocha mnie?

- Kocha. Całym sercem i duszą. Powinienem wyznać ci to już dawniej,

ale zawsze się bałem, bałem się spotkania z prawdą. Teraz jednak już się nie boję, bo wreszcie wiem, czego chcę. Powiedzieć ci? Ciebie, Roba, naszego szczęścia... Poza tym - zmienił ton, mówił teraz nie tak poważnie - pamiętasz, że wspominałem, iż mam pewne plany odnośnie tej spalonej stodoły? Mój asystent poprowadzi firmę w Londynie, a ja zamierzam stanąć na czele nowej ekipy. Będziemy konserwować i zabezpieczać starą architekturę Dartmoor. Wiem, że jest zapotrzebowanie i że dostanę zlecenia. Sprawdziłem... Czasem pojedę do miasta, ale rzadko. Dlatego tak długo byłem teraz w Londynie. Ostatnie przymiarki przed wprowadzeniem zmian.

- Dlaczego nic mi nie mówiłeś?

- Chciałem zrobić ci niespodziankę, a gdy się ucieszysz, poprosić cię, żebyś przestała mnie wodzić za nos i wyznaczyła wreszcie datę ślubu. Więc jak? Wyjdiesz za mnie?

- Mike... kochaj mnie - powiedziała tylko.

Kiedy złożyła usta na jego wargach, wiedziała już, że zgodzi się, że zostanie jego żoną i że odtąd wszystko będzie inaczej. Za oknem wrzosowisko budziło się na powitanie wiosny, tutaj zaś, w przytulnym domku na farmie Everdene, zaczynał się zupełnie nowy etap ich życia. Ziemia spotykała się z ogniem, serce z sercem, miłość odradzała się z miłości. A wszystkie były wieczne.

The End

